

Jewgenij T. Olejniczak

Archipelag Khuruna



Jedenastego dnia ósmego miesiąca Isztar, kiedy Nergal zbliżył się do Skorpiona, wschód słońca wyglądał jak zbryzgany krwią. Nabu-akhe-eriba, astrolog z Pałacu Księcia, uznał to za zapowiedź niechybnej klęski [...]. bowiem od dawna wiadomym jest, że zły znak na niebie wróży złe wydarzenia na ziemi. Niebo i ziemia są ze sobą powiązane.

I stało się, że niedługo czas później w kraju Akadu pojawiły się szare demony, ludzie jaszczyki. [...] Nachodziły one ludzkie domostwa, porywając mieszkańców i siejąc olbrzymie spustoszenie. Nie oszczędziły również bydła.

Inskrypcja wyryta na kamiennej tablicy
znalezionej przez Rawlisona w Asyrii.
(Ok. VII w. p.n.e.)

Utrzymywał więc Teofil Odszczepieniec, iż kiedy Król Wieczności otworzył śluzy niebieskie, zsyłając na ziemię potop, gadzi Książęta o imionach: Szemihaz, Urakiba i Kokabiel - czy to niezauważeni, czy to jawnie, przy użyciu przemocy - wtargnęli na arkę i tym sposobem uniknęli zagłady.

Zasmucił się tedy Bóg, widząc, że mimo wysiłków nie zdołał wygubić doszczętnie Upadłych Aniołów. Rzekł przeto Najwyższy: Uczynię dwa światy - jeden dla rodzaju ludzkiego, który to ład nazwę Ziemią, drugi zaś dla oślizgłego rodzaju jaszczurczego, nazywając kraj ten Khuruną, a umieszczę go na Wielkim Morzu. Oba te światy będą ze sobą zespolone, choć oddzielne.

I tak uczynił. A światy od tej pory połączone są, jakkolwiek odrębne, niby dwie strony tej samej monety.

Sylwester z kolei powiada, że kiedy trysnęły źródła Wielkiej Otchłani, prócz arki Noego żeglował właśnie po wodach bliźniaczy statek, również dachem przykryty, który po opadnięciu wód osiadł na górze Hermon. Ocalił on od śmierci potomków zrodzonych z grzesznego związku Upadłych Aniołów i córek człowieczych. Najdalej w tym szaleństwie idzie niewątpliwie Rodon Syryjczyk, który za podszeptem demonów nauczał, że Noe oraz jego synowie: Sem, Cham i Jafet oraz ich żony nie byli ludźmi, tylko dwukszałtnymi wybrańcami Prastarego Bóstwa, Węża o imieniu Knerf, a para ludzka przebywała wewnątrz arki pośród zwierząt. Zbyteczne chyba wspominać, jak bardzo owa....

Damian z Aleksandrii (VI w. ?),

Sar było największym miastem południowego Khurunu [...]. Teraz jest zrujnowane; przypuszcza się, że istnieją tam starożytne skarby, a pewni ludzie znaleźli [w tym mieście] coś, z czego byli zadowoleni.

Sanad ibn Muhammad (948 - ?),

„Słownik geograficzny”

Otóż pewnego dnia święty Makary, pustelnik, przechodząc przez bagno, by dojść do swej celi, spotkał demona, jednego z tych nikczemnych i plugawych duchów, które poganie w niewiedzy swej brali w owych czasach za bogów leśnych, a które, jako się rzekło, były jedynie demonami pod rozkazami Antychrysta.

Przybierały one postać jaszczuroludzi. Pogański lud nazywał je Khurunami, a to od nazwy wyspy, z której podług ich wierzeń pochodziły.

Wielce się zdziwił święty Makary, widząc, że demon zastępuje mu drogę.

Nieczysty duch zapytał. „Dlaczego, nędzny robaku, bezprawnie przebywasz w miejscu, którego my jesteśmy włodarzami?”, i odpowiedział mu święty Makary: „Zejdź mi z drogi, diabelski sługo. Słowa twoje są równie czcze i kłamliwe jak twoja postać, posłańcu Ciemności. Ta ziemia należy do Boga, który jest stwórcykiem wszystkiego na tym świecie”.

Demon zaś zaśmiał się urągliwie i odezwał się w te słowa: „Jest jeden Stwórca, robaku, a imię jego jest Knarf-Satanel-Khurun, który wypluł z siebie oba światy i któremu ty winien jesteś składać ofiary”.

Wówczas odpowiedział mu święty Makary: „Odejdź, przekłeta maro, albowiem odkryłem twój podstęp i wiem, żeś nie jest żadnym leśnym bożkiem ani panem tego lasu, lecz niematerialnym demonem, który z polecenia szatana przybrał postać cudacznego zwierza, aby mieć proste umysły pogan. Ja wszelakoż przejrzałem cię i teraz, w imię Najwyższego Boga, Pana Zastępów, rozkazuję ci, byś opuścił to miejsce!”. I rozplynął się na te słowa przerażony demon, jako pod wpływem światła dziennego znika nocna mara, tak silny był blask tej przemowy.

I więcej już nie nękał demon ów mieszkańców, którzy od tej pory wielce czcili świętego, a wkrótce przyjęli też Słowo Boże i cieszyli się Jego błogosławieństwem, i śpiewali co dzień ku Jego chwale, amen.

Anonim (ok. IV w.),
„Żywot świętego Makarego”

Drudzy zasię szpetni są jako żaby. Po bagniech się kryją, ale farbują się wielce i szpiegi do miast posyłają, a jak kto nieobaczny jest, to go chcą ułowić. A świat ich na głębokościach morskich tajemnie stworzony, dziwny a zawikłany. Jako marynarze powiadają, pierwsze ich miasto jest Vlaj-Ba.

Anonim, „Historyja prawdziwa o przygodzie żalósnej księżęcia Knarfa i jego małżonki Thaa”, (w Krakowie, w drukarni Mikołaja Szarffenbergera, roku Pańskiego 1571).

Jak dzień długi jechaliśmy w czerwonej mgle, która rozpraszając się chwilami, pozwalała ujrzeć w przełocie zbocza gór przykryte szkarłatnymi lasami. Droga z godziny na godzinę stawała się coraz bardziej niebezpieczna i trudna, ale wszelkie niedogodności naszej wędrówki wynagradzał...

Louis Mandrou (1787-1821),
„Expédition Scientifique en Khuruna”

Człowiek ten - mężczyzna w wieku lat trzydziestu pięciu - oprócz wspomnianych już przeze mnie urojeń dotyczących „ukrytego” archipelagu, miewał także częste okresy melancholii. Zastosowałem więc upust krwi, ciepłe i chłodne kąpiele oraz niezawodny w takich przypadkach...

Klemens Malczyński (1811-1892),
„O metodzie leczenia osób umysłową chorobą dotkniętych”

Prolog

Atlantyk 1859

To było właściwie tylko przeczucie, ale tak się jakoś składało, że niemieckiego marynarza przeczucia nigdy nie myliły.

Tuż przed świtem 13 października 1859 roku, czyli prawie dwa tygodnie po wyjściu z macierzystego portu w Bremie, kapitan wielorybniczego statku o nazwie „Jungfrau”, rudobrody Johannes Schweinsteiger, obudził się w swojej kajucie z neodpartym wrażeniem, że za chwilę stanie się coś niedobrego. Poprzez senny osad wdarł się do jego głowy niewytłumaczalny niepokój.

Będą problemy, pomyślał, nie otworzywszy nawet oczu. Kiepska sprawa.

Niemiec po prostu o tym wiedział.

Co najmniej dziwne - ponieważ odgłosy statku, morza i wiatru wydawały się całkowicie zwyczajne. Szum ciętej dziobem wody, trzeszczenie kadłuba, łopot żagli - nic nie dawało powodów do niepokoju. Owszem, kołysało trochę mocniej niż kilka godzin temu, kiedy kapitan schodził z pokładu, ale takim drobiazgiem nie należało sobie przecież zawracać głowy. Normalna rzecz na morzu. Bagatelka. Po prostu północno-zachodni wiatr wzmógł się, podniósł nieco fale.

I tyle.

Mimo to Johannes Schweinsteiger czuł w samych trzewiach, że zaraz zaczną się kłopoty. Wprawdzie miał wrażenie, jakby nie do końca jeszcze się rozbudził, ale jego intuicja nie spała przecież nigdy. Ten stary skurczybyk, weteran wielorybnictwa, doprawdy posiadał jakiś szósty zmysł, jeśli idzie o przewidywanie niebezpieczeństw czyhających na marynarzy pośród bezmiaru oceanicznych wód. Owa umiejętność czyniła go jednym z najlepszych marynarzy świata, i to nie tylko w jego opinii.

Należał do ścisłej czołówki w swoim fachu, z pewnością pierwszej dziesiątki na świecie.

Intuicja plus trzydziestoletnia praktyka - oto właściwa mieszanka. Tak zresztą zatytułowano poświęcony mu artykuł w „Gazecie Północnej”. Prawie cała strona tekstu plus fotografia kapitana i rysunek kaszalota w prawym górnym rogu. Kiedy to było? Jakies dwa,

trzy lata temu. „Intuicja i praktyka. Kapitan Johannes Schweinsteiger - pogromca wielorybów”. Egzemplarz gazety do dzisiaj trzymał w kajucie i odczytywał sobie na głos fragmenty artykułu co najmniej raz na miesiąc.

Tak, Niemiec miał zarówno talent, jak i doświadczenie. Rozpoznawał raptowne zmiany pogody - szkwały, sztormy, ulewy, flauty i cisze morskie - na długo przed pojawieniem się pierwszych znaków na niebie i morzu. Niczym zwierzę albo nieprawdopodobnie czuły instrument meteorologiczny.

Zawsze też wiedział, kiedy z samym statkiem dzieje się coś niedobrego. Przewidywał każdą awarię sprzętu i każdy przeciek w ładowni, przez sen wyczuwał najdrobniejszą zmianę kursu, jak gdyby to olbrzymie pływające pudło było przedłużeniem jego ciała i wszystkie deski, złączenia, sworznie, wręgi, liny oraz żagle natychmiast przesyłały do kapitańskiego mózgu informacje o problemach.

Dobrze, lecz cóż takiego groziło im teraz? Johannes Schweinsteiger nie potrafił jeszcze odpowiedzieć na to pytanie. Jeśli bowiem nic się nie wydarzyło podczas jego dwugodzinnej drzemki, to trójmasztowiec - nowiutki żaglowiec wielorybiczny o wyporności 550 ton, należący w połowie do niego, a w połowie do firmy braci Jelinek z Hamburga - znajdował się teraz jakieś czterdzieści, najwyżej czterdzieści pięć mil na wschód od Azorów i z prędkością mniej więcej jedenastu węzłów płynął dalej na południe, w kierunku Wysp Zielonego Przylądka, aby przedostać się na Ocean Indyjski, gdzie aktualnie znajdowały się najlepsze tereny łowieckie.

Pogoda była sprzyjająca, wiatr pomyślny, sprzęt sprawny, a pełniący nocną wachtę marynarze zaprawieni w morskich bojach jak mało kto. Prawie sami Niemcy i Holendrzy - dwie prawdziwie wielorybiczne nacje.

Morskie wilki, można powiedzieć.

O co więc chodzi? Kapitan Johannes Schweinsteiger siedział teraz na koi, wciąż wsłuchany w odgłosy oceanu, wpatrzony w ciemny iluminator kajuty próbował uporządkować myśli, otrząsnąć się ze snu. Dręczące przenikliwe wrażenie, że dzieje się coś złego, nie chciało ustąpić.

Wreszcie ziewnął szeroko, podrapał się pod pachą, zdjął z głowy szlafmycę, po czym namacał w ciemnościach zapałki i zaświecił olejną lampkę stojącą na przyśrubowanym do podłogi stole.

- *Donnerwetter!* - zaklął z przyzwyczajenia. Własny głos zabrzmiał w jego uszach dziwnie głucho.

W mętnowożółtym blasku zobaczył cały panujący na stole bałagan: chronometry,

zakreślona czarnymi liniami mapę, cynowy dzbanek, kubek z resztkami kawy, fotografię przedstawiającą dwie niezbyt urodziwe córki kapitana - Klarę i Gerdę, a także cyrkiel, ołówek oraz liniał nawigacyjny.

No i ten mocno podniszczony egzemplarz romansu pod tytułem „Primadonna i pomocnik rzeźnika”, dla niepoznaki owinięty w szary papier.

Tak, Schweinsteiger miał również swoje skrzętnie ukrywane słabości, a raczej niewinne słabostki: uwielbiał podczytywać przed snem pikantne książki francuskich autorów. Cóż zrobić? Pod koją leżała jeszcze, oprawiona w czerwone płótno, „Luiza albo słodczy grzechu” (F. Papillona), a w sekretarzyku - pod kluczem, który nosił przy sobie, i prędzej by go połknął, niż oddał w niepożądane ręce - spoczywała świeżo zakupiona „Potępiona namiętność”, na którą to pozycję Schweinsteiger od dwóch tygodni ostrzył sobie zęby.

Jeszcze nie zdążył jej oprawić. Na okładce książki artysta niezwykle sugestywnie odmalował kobietę ubraną jedynie w gorset i pończochy. Ech, miał człowiek talent, żeby tak to wiernie przedstawić! Lepiej oprawić książkę, tak na wszelki wypadek.

Francuskie romanse, nieprzyzwoite fabuły i wyuzdane bohaterki! To był prawdopodobnie jego jedyny sekret, jak na marynarza bowiem przystało, naturę miał Johannes Schweinsteiger wyjątkowo nieskomplikowaną.

Zdjął teraz ze stojaka fajkę z krótkim pogryzionym ustnikiem, oczyścił ją z piasku, który wschodni wiatr nanosił od kilku dni z odległej Sahary, po czym nabił brunatnym tytoniem i wsadził w zęby. Zapalił od lampy. Wypuszczając kłęby błękitnego dymu, włożył spodnie, buty i wypłówiały surdut. Już sięgał po nieprzemakalny płaszcz, kiedy rozległy się pośpieszne kroki na stopniach drabinki, a następnie ktoś zapukał do drzwi.

- Tak? - spytał przez zaciśnięte na fajce zęby, wyćwiczonym ruchem przykrywając francuski romans mapą prądów morskich.

- Panie kapitanie, czy mógłby pan.... Dzieje się coś dziwnego. - To był głos pierwszego oficera, Arnolda Moldenhauera, który za niespełną godzinę powinien skończyć wachtę. Dobiegał jakby z głębokiej studni. - Coś bardzo, ale to bardzo dziwnego...

Tak jakbym nie wiedział, pomyślał kapitan, wyjąwszy z ust fajkę.

- Już idę! - krzyknął ochryłym głosem, po czym wstał, włożył płaszcz i uważając, aby nie uderzyć głową w wiszącą na łańcuchach cynową lampę, ruszył w stronę drzwi.

* * *

Przywitał go zapach wilgotnego płótna, drewna, wodorostów i wielorybiego tłuszczu. Morskie powietrze powinno rozbudzić go całkowicie, ale gdzie tam, nadal czuł się ociężały i

senny.

Na pokładzie było pusto, jeśli nie liczyć osobnika pełniącego wachtę przy kole sterowym i jeszcze ze dwóch marynarzy czuwających pomiędzy masztami. Jak jeden mąż wyprostowali się na widok kapitana, mimo że ten nawet nie spojrzał w ich stronę, zajęty dużo ważniejszymi sprawami.

A więc tak: wiatr rzeczywiście się wzmógł, fale kołysały statkiem dużo silniej niż w nocy. Niebo było zaciągnięte, tylko kilka gwiazd przeświecało między chmurami, podobnymi teraz do dryfujących po niebie skał. Trójmasztowiec przedzierał się poprzez mrok przedporannej godziny.

Należałoby dokonać małej korekty żagli, pomyślał Johannes Schweinsteiger, rzucając krótkie spojrzenie na maszty oświetlone przez trzy wiszące wysoko w górze latarnie.

- Trzeba refować - mruknął w kierunku pierwszego oficera, chudego i wiecznie narzekającego czterdziestolatka z Hamburga.

- Tak jest.

- Dziwię się, że sam pan na to nie wpadł.

- Miałem wrażenie...

- Bez dyskusji, panie Moldenhauer.

Kapitan zaczerpnął głębiej powietrza. Miał wrażenie, że jakiś niewidzialny ciężar osiadł mu na ramionach. Bolała go głowa, czuł pieczenie pod powiekami. Co się ze mną dzieje? Coś złowieszczonego wisiało w powietrzu.

W dodatku słyszał w uszach dziwny buczący dźwięk, jakby odgłos czegoś okręcane w powietrzu.

Coś jak gruby bicz.

Gorąca kawa by mnie postawiła na nogi, pomyślał. Albo jeszcze lepiej: porządny łyk grogu.

Wraz z trzymającym lampę Moldenhauerem w milczeniu przeszli na dziób, ominęli beczkę na wodę, puste wiadro i zwój liny od uszkodzonego harpuna, po czym po metalowej drabince wspięli się na kapitański mostek.

- Proszę spojrzeć, kapitanie - powiedział Arnold Moldenhauer, wręczając dowódcy lunetę.

Nawet gołym okiem widać było, że morze po prawej burcie wygląda dziwnie. Bardzo dziwnie. Prawdę mówiąc, trudno się było zorientować, co się tam właściwie dzieje.

Kapitan Schweinsteiger w życiu jeszcze czegoś takiego nie widział. Poczł na plecach nieprzyjemny dreszcz, zdając sobie sprawę, że nadszedł dla niego czas prawdziwej próby, że

właśnie zdarzyła się jedna z tych rzeczy, których żaden kapitan nie jest stanie przewidzieć. Z tych rzeczy, które nie powinny się nigdy przytrafić. Wielokrotnie już znajdował się w niebezpieczeństwie, lecz tym razem to było coś nowego.

Irracjonalny strach ponownie ścisnął jego pierś żelazną obręczą.

W milczeniu przyłożył lunetę do oka.

W odległości jakiejś półtorej mili od statku na powierzchni wody jaśniała ciemnopomarańczowa plama, bardzo szeroka, jak gdyby w oceanie odbijało się światło olbrzymiej latarni. Tyle że w pobliżu nie było żadnej latarni. W dodatku gęste chmury zakrywały księżyc, a na niebie migotało zaledwie kilka gwiazd. Czyżby więc źródło światła znajdowało się pod wodą?

Tak, coś najwyraźniej świeciło tuż pod powierzchnią fal. Ale to przecież niemożliwe, prawda? Żaden morski organizm nie promieniuje ciemnopomarańczowym blaskiem. Odpadała również fosforescencja. Światło było zbyt mocne. W dodatku pulsowało rytmicznie, jakby ktoś nadawał z głębi wód sygnały.

Kapitan nie wierzył w morskie legendy o błędnych ogniach, które prowadzą marynarzy ku zgubie. Z lekceważeniem traktował tego typu opowieści, podobnie jak marynarskie bajdy o „Latającym Holendrze” czy innych przeklętych statkach widmach. Zabobony dobre są dla prostych marynarzy, w dzisiejszych czasach, w dobie postępu nauki i techniki, kapitan musi rozumować racjonalnie.

Nawet teraz, mimo dziwnego oszołomienia i osłabienia, Schweinsteiger starał się myśleć trzeźwo. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że to nie jest żaden fenomen przyrody, *ignis fatuus* czy też inny diabelski znak, tylko naukowo uzasadnione zjawisko natury elektrycznej. Trzeba po prostu je zbadać, innej rady nie ma.

Opuścił lunetę.

Dziwny odgłos narastał, jak gdyby ktoś coraz szybciej okręcał nad ich głowami olbrzymi bicz.

- Jak długo to trwa? - spytał pierwszego oficera, spojrzawszy na oświetlony lampą kompas. Własny głos wydał mu się obcy, jakby to zdanie wypowiedział ktoś inny, ktoś stojący obok.

- Od kilkunastu minut. Najpierw był to tylko błysk na horyzoncie, jakby kropla światła wpadła do morza.

- To coś spadło z nieba?

- Tak.

Czyżby aerolit? pomyślał kapitan.

- Dlaczego zawołał mnie pan dopiero teraz?

- Myślałem... - zaczął energicznie pierwszy oficer, ale umilkł natychmiast, widząc minę kapitana.

- Załoga na pokład - zakomenderował Johannes Schweinsteiger.

Po kilku chwilach na statku zaroilo się od wyrwanych ze snu marynarzy. Niektórzy dopiero się ubierali, trzymając w rękach różne części garderoby. Dźwięczał dzwonek, o lepkie deski pokładów załomotały buty i bosc stopy, rozległy się bezładne, pomieszane głosy.

Nikt nie pozostał pod pokładem, nawet Tim, hałaśliwy kundel, którego steward wziął na statek, kiedy stali jeszcze w porcie w Bremie, kręcił się teraz między nogami marynarzy i poszczekując oraz zapamiętałe merdając ogonem, wpatrywał się w okolone brodami twarze w nadziei, że odczyta z nich przyczyny tej niespodziewanej afery.

Ręce marynarzy zacisnęły się na relingu prawej burty. Aby mieć lepszą widoczność, kilku wielorybników wspięło się na wanty, a zwinny jak małpa Chińczyk Seng-Wu znajdował się już w połowie drogi na szczyt grotmasztu.

- Do brasów! - wykrzyknął przez tubę kapitan. - Ster na prawą burtę!

- Ruszać się! Nie spać! - rozległy się okrzyki.

- Przebrasowanie!

- Zwinąć bramzagle!

Sznurowe drabinki wnet zaroily się od ludzi.

- Spuścić szalupy!

- To nie jest wieloryb, panie kapitanie - powiedział ostrożnie Arnold Moldenhauer. W stłumionym głosie zabrzmiał bardzo już wyczuwalny niepokój. - To chyba światło elektryczne.

- Wiem, przyjacielu, że to nie jest wieloryb - odparł kwaśno kapitan. - Co jak co, ale wieloryba potrafię jeszcze rozpoznać, do jasnej cholery.

Kilka chwil później pierwsza ośmiometrowa łódź uderzyła o wodę. Kiedy marynarze - niektórzy rozebrani do pasa - zaczęli zeskakiwać na jej pokład i chwycić za wiosła, stało się coś nieoczekiwanego. Podwodne światło zmieniło kolor na ognistoczerwony, po czym z olbrzymią szybkością zaczęło zbliżać się do statku. Patrzyli na to, nie wierząc własnym oczom. Kapitanowi zdawało się, że ponownie zasnął, ciało miał teraz niezwykle lekkie, nierzeczywiste, jakby nie stał na mostku, a unosił się w powietrzu, nieważki niby duch.

Ktoś nami manipuluje, przemknęło mu nagle przez głowę. To nie może dziać się naprawdę.

Światło znieruchomiło dopiero w odległości pół mili od niemieckiego żaglowca.

Zatrzymało się równie gwałtownie, jak wystartowało. Przez kilka chwil nic się nie działo, a potem wody w tym miejscu zaczęły się nagle poruszać i wzdymać. Podniosły się nieco, roztaczając szerokie kręgi, jakby coś usiłowało wypłynąć na powierzchnię.

Coś naprawdę wielkiego, dużo większego niż jakiegokolwiek znane marynarzom morskie stworzenie.

- Podpłynąć, jak najbliżej się da! - krzyknął kapitan do siedzących w szalupie marynarzy.
- Tylko ostrożnie!

- Co to jest? - nie wytrzymał w końcu pierwszy oficer.

- Nie mam pojęcia, panie Moldenhauer. Może to jakiś podmorski statek. Słyszałem, że Francuzi chcieli kiedyś coś takiego zbudować. - Kapitan naprawdę nie należał do ludzi zabobonnych, toteż nawet teraz starał się znaleźć racjonalne wytłumaczenie. - Po prostu musimy to sprawdzić.

- Naraża pan życie ludzi, panie...

Pierwszy oficer nie dokończył niestety tej kwestii, ponieważ właśnie w tym momencie zabarwione na czerwono morze zapieniło się raz jeszcze, zakotłowało, a sekundę później rozległ się potężny, dobiegający jakby z samych trzewi Atlantyku szum.

Mein Gott!...

- Boże Wszechmogący - wyszeptał tylko, czując, jak resztki włosów podnoszą mu się na głowie.

Oto spod powierzchni, z samego środka tego bulgoczącego kotła począł wynurzać się jakiś kształt. Pośród bryzgów różowej piany ukazał się najpierw podłużny łeb, jakby na oczach niemieckich marynarzy z dna czarnego oceanu wyrastała właśnie gotycka katedra. Następnie - powoli, bardzo powoli - zadziwiający obiekt zaczął wydobywać się z wody w całości, wznosił się majestatycznie ku niebu, stopa po stopie ukazując swoje olbrzymie, ociekające wodą cielsko.

Na ten widok członkowie załogi zamarli, wstrzymując oddech. Marynarze w szalupie wypuścili z rąk wiosła, bez słowa komentarza przyglądając się niezwykleму zjawisku. Stojący na dziobie łodzi czterdziestoletni harpunnik z Monachium, olbrzym w kapeluszu i czerwonej wełnianej koszuli, pod którą schował wytatuowane plecy, pierś oraz ramiona, zachwiał się i omal nie wpadł do wody. Wszyscy byli zdumieni i przestraszeni.

Nawet Tim przestał czekać, schowany gdzieś w kambuzie, z podkulonym ogonem i stulonymi uszami.

To co właśnie wydobywało się z oceanu, faktycznie ani trochę nie przypominało wieloryba. Nie przypominało również żadnego innego głębokomorskiego potwora,

rzeczywistego czy nawet legendarnego. Zaskoczeni i przestraszeni marynarze ujrzeli metalową maszynę w kształcie ustawionego pionowo cygara, która pośród pióropuszy piany z sykiem wydostała się z odmetów, po czym najzwyczajniej w świecie wzniosła się na wysokość kilkuset stóp, aby położyć się na boku i zawisnąć nieruchomo w powietrzu jak trzymany na uwięzi balon.

Olbrzymie słupy wody runęły z hukiem na powrót do oceanu i rozlały się po jego powierzchni kręgami wirującej piany.

Maszyna wisiała tak na tle granatowego już nieba, nieważka, jakby wykonano ją z metalu lżejszego od powietrza. A przecież aparat musiał ważyć co najmniej kilkanaście ton! W dodatku zachowywał się teraz nieprawdopodobnie cicho. Wprawdzie wciąż słychać było ten dziwny dźwięk, ale sama maszyna najwyraźniej nie wydawała żadnego głosu, przez co sprawiała jeszcze mniej rzeczywiste wrażenie.

Na dziobie napowietrznego statku pulsowało rubinowe światło, nad nim widać zaś było podłużne okienko.

* * *

- Co za bestyjka - wyszeptał Johannes Schweinsteiger wciąż bardziej zafascynowany niż przestraszony. - Z pewnością francuska.

Nawet gdyby rudobrody kapitan ujrzął teraz na własne oczy legendarnego Lewiatana, doszedłby zapewne do wniosku, że musi to być sprawka Francuzów. Któż inny mógłby w ogóle wpaść na taki pomysł, jeśli nie ci degeneraci? Tylko oni.

Ale pomysłowi degeneraci, trzeba przyznać. Kapitan podziwiał ich i nienawidził, jak każdy Niemiec.

- Zdumiewające, czego to ludzie nie wymyślą! - powiedział do siebie. - Co napędza tego diabła? Maszyna parowa? Gaz świetlny?

- Co z szalupami? - spytał pierwszy oficer. Jego głos docierał do kapitana jakby z bardzo daleka, mimo że mężczyźni wciąż stali obok siebie.

- Z powrotem na pokład!

Kapitan zdawał sobie doskonale sprawę, że traci kontrolę. To mu się wymykało, przestał panować nad sytuacją. Całe jego doświadczenie naraz diabli wzięli. Podobnie jak zdolności.

Naraz fantastyczna maszyna zadrżała. Ku jeszcze większemu niż do tej pory zdumieniu marynarzy po obu stronach kadłuba wysunęły się i rozpostarły czarne, jakby skórzane płyty o rozpiętości kilkudziesięciu stóp.

Nietoperze skrzydła. Błyszcząca błona rozpięta na długich żebrach. Jak dwa olbrzymie

parasole.

- Ornitopter - powiedział Arnold Moldenhauer, przelknąwszy głośno ślinę. - Ornitopter pionowowzlot.

- W dodatku podwodny - dodał kapitan.

- Nie wierzę.

- Ech, ci nicponie!

- Przecież to niemożliwe! To nie może latać!

- Ale lata!

- To jakiś absurd!

Jakby w odpowiedzi na wątpliwości pierwszego oficera powietrzno-podwodny statek, wciąż jeszcze ociekający morską pianą ornitopter, zamachał kilka razy lśniącymi czernią skrzydłami i bezgłośnie, niemal dostojnie ruszył w ich kierunku.

Na tle granatowego, mocno zachmurzonego nieba przypominał w tej chwili olbrzymiego ptaka albo latającego smoka z chińskich opowieści.

Kiedy znalazł się nad samym statkiem, znów się zatrzymał. Cóż to był za kolos! Zawisł w powietrzu jak monstualny srebrzystoszary koliber jakieś dwieście, może dwieście pięćdziesiąt stóp ponad pokładem. Czarne skrzydła przesłoniły dużą część nieba nad głowami marynarzy.

Wielorybnicy zobaczyli za to wyraźnie obły brzuch latającej maszyny. Otworzył się w nim jajowaty właz, jakby rozsunała się powieka oka. Z tego miejsca wystrzelił słup jaskrawoczerwonego światła.

Oślepiająca kolumna połączyła spód statku z pokładem żaglowca, po czym rozszerzyła się u podstawy, tworząc świetlny stożek zamykający w swoim obrębie wszystkich członków załogi.

Wszystkich z wyjątkiem pięciu wielorybników wciąż jeszcze przebywających w szalupie.

Zrobiło się teraz wprost niesamowicie cicho. Wiatr ustał, żagle oklapły, ocean przypominał nieruchomy staw: najdrobniejsza nawet fala nie marszczyła jego powierzchni. Był gęsty jak olej. Wyglądało to tak, jakby powietrze i woda stężały. Cisza i bezruch.

Wszystko zamarło niczym na fotografii.

Cały świat się zatrzymał.

Jednakże marynarze nie zdawali sobie z tego sprawy, oślepieni wydobywającym się z maszyny upiornym światłem. Byli jak zahipnotyzowani. W uszach rozbrzmiewał wysoki, świdrujący odgłos.

Potem, jeden po drugim, zaczęli unosić się do góry i - niczym we śnie - dryfować w

kierunku wiszącej nad nimi latającej maszyny o wyglądzie aluminiowego cygara. Wciąż zamknięci w czerwonym stożku, powoli zbliżali się do srebrzystoszarego brzucha i znikali płynnie w jajowatym otworze, z którego wydostawała się oślepiająca smuga.

Mechaniczny Lewiatan połykał załogę niemieckiego żaglowca.

Rudowłosy kapitan Schweinsteiger, a następnie pierwszy, drugi i trzeci oficer, potem bosman, harpunnicy, wiecznie pijany lekarz z Amsterdamu, bednarz, kowal z Pragi, szkocki cieśla, kucharz, steward, wreszcie zwykli marynarze i majtkowie - wszyscy oni dryfowali ku górze, jakby wyciągano ich po kolei na niewidzialnych linach, w niesamowitej ciszy, bezwolni i bezbronni.

Nawet ukryty w kambuzie pies unosił się w powietrzu nieruchomy jak porcelanowa figurka, którą można sobie ustawić na kominku.

Ten zdumiewający podniebny spektakl miał swoją skromną widownię. Siedzący w szalupie wielorybnicy przyglądali się całej operacji sparaliżowani z przerażenia, niezdolni do jakiegokolwiek reakcji. Tylko patrzyli, jak ich towarzysze wciągani są na pokład srebrzystoszarego statku.

Tak, zarzucono na nich sieć.

Przebywający na pokładzie „Jungfrau” marynarze zostali po prostu złowieni.

Część pierwsza

Diabły w Krakowie

Miasto Vlaj-Ba (Taargrad) leży nad rzeką Aniwą. Jego prawdziwa nazwa pozostaje tajemnicą, której nie znają nawet Smoczy Książęta, a jedynie Naukowcy Manipulatorzy z Pałacu Wiedzy.

Powietrze przesiąknięte jest niebieskawym i rdzawym światłem. Miasto w tej chwili jest niemal całkowicie opustoszałe.

Seng-Wu, „The Serpent Mystery.
Unlocking the Secrets of Khuruna”
(Edinburgh 1867)

1

Fotografia ulicy Mikołajskiej

Čtěně dámy, jest vám kouř z doutniku obližný? Szanowne panie, czy dym z cygar jest wam przykry?

Nawet podczas jazdy dorożką z jednej krakowskiej ulicy na drugą, co często trwa nie dłużej niż kilka minut, Emanuel Henzelmann nie marnował czasu. Grunt to dobra organizacja pracy, powtarzał zawsze. Zamiast bezmyślnie gapić się na inne powozy, szyldy mijanych sklepów czy też cylindry i kapelusze przechodniów, emerytowany komisarz ck policji odczytywał na głos co trudniejsze słówka oraz zwroty z rozłożonego na rozchybotanych kolanach podręcznika.

Czynił tak już od tygodnia, zgodnie zresztą z planem, jaki sobie ułożył. Postanowił bowiem nauczyć się języka czeskiego, pracując nad nim codziennie, ale - uwaga! - poświęcając mu tylko tyle czasu, ile spędzał w krakowskich dorożkach.

To na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać niewiele.

Lecz jeśli po miesiącu czy dwóch - przekonywał Emanuel sceptycznie nastawionych przyjaciół - dodamy do siebie te rozproszone minuty, to w rezultacie otrzymamy kilka dobrych godzin nauki.

To zupełnie tak jak z samą jazdą: przeciętnie człowiek spędza w dorożkach od piętnastu do dwudziestu minut dziennie i po kilku latach okazuje się, że przebył dystans równy odległości z Krakowa do Delhi. Albo gdzieś na Syberię. W nauce ważna jest oczywiście systematyczność. Podobno pewien brytyjski pułkownik - notabene dowodzący garnizonom właśnie w północnych Indiach - przetłumaczył na angielski „Eneidę”, pracując nad tekstem wyłącznie w trakcie wypalania poobiedniego cygara.

Taki przykład z pewnością przemawia do wyobraźni.

W szczególności zaś do wyobraźni samego Emanuela Henzelmanna, który wykorzystywał każdą okazję, aby urozmaicić sobie monotonne życie wdowca.

Tego czwartkowego przedpołudnia - był koniec listopada 1879 roku, pachniało dymem węglowym i wilgotnymi liśćmi - emerytowany policjant złapał dorożkę na ulicy Świętej

Anny i kazał się zawieźć do zakładu fotograficznego Walerego Rzewuskiego, czyli na ulicę Kolejową.

To był spory kawałek drogi, toteż pod rozłożoną budą dorożki Emanuel mógł spokojnie dokończyć piąty rozdział podręcznika (hotel) i powtórzyć sobie słówka związane z pogodą oraz dokładaniem przez służbę drew do pieca.

Natychmiast po wejściu do pojazdu i usadowieniu się na skórzanym siedzeniu założył na nos binokle w stalowej oprawie, wyjął z teczki książkę i otworzył ją na zaznaczonej stronie.

- *Vezměte podušku pryč.* Proszę wziąć poduszkę precz.

Dorożkarzowi wydawało się, że słowa te skierowane są do niego, lecz pasażer niecierpliwym gestem nakazał mu jechać. Fiakier uchylił więc tylko uprzejmie wyrudziałego melonika i chwycił za bat.

- *To je mizerný oheň.* To nędzny ogień.

Kopyta zastukały o bruk, dorożka ruszyła.

- *Tlakoměr padl.* Barometr idzie w dół.

Zanim wjechali z turkotem na połyskujący wilgocią i niemal pusty o tej porze Rynek Główny, Emanuel Henzelmann pochłonięty był już całkowicie zawilóściami czeskiej mowy. Nie zauważył, kiedy minęli Sukiennice i kościółek Świętego Bartłomieja. Dopiero gdy jedno z kół dorożki podskoczyło na wyboju, rozejrzał się wokół lekko nieprzytomnym wzrokiem. Konie, stukając miarowo o bruk, wjeżdżały w ulicę Sienną, gdzie pachniały pieczone na blachach kasztany. Po lewej widać już było przykryte gontowymi dachami stragany Małego Rynku.

Uspokojony Emanuel wrócił do powtarzania słówek.

- *Potřebuji zouvak.* Proszę o chłopca do butów.

Ktoś, kto by nie znał Emanuela Henzelmanna, zapewne dałby się zwieść jego młodzieńczemu wyglądowi. Emerytowany policjant sprawiał wrażenie dużo młodszego, niż był w istocie: wysportowana szczupła sylwetka, energiczne ruchy, ciemne włosy poprządkowane tylko gdzieś tam srebrnymi nitkami siwizny, no i to bystre spojrzenie spod krzaczastych brwi, spojrzenie, pod wpływem którego niejednego przestępca całkowicie tracił rezon.

Nie wyglądał również na ekscentryka, chociaż - co tu dużo kryć - niewątpliwie był ekscentrykiem.

Prawdopodobnie wszyscy w mieście wiedzieli o jego osobliwych pasjach. Naturalnie odrobinę się z niego podśmiewano, że dziwak, że ciągle szuka wczorajszego dnia, że interesuje go to co tajemnicze, niezbadane lub wręcz zwariowane. Rzeczywiście, gdzie tylko

działo się coś niezwykłego, tam natychmiast pojawiał się Emanuel Henzelmann. Dziwak, ekscentryk - tak, oczywiście, ale nieszkodliwy, a przy tym pełen wdzięku. Prawdziwy łowca tajemnic.

Teraz, po przejściu na emeryturę, miał na takie zabawy mnóstwo czasu.

Od kilku lat pisywał więc do gazet artykuły, w których demaskował wszelkiej maści oszustów - hipnotyzerów, fałszywych uzdrowicieli, wynalazców mikroskopów akustycznych, konstruktorów silników, które wykorzystywały jako źródło energii wibracje w eterze. Tropił złodziejasków przebierających się za duchy oraz kawalarzy fabrykujących ślady najdziwniejszych stworzeń.

Nie zawsze na artykułach się kończyło.

Przykład pierwszy z brzegu: głośna była swego czasu historia z lewitującą Włoszką, niejaką Marią Catalani, ulubienicą Paryża, Londynu oraz Wiednia, jak informowały porozklejane na ulicach plakaty. I właśnie Emanuel Henzelmann odkrył, na czym tak naprawdę polega fenomen jej lewitacji. Ukrytą w sąsiednim pomieszczeniu skomplikowaną maszynę udało mu się zatrzymać dopiero podczas ostatniego pokazu. Leciwa już Włoszka opuściła Kraków ze złamaną ręką i - niegroźnymi na szczęście - obrażeniami głowy, przez co musiała podobno przełożyć terminy amerykańskich występów.

O pechu mogła mówić również pewna trzydziestoletnia szwaczka ze Lwowa, Konstancja Gorzka (jej imię astralne brzmiało: Izyda), która to kobieta podczas seansów spirytystycznych, po wprowadzeniu się w głęboki trans, mówiła grubym męskim głosem, wydzielając z ust ludzko podobną do gazy ektoplazmę, jak również rysowała mapy Merkurego, Marsa oraz tajemniczej planety o nazwie Wihru, znajdującej się gdzieś na trzecim poziomie czy też w trzecim kręgu eterycznych wibracji.

Rysowała pewną ręką, nie odrywając ołówka od papieru, zaznaczając nie tylko co większe miasta, ale i łączące je kanały oraz drogi. Wszystko było w najlepszym porządku, póki duchy Marsjan - jeden z nich kazał nazywać się Złotowłosym Opiekunem - nie zaczęły dyktować jej poematów w swoim rodzimym narzeczu. Władający kilkunastoma językami Emanuel bez problemu odkrył, że marsjańscy poeci w swej twórczości często gęsto posługują się mieszaniną języków islandzkiego i duńskiego, udziwnioną przez słowa złożone z dużej liczby spółgłosek i apostrofów. Kiedy ogłosił to publicznie, głosy umilkły, nikt już kobiecie nie podyktował nawet nędznej fraszki, a ona sama uciekła do Lwowa, gdzie wróciła podobno do wyuczonego zawodu.

Niezbyt mile zapisał się też Emanuel w pamięci braci syjamskich zrośniętych górną połową ciała i poruszających się na scenie jak jeden wielki krab. Po niespodziewanej wizycie

dociekliwego komisarza w ich garderobie rozdzieleni w cudowny sposób bracia rzucili się do ucieczki. Złapał tylko jednego, drugi zdołał uciec, wyłamując drzwi z zawiasów.

Zdarzało się również, że sam Emanuel padał ofiarą oszustów i kawalarzy, jak w przypadku słynnego „Potwora z Krzemionek”, który napadał na gęsi i straszył wracające z kościoła kobiety.

Także wielu umieszczonych w gazetach artykułów wolałby nie pamiętać.

Popępiał błędy, owszem, ale ciągle się czegoś uczył. Każdą wolną chwilę poświęcał na czytanie książek lub naukę kolejnego języka obcego.

Choćby tak jak teraz - czeskiego.

Wybór języka nie był, jak mawiali złośliwi, kompletnie przypadkowy. Na marzec przyszłego roku emerytowany policjant zaplanował podróż do Pragi, gdzie spotkać się miał z pewnym czeskim antykwariuszem i kolekcjonerem o nazwisku Holoubek. Człowiek ten, z którym Emanuel prowadził już od jakiegoś czasu ożywioną korespondencję (na razie tylko w języku francuskim), posiadał ponoć w swych bogatych zbiorach niezwykle skarb: szesnastowieczną kopię zaginionego i na wpół legendarnego już dzieła Mikołaja Kopernika „De astro minante”, „O groźnej gwiazdzie”, sporządzoną przez Jerzego Joachima von Lauchena, profesora matematyki na uniwersytecie w Wittenberdze, a przede wszystkim ucznia słynnego astronoma.

Historia tego tajemniczego, wyklętego przez Kościół dzieła była tak niebywała, że na samą myśl o jego zawartości Emanuel Henzelmann dostawał gęsiej skórki.

W swej naiwności ani przypuszczał, że skromna fotografia, którą wiózł właśnie w czarnej teczce, na zawsze wybije mu z głowy i Kopernika, i groźną gwiazdę, i gramatykę języka czeskiego.

* * *

Zakład fotograficzny pana Walerego Rzewuskiego mieścił się na wprost budynku Szpitala Klinicznego. Był to szykowny piętrowy dom z podjazdem, otoczony ogrodem, który często służył właścicielowi jako sceneria do wykonywanych zdjęć. Jednakże tego ponurego przedpołudnia i dom, i ogród sprawiały raczej mizerne wrażenie. Cóż począć, taka już pora roku.

Emanuel Henzelmann wyskoczył z pojazdu, wręczył dorożkarzowi trzydzieści złotych reńskich i z teczką pod pachą, w krzywo założonym cylindrze ruszył w stronę budynku energicznym krokiem człowieka interesu.

Wnętrze zakładu prezentowało się dla odmiany niezwykle bogato: marmurowe schody,

mozaikowa posadzka, liczne kwiaty i posągi. Na ścianach wisiały stereoskopy, kolorowane widoczki z Tatr oraz portrety słynnych z piękności kobiet, najczęściej aktorek krakowskiego teatru.

Właściciel był zajęty w laboratorium chemicznym, jak poinformował lokaj w liberii, więc Emanuel rozsiadł się wygodnie w salonie, gdzie zazwyczaj klienci oczekiwali na zdejmowanie fotografii. Dzisiaj nie było tu nikogo, może z racji fatalnej pogody i - co za tym idzie - paskudnego światła.

Emanuel oparł się wygodnie, splótł palce i założył nogę na nogę, przez co prawa nogawka popielatych spodni powędrowała w górę, odsłaniając wzorzystą skarpetę na granatowej podwiązce.

Walery Rzewuski pojawił się po kilkunastu minutach. Miał na sobie fartuch przesiąknięty zapachami chemikaliów.

Spojrzał nieco nieufnie na siedzącego w fotelu mężczyznę. Z góry wiedział, na co się zanoszą, bo nie od wczoraj przecież znał Emanuela Henzelmana. Rzewuski miał opinię człowieka stanowczego i cierpkiego w stosunkach z ludźmi, którzy mu się naprzykrzali. Był to mężczyzna wysoki, solidnie zbudowany, a szerokie i wysokie czoło przydawało twarzy wyraz dostojeństwa.

Nawet jego wąsy budziły respekt.

- Pan chciał się ze mną widzieć, panie Henzelmann? - spytał teraz, starannie wycierając ręce o poły fartucha.

- Tak. - Emanuel wstał i wyciągnął w jego stronę otwartą dłoń. - Wspominałem panu listownie o mojej sprawie. Pamięta pan?

- Owszem. Ale uprzedzam: ja nie mam zbyt wiele czasu.

- Zajmę panu najwyżej dwie minutki.

Rzewuski wzruszył ramionami.

- W takim razie proszę ze mną do atelier. Ale ostrzegam raz jeszcze: jestem dzisiaj bardzo zajęty, więc nie mogę poświęcić panu więcej niż kwadrans. Chodźmy.

* * *

Weszli do olbrzymiego pomieszczenia ze szklanym dachem wspartym na żelaznych słupach. W całości było ono wykorzystywane jako sceneria do robienia zdjęć. Po jednej stronie mieścił się tam kompletnie umeblowany mieszczański salon, po przeciwnej zaś malownicza grotka z fontanną, mchem, paprociami, a także posągiem amorka, który mierzył z łuku do ustawionej na drewnianym trójnogu dwuobiektywowej kamery.

Gospodarz był niewątpliwie wirtuozem w swoim fachu. Zakład prosperował znakomicie. Sam mistrz Matejko wykorzystywał podobno portrety zrobione przez Rzewuskiego (najczęściej do drugiego planu obrazów), w zamian za co pozwalał na fotografowanie swoich płócien i rozpowszechnianie reprodukcji.

- Chciałbym, żeby spojrzął pan na to. - Emanuel przeszedł do sedna, wyjmując z teczki średniej wielkości fotografię. - Niezmiernie ciekaw jestem pańskiego zdania na ten temat. Wprawdzie opisywałem ją szczegółowo w ostatnim liście, ale to zawsze co innego zobaczyć na własne oczy, prawda?

Rzewuski długo i w skupieniu przyglądał się wręczonemu kartonowi. Wreszcie oddał go Emanuelowi wyraźnie poirytowany.

- Oczywiście, poznaję fotografię. Wykonałem ją osobiście - powiedział sucho.

- Czyżby?

- Nie wiem, jakim cudem ta praca opuściła mój zakład, ale zapewniam pana, że się dowiem i wyciągnę konsekwencje. Czy to może sprawka pańskiego przyjaciela z „Tygodnika Ilustrowanego”?

Walery Rzewuski trafił w dziesiątkę. Fotografię podarował Emanuelowi Józef Knebel, młody dziennikarz z krakowskiego „Tygodnika Ilustrowanego”. Do redakcji trafiła ona z kolei za sprawą pewnego ucznia Szkoły Sztuk Pięknych, którego Rzewuski zatrudniał przy retuszowaniu.

- Szuka pan w moim zakładzie sensacji?

Emanuel Henzelmann nałożył binokle i uważnie spojrzął na Rzewuskiego swoimi intensywnie błękitnymi oczami.

- A więc uważa pan fotografię za sensacyjną? - spytał.

Fotograf spurpurowiał.

- Nie - odparł spokojnie, z całej siły próbując zapanować nad emocjami. - Uważam fotografię za nieudaną. Prześwietloną.

- Czy aby na pewno? Proszę tylko spojrzeć...

- Prześwietlona - powtórzył Walery Rzewuski. - Spowodowane jest to prawdopodobnie nieszczelnością lub zużyciem kasety. Takie rzeczy się zdarzają, panie Henzelmann, bywają zdjęcia poruszone lub jak właśnie w tym wypadku, prześwietlone. Moim zdaniem nie powinna w ogóle opuścić tej pracowni. Fuszerka.

Zdjęcie było technicznie nieudane, to prawda.

Przedstawiało ulicę Mikołajską pomiędzy Świętego Krzyża a Małym Rynkiem. Wykonano je zimową porą z pierwszego piętra budynku przy Mikołajskiej.

Po lewej stronie dostrzec można było zaniedbane kamienice południowej pierzei, a w lekko zamglonej dali - wieże kościoła Mariackiego. Na pierwszym planie fotograf uchwycił grupkę przechodniów. Owinięta w czarny szal kobieta przechodziła przez jezdnię, drobny mężczyzna w czarnym cylindrze mijał tablicę reklamową, na której widniał napis: HANDEL ŻELAZA, F. KRUEGER, kilkuletnia może dziewczynka ciągnęła za sobą drewniane sanki.

Ale nie te trzy postacie przyciągały uwagę patrzącego.

Coś biegło w poprzek ośnieżonej jezdni, tuż obok kobiety w czarnym szalu, która odwrócona była w przeciwną stronę.

Coś niewielkiego i złowrogiego.

- Wykonano ją w grudniu ubiegłego roku, prawda? - spytał Emanuel Henzelmann.

- Nie przypominam sobie. Być może.

Zamazana postać za plecami kobiety z całą pewnością posiadała głowę, dwie ręce i biegła na dwóch nogach. Miała co najwyżej metr wzrostu, ale nie było to dziecko. Przeczyły temu proporcje oraz postawa ciała. Ręce były bardzo długie i bardzo cienkie, przypominały łodygi bambusa, natomiast głowa zdawała się stanowczo zbyt duża w stosunku do reszty. Jeśli rzeczywiście fotografia przedstawiała ludzkie dziecko - w co Emanuel Henzelmann szczerze wątpił - było to dziecko niezwykle zdeformowane.

- Na odwrocie jest wypisana ołówkiem data: grudzień tysiąc osiemset siedemdziesiąt osiem - powiedział Emanuel. - To pańskie pismo?

- Do czego pan właściwie zmierza, łaskawy panie? Czy pan może prowadzi policyjne śledztwo?

- Nie pracuję już w policji, panie Rzewuski. Przyszedłem do pana prywatnie.

- Ostrzegłem, że nie mam czasu na...

- Widział pan to coś?

- Nie pamiętam. Pan wybaczy, ale wykonałem w swoim życiu tysiące...

- Ta jest szczególna - po raz kolejny przerwał Rzewuskiemu Emanuel. - Postać na fotografii jest całkowicie naga, zauważył pan? To dosyć osobliwe, jeśli weźmie się pod uwagę, że był wtedy środek zimy.

- Zgadza się.

- Stał pan tego dnia w oknie kamienicy na Mikołajskiej. Na pierwszym piętrze. Czy widział pan może jakąś dziwną postać przebiegającą przez jezdnię?

- Jaką znowu postać? - spytał Rzewuski.

- Niewysoką, przygarbioną. Całkowicie nagą.

- Nic takiego nie widziałem. Przykro mi, ale będę chyba musiał pana przeprosić,

ponieważ...

- Postać, którą utrwalił pan na tej oto fotografii.

Rzewuski raz jeszcze spojrzał na zdjęcie.

- Przecież to tylko plama - powiedział w końcu.

- Plama?

- Tak właśnie. Dobrze pan usłyszał. Najzwyklejsza plama, w której dopatruje się szanowny pan postaci eterycznej. Mówiłem już, że takie duchy powstają najczęściej przez poruszenie osoby fotografowanej. Winien jest długi czas naświetlania kliszy. Każdy student to panu powie, po co więc te historie o duchach?

Zza okna dobiegł ich przeciągły gwizd parowozu. Przedpołudniowy do Lwowa, pomyślał bezwiednie Emanuel.

- Nic nie wspominałem o duchach. Pisałem, że jest to może jakieś nieznane nauce zwierzę. Rodzaj bezwłosej małpy na przykład.

- A gdzież pan tam widzi małpę? - prychnął Rzewuski.

- Za plecami kobiety. Proszę się dokładnie przyjrzeć. Widać oczy, usta, a nawet coś w rodzaju grzebienia na szczycie głowy. Wcale zresztą nie mówię, że to małpa. Wygląda na połączenie małpy z olbrzymią żabą.

Fotograf przeczeszał palcami włosy.

- Z żabą, powiada pan...

- Prawda, że to raczej osobliwe? Pół małpa, pół żaba na ulicy Mikołajskiej. W dodatku w biały dzień.

Walery Rzewuski przetarł palcami oczy, po czym westchnął przeciągle i ruszył w stronę sztucznej grotty. Usiadł obok posągu amorka, na tle fontanny, rozstawił szeroko kolana, jakby szykował się do zdjęcia.

- Pamiętam kobietę, dziecko z sankami i dwóch mężczyzn - powiedział wreszcie, opierając łokcie na kolanach. - Nikogo więcej na ulicy nie było. Żadnej małpy, żadnego psa ani tym bardziej ducha. Proszę mi wierzyć.

- Na fotografii jest tylko jeden mężczyzna - zauważył Emanuel.

- Fotografia jest nieudana.

Komisarz podszedł do fotografa.

- Ale stworzenie na zdjęciu nie przypomina w niczym dorosłego mężczyzny, nieprawdaż?

- Nie przypomina - zgodził się Rzewuski.

- Pamięta pan może, jak wyglądał tamten człowiek za plecami kobiety? Nie wydawał się panu jakiś dziwny?

- Nie pamiętam. Wyglądał chyba zwyczajnie - odparł Rzewuski.

- To znaczy?

- Płaszcz, cylinder, laska...

- Na zdjęciu nie widać żadnej z tych rzeczy...

- Czego to niby dowodzi?

- Chciałbym coś panu przeczytać. - Emanuel sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął z niej złożoną kartkę, jak się okazało, wycinek z gazety. - Oto notatka z „Czasu”. Pochodzi z listopada tysiąc osiemset siedemdziesiątego siódmego roku, a więc niemal z tego samego okresu, kiedy zrobił pan to zdjęcie. Proszę łaskawie posłuchać: „W dniu wczorajszym o godzinie dziesiątej w nocy wracała p. Rozalia Zalewska”... znaczy Zalewska, przepraszam...”żona doktora Franciszka Zalewskiego, dorożką z miasta do swojego mieszkania na ulicy...”

- Nie znam tej pani - zastrzegł się z miejsca Rzewuski.

- Nic nie szkodzi - odparł Henzelmann. - Nie o nią mi akurat chodzi. Na czym to ja?... Aha, dorożką, do domu, tak, tak... o, teraz będzie najważniejsze: „Gdy wysiadła, w bliskości domu dostrzegła dziwne zwierzę do mały podobne”... coś tam, coś tam...”...które z nadzwyczajną chyżością przebiegło na drugą stronę ulicy. Na trotuarze zatrzymało się, będąc jak gdyby... następnie przerażona kobieta z krzykiem powiadomiła stróża, p. Józefa Czarnego, od wielu lat...”

- Skończył pan nareszcie?

- „...ale poszukiwania osobliwego stworzenia okazały się daremne”.

- I co z tego?

- „Jak dowiadujemy się z najpewniejszego źródła...”

- Panie Henzelmann - powiedział fotograf, wstając gwałtownie. - Skończmy wreszcie tę komedię, przestań pan dukać, na miłość boską, bo tego się nie da słuchać! Moja cierpliwość ma naprawdę swoje granice. Czytasz mi pan jakieś brednie, płody dziennikarskiego umysłu, a ja prowadzę tu interes. Poważny interes. Mam zamówienia, które muszę na dziś wieczór zrealizować. Gazety przeglądam sobie po pracy.

- Dostrzegam związek tego artykułu z pańskim zdjęciem - odparł niezrażony Emanuel, składając starannie wycinek.

- Tak, pan dostrzega związek wszystkiego ze wszystkim! - Fotograf nawet nie starał się zachowywać pozorów grzeczności. Widać było, że ta wizyta kosztuje go wiele nerwów. - Ja wiem, że jest pan pogromcą spirytystów, mesmerystów czy kogo tam jeszcze; że wszędzie widzi pan subtelne energie, zjawy, drapieżniki wysysające na Błoniach krew naszym biednym

krowom.

- Nie na Błoniach, tylko w Krzesławicach - poprawił go komisarz.

- Nieistotne, panie Henzelmann. Wiem, że jest pan człowiekiem zawsze i wszędzie szukającym taniej sensacji. No i dobrze, no i na zdrowie. Pańska sprawa. Proszę tylko o jedno: niech pan nie szuka jej w moim zakładzie. Zbyt wiele czasu i pracy kosztowało mnie osiągnięcie dzisiejszej pozycji. Widzi pan ten szklany sufit?

- Owszem, widzę - odparł Emanuel.

- Prawdziwe чудо, nieprawdaż? - Walery Rzewuski podniósł ręce jak postać z religijnego obrazu.

- Rzeczywiście piękny - zgodził się niechętnie Emanuel, ponieważ szczegóły architektoniczne pracowni, choćby tak imponujące jak ów szklany dach nad ich głowami, najmniej go w tym momencie interesowały.

- Tak, piękny. Ale jakże kruchy, panie Henzelmann, jakże kruchy...

* * *

Kilka minut później komisarz znów siedział w dorożce z otwartym na kolanach podręcznikiem języka czeskiego. Systematyczność kluczem do sukcesu. Jeśli dobrze policzyć, była to już siódma lekcja. No nieźle, jeszcze miesiąc, dwa i będzie mógł w miarę swobodnie podyskutować z panem Holoubkiem po czesku o zaginionym dziele Mikołaja Kopernika. Trzeba tylko przyswoić sobie więcej słów w zakresie astronomii, najlepiej kupić słownik naukowy.

Pogoda się popsła, zaczęło padać.

O dach wehikułu uderzały ciężkie krople listopadowego deszczu. To chyba najgorszy miesiąc w roku. Jak po czesku będzie listopad? zastanawiał się Emanuel, kartkując książkę. Aha, *listopad*, czyli całkiem tak samo jak u nas. Nie trzeba zapisywać, szkoda czasu. Za to grudzień to u nich *prosinec*, raczej trudno byłoby się domyślić, prawda? Wyjął zza ucha krótki ołówek i nabazgrał nowe słówko w kajecie. A sierpień to z kolei *srlen*. Podobnie jak po polsku, ale jak oni sobie radzą z tymi zbitkami spółgłosek? Po krótkim wahaniu zapisał i to słówko.

Dorożka zakołysała się na wybojach, wyminęła wóz z węglem i po równiejszej już drodze potoczyła się rażno w stronę Plant. Zerwał się wiatr i deszcz zaczął uderzać w szybę okna.

Emanuel odczytywał słówka, ale myślami był zupełnie gdzie indziej, co rusz musiał wracać do przeczytanego już tekstu, bo zamiast na nim skupiał się na dopiero co zakończonej

rozmowie z Walerym Rzewuskim.

- *Smim Vám z doutníkem sloužiti.* Pozwolę sobie panu służyć cygarem.

Tak, *doutník*. To słówko już się pojawiło.

Tajemnicza sprawa z tą fotografią, prawda? Rzewuski najwyraźniej był przestraszony i dlatego nie chciał rozmawiać. Ale czego się tak obawiał? Że straci dobre imię jako fotograf, bo wypuścił felerne zdjęcie ze swojej pracowni? Bzdura. Musi to być poważniejsza sprawa.

I bardzo tajemnicza.

Komisarz znów wrócił do rozmówek polsko-czeskich F.A. Hora pod tytułem „Rukovet konversace česko-polske”. Najnowsze wydanie, cudem zdobyte dzięki znajomemu księgarzowi. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

Jak już będzie w Pradze, pójdzie do księgarza i kupi sobie jakąś książkę. Trzeba dużo czytać w oryginale.

Zaraz, zaraz... Jak jest księgarz? O, już mam: *knihkupec*.

Czarna dorożka

Tomasz Arsenicz był bez wątpienia najgorszym kataryniarzem w całym dziewiętnastowiecznym Krakowie. Może nawet w całej Galicji.

Doskonale zresztą zdawał sobie z tego sprawę.

Nie dość, że jego instrument wydawał fałszywe dźwięki, to jeszcze młody człowiek prawie w ogóle go dzisiaj nie używał. Za korbę chwycił tylko w ostateczności, kiedy na swojej drodze natrafił na grupkę dzieci, a nie miał okazji wcześniej uciec na drugą stronę ulicy albo schować się do najbliższej bramy. Bezradny wobec gorących próśb dziatwy, rozkładał krzeselko, stawiał na nim zdjęte z pleców czarne pudło i przez kilkanaście sekund kręcił korbą z miną, która skutecznie gasiła uśmiechy na twarzach słuchaczy - skuteczniej nawet niż wydobywające się z instrumentu zgrzytliwe tony.

Tomasz Arsenicz po prostu wstydził się swojej katarynki.

Do Krakowa młodzieniec przyjechał przed tygodniem - na początku listopada - i było to pierwsze jego zajęcie w nowym mieście. Najpierw próbował zatrudnić się na kolei, gdzie pracował znajomy z rodzinnego Lwowa. Bez rezultatu. Nawet do zamiatania ulic i noszenia podróżnym walizek z dworca go nie chcieli. Potem przez cztery dni chodził chłopak po najróżniejszych fabrykach, browarach, magazynach i składach, ale nigdzie nie było dla niego posady.

A jeszcze do niedawna życie wydawało się takie proste...

Zawsze marzył o dalekich podróżach, chciał być marynarzem i podróżnikiem, tak jak bohaterowie książek, które czytał namiętnie od najwcześniejszych lat. Gdy jednak przechorował niedawno cały rejs statkiem po Pełtwi, wiedział już, że marynarzem nigdy nie zostanie. I podróżnikiem też raczej nie. Żeby odkrywać nowe lądy, trzeba żeglować po morzach i oceanach.

Poza tym, jak wyczytał w swoich książkach, każdy z podróżników zawsze czymś się wyróżniał: jeden był świetnym geografem, inny znał obce języki, jeszcze inny był zdolnym inżynierem, a najmniej z nich utalentowany miał chociaż pieniądze, którymi mógł wspomóc

wyprawę.

A co miał Arsenicz?

Nic oprócz marzeń i dobrych chęci.

Szkołę ukończył zaledwie powszechną, potem uczył się na ślusarza w warsztacie swojego wuja. Lecz na co komu ślusarz przy odkrywaniu nowych łądów? Pomyślał więc, że mógłby chociaż zostać strażakiem. Zawsze to państwowa posada, piękny mundur i okazji do bohaterskich czynów bez liku. Niestety, okazało się, że przyjmowano prawie bez wyjątku ludzi urodzonych w Krakowie.

Sytuacja powoli stawała się niewesoła.

Przyjechał w jednym tylko ubraniu, z pożyczonymi od brata pieniędzmi, które zapewniały skromne, ale to bardzo skromne życie na najbliższe dwa, trzy tygodnie. Pokój wynajął na Kleparzu, bo tanio. Była to nie opalana izba w suterenie, którą dzielił z czeladnikiem od krawca, chorowitym młodzieńcem o pociągłej, wiecznie stroskanej twarzy.

Ale to i tak było lepsze niż ciasna komórka u ciotki i bliskie towarzystwo wiecznie pijanego ojca, na które skazany był od czasu pożaru ich rodzinnego domu.

Nikt nie wie, jak doszło do zaprószenia ognia tamtej nocy.

Młodzieniec spędzał ją u pewnej damy, nie pierwszej już młodości, która zapału i werwy miała więcej niż tuzin młodych dziewcząt. Kiedy wrócił do domu nad ranem, zastał już tylko dymiące zgliszcza i wstrząśniętych sąsiadów załamujących ręce nad tym nieszczęściem. Dzięki Bogu, nikt nie zginął w płomieniach. Stróż Józef wyniósł kompletnie pijanego starego Arsenicza w ostatniej niemal chwili.

Policja podejrzewała, że ogień powstał od przewróconej lampy naftowej, której powyginane pod wpływem gorąca szczątki znaleziono przy łóżku jego ojca. Ten pewnie pił do późna w nocy, jak to miał w zwyczaju, a potem usnął, nie zgasiwszy lampy.

Policja zamknęła szybko śledztwo, nie doszukawszy się znamion przestępstwa, a Tomasz Arsenicz został bez dachu nad głową, w marnym ubraniu i bez pieniędzy. Nic się nie uratowało, dobytek całego życia jego rodziców długo jeszcze dymił pod gruzami rodzinnego domu. Dobrze, że matka tego nie dożyła, pomyślał wtedy młody człowiek. Starego Arsenicza zabrała do siebie jego siostra, wiecznie zrzędząca Pelagia, Królik po mężu.

Dla Tomasza została już tylko ciasna śmierdząca komórka, w której ciotka trzymała kiedyś króliki.

I codzienne wysłuchiwanie tyrad na temat pijaków i ich synów nierobów.

Oprócz starszego brata, który kilka lat temu ożenił się i wyprowadził na swoje, Tomasz nie miał już nikogo bliskiego. Nie mógł się wszakże do niego wprowadzić, ponieważ młodzi

sami gnieździli się w maleńkim tylko pokoiku, a lada dzień ich rodzina miała się powiększyć o następne dziecko. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak wyjechać z miasta w poszukiwaniu jakiejś pracy. Ktoś mu mówił, że w Krakowie o pracę łatwo. Pożyczył więc pieniądze od brata i wyruszył w podróż.

Teraz chętnie dorwałby tego, co mówił o tej łatwej pracy w Krakowie. Te marne parę groszy, jakie miał ze sobą, nie mogły mu starczyć na zbyt długo, mimo że żywił się głównie bułkami, ziemniakami i mlekiem. Tylko na papierosach nie oszczędzał, jakieś przyjemności trzeba w końcu mieć, inaczej cóż to za życie?

Musiał znaleźć zajęcie.

W końcu - za namową wąsatej właścicielki mieszkania - kupił za grosze od handlarza starzyzną zepsutą katarynkę, aby mieć jakikolwiek dochód do czasu, kiedy znajdzie normalną pracę. Niedługo grudzień, wiadomo: Boże Narodzenie, może uda się zatrudnić przy ścinaniu i sprzedaży choinek. Oby tylko przetrzymać ten najgorszy okres. Przyjdzie wiosna, ruszą budowy, będzie dużo łatwiej.

Pierwszy dzień z katarynką na plecach okazał się jednak trudny. Ścisłej mówiąc, okazał się całkowitą katastrofą.

Przez godzinę Tomasz Arsenicz nie mógł się zmusić do gry. Przemierzał tonące w jesiennym błocie ulice, przystawał pod oknami, wchodził nawet na ciemne podwórka, wzbudzając zainteresowanie dzieci i psów, ale jego instrument uparcie milczał. Mężczyzna zapalał tylko papierosa i nucił pod nosem jakieś mocno zniekształcone arie z oper Rossiniego czy Bizeta.

Rzecz jasna, za tego rodzaju występy nikt nie zamierzał mu płacić. Kiedy wreszcie uruchomił katarynkę w jakiejś bocznej uliczce, z całą oczywistością zdał sobie sprawę, że nie zarobi w ten sposób ani grosza. Upiorny walczyk, jakim uraczył mieszkańców, sprawił jedynie, że zadrzały szyby w zamykanych gwałtownie oknach, z dachu zerwały się gołębie, a przyglądający mu się z parapetu pierwszego piętra szary kocur z niesmakiem wrócił do ciepłego mieszkania.

Po czterech godzinach dźwigania ciężkiego pudła skarbonka Tomasza Arsenicza wciąż była pusta. Przemoczony i zmarznięty, w wyszarzonym cylindrze i rozdeptanych butach, które - a jakże - również dostał od starszego brata, młody mężczyzna bezproduktywnie przemierzał ulice Krakowa.

Mijał ulicznych sprzedawców, którzy na gorących blachach mieszały włoskie kasztany, z zazdrością zaglądał przez zaparowane szyby do eleganckich kawiarni, cukierni i restauracji, gdzie mężczyźni i kobiety wymieniali uśmiechy w łagodnym blasku świec, patrzył na

przepych magazynów handlowych, wdychał ciężkie zapachy hotelowych kuchni, uciekał z drogi dorożkom, które toczyły się we wszystkich kierunkach, wioząc wypomadowanych adwokatów, lekarzy i bankierów na proszone obiady, koncerty muzyki kameralnej, wystawy obrazów.

Dopiero kiedy zapadł zmierzch, dał za wygraną. Postanowił wrócić do swojego pokoju, rzucić cholernym pudłem o ścianę i na nowo przeanalizować sytuację.

Kataryniarz! Dobrze sobie. Pomyśleć tylko, że jeszcze miesiąc temu chciał się zaciągnąć na statek i opłynąć cały świat. A przynajmniej dotrzeć do Ameryki, gdzie ludzie robią milionowe fortuny.

Przeszło mu po tamtym rejsie po Pełtwi, ale z marzeń o przygodzie i wielkich czynach nie zrezygnował.

Był młody, przystojny, pełen energii i ambicji, tymczasem marnował czas, nosząc na plecach - niczym garb - bezużyteczny instrument.

Do Kleparza, gdzie mieszkał, było daleko, w dodatku zaczął padać zimny deszcz. Tomasz Arsenicz przyspieszył więc kroku. Z ulicy Floriańskiej skręcił w zygzakowatą Pijarską. Przeszedł obok witryny zegarmistrza i zamykanej właśnie apteki. Aptekarz zasunął kratę, trzymając pod pachą palto, parasol oraz jesionową laskę.

- Co za parszywa pogoda - westchnął, kiedy Tomasz Arsenicz przechodził za jego plecami.

- Katastrofa - odpowiedział młody człowiek zadowolony, że ktoś w tym mieście w końcu się do niego odezwał.

Przeszedł na drugą stronę ulicy. Wyprostowawszy się dumnie, minął grupkę wracających z pracy rozchichotanych szwaczek, potem przystanął, aby przepuścić hałaśliwą dorożkę, w której okienku ujrzał blady profil młodej kobiety. Ładna. Może jakaś aktorka? Nowa Modrzejewska? Świat teatru był dla niego równie nierealny jak ogrody Semiramidy, o których opowiadała mu w dzieciństwie matka.

Kiedy dotarł do ulicy Długiej, rozpadało się na dobre. Podniósł kołnierz kapoty, nacisnął mocniej na głowę niekształtny cylinder.

Najlepsza na zimę byłaby praca w cieple, pomyślał. Subiekt w eleganckim sklepie, od dziewiątej rano do ósmej wieczór, sprzedaż parasolek, lasek i rękawiczek, piękne kobiety z towarzystwa - słowem, wielki świat, nic dodać, nic ująć.

Albo zatrudnić się gdzieś jako służący - to jest to.

Zatrzymał się na chwilę przy słupie ogłoszeniowym, żeby zapalić papierosa. Kurzył, delektując się marzeniami o pracy przy dokładaniu drew i trzepaniu dywanów w wielkim

domu jakiejs bajecznie bogatej arystokratki.

Nie, bez znajomości nie ma na to żadnych szans. Nikt nie zatrudni przecież człowieka prosto z ulicy. Deszcz zgasił mu dopiero co zapalonego papierosa. Arsenicz zaklął, rzucił niedopałek na ulicę.

- Młody człowieku!... - usłyszał naraz męski głos.

Odwrócił się i zobaczył zaparkowany pod drzewem czarny jak smoła powóz z podniesioną budą. Pojazd zaprzężony był w parę karych koni, które stały nieruchomo jak odlane ze spiżu. Nogi zwierząt oraz koła powozu przesłaniała osobliwa różowa mgła. Dziwne, pomyślał obojętnie, jakby tak naprawdę wcale nie był tym widokiem zbyt zaskoczony.

W środku pojazdu ktoś siedział, ale widać było właściwie tylko olbrzymi kapelusz. Też zresztą czarny.

- Tak? - powiedział niepewnie Tomasz, przekonany, że pasażer pragnie zwrócić uwagę na jego niestosowne słownictwo.

- Jesteś kataryniarzem?

Trochę dziwne pytanie, zważywszy na całkiem dobrze widoczny bagaż na plecach. Może właściciel czarnego kapelusza miał problemy ze wzrokiem?

- Tak... A właściwie już nie - odparł Tomasz, przybrawszy niedbałą pozę.

Przez jakiś czas tajemniczy pasażer czarnego powozu nie odzywał się, jakby na tym stwierdzeniu wymiana zdań miała się zakończyć.

- Może chciałbyś trochę zarobić? - spytał w końcu. Głos miał wyjątkowo bezbarwny, jakiś taki mechaniczny, trudno było po nim rozpoznać wiek mężczyzny.

- Katarynka jest zepsuta - odparł posepnie Arsenicz. - Nie da się jej słuchać. Sam nie mogę znieść dźwięku tego przeklętego pudła.

Kolejna chwila ciszy.

Gdzieś w tle narastał dziwny odgłos.

- Nie chodzi mi o muzykę, młody człowieku.

Kataryniarz przekrzywił zawadiacko cylinder, aż z ronda pociekła woda. Wyjął nowego papierosa i wsadził go do ust, nie spuszczać wzroku z okna pojazdu.

- Więc o co?

- Może wsiądzie pan do powozu? Porozmawiamy spokojnie.

Pasażer nie patrzył teraz na niego, był zwrócony do kataryniarza profilem. Arsenicz wydobyl z kieszeni tekturowe pudełko zapalek. Błysnął pomarańczowy płomyk w muszli złożonych dłoni.

- No nie wiem. Właściwie, szanowny panie, ja pana w ogóle nie znam...

Wbrew okazywanej pewności siebie jego głos zabrzmiał słabo, prawie niesłyszalnie. W ogóle czuł się jakoś niewyraźnie, jakby zaczynała go rozkładać choroba. Czuł w dołku nieprzyjemne wirowanie. Dziwne mrowienie przechodziło z tyłu głowy aż do pleców, ręce mu lekko zdrętwiały, nogi też miał słabe. Tego by jeszcze brakowało, żeby rozchorować się w pierwszym dniu pracy, nie zarobiwszy nawet na lekarstwa.

To już trzeba by mieć pecha, nie ma co!

- Proszę się nie bać - odparł beznamyślnie tajemniczy mężczyzna w czarnym kapeluszu, wciąż odwrócony profilem, jakby przemawiał nie do kataryniarza, tylko do jakiegoś siedzącego vis-à-vis współpasażera. - Woli pan tak moknąć na deszczu? Przeziębci się pan tylko. Mam pewną propozycję. Całkiem korzystną, jak mniemam.

- Jak bardzo korzystną? - spytał Arsenicz.

- Dużo pan dzisiaj zarobił na kręceniu korbą, młody człowieku? - zapytał cudzoziemiec po kolejnej chwili zadumy.

Kataryniarz wypuścił dym nosem.

- Nie narzekam - skłamał.

- Ale chyba nie wystarczy na nowe buty, mam rację? Zima się zbliża, a to co ma pan na nogach, rozleci się, zanim spadnie pierwszy śnieg.

A jednak jest spostrzegawczy, pomyślał Arsenicz, automatycznie zerkając na swoje, pożałował się Boże, obuwie.

- Tak pan sądzi? - zapytał mniej już zawadiackim tonem.

- Jestem tego pewien.

Arsenicz uśmiechnął się lekko pod płowym wąsem.

- No cóż, przekonał mnie pan - powiedział.

- Bardzo jestem rad, ale proszę zgasić tego papierosa, zanim pan wejdzie. Nie toleruję dymu.

Tomasz Arsenicz ponownie się uśmiechnął. Pstryknął niedopałkiem w pobliskie zarośla. Mikroskopijny meteor zgasł w połowie lotu. Mężczyzna poprawił cylinder i ruszył w kierunku czarnej dorożki. Wszystko wskazywało na to, że dzisiejszy dzień wcale nie musi być tak do końca stracony.

3

Relacje

Miasto spowijał już zmierzch. Emanuel Henzelmann stał w oknie swojego gabinetu, palił papierosa i spoglądał na pograżającą się w mroku ulicę Szpitalną. Mimo późnej pory panował całkiem spory ruch. Nic dziwnego, ulica prowadziła przecież do dworca kolei żelaznej. Szczególnie często przejeżdżały tędy dorożki i wozy z węglem, robiąc mnóstwo hałasu na nierównym bruku.

Ciężko się w takich warunkach skupić, oj, ciężko, a Emanuel miał się tego popołudnia nad czym zastanawiać.

Przedpołudniowa wizyta u fotografa dała mu wiele do myślenia. Dziwne, do tej pory uważał, że zdjęcie to zwykła mistyfikacja, niewinny żarcik znudzonego studenta. Miał już do czynienia z podobnymi sztuczkami. Najczęściej astralne zdjęcia preparowano poprzez dwukrotne naświetlenie negatywu lub pozytywu, a czasami sklejąc po prostu ze sobą dwa negatywy.

Przed kilku laty czasopismo „British Journal of Photography” zamieściło nawet całą serię portretów zjaw. Autor okazał się oszustem. Występujące w roli duchów osoby rozpoznawano potem na londyńskich ulicach w postaciach bynajmniej nie eterycznych.

Wyglądało na to, że tym razem sprawa jest poważniejsza. Przyciśnięty do muru Rzewuski zareagował w sposób zaskakujący. Zamiast skwitować rzecz śmiechem, dał się ponieść nerwom. Był wyraźnie przestraszony. Tak, Emanuel potrafił bezbłędnie rozpoznać ludzki strach, choćby najstaranniej ukrywany. Lata pracy w policji wielce wyostrzyły jego zmysły.

Lecz czego właściwie bał się fotograf? Czyżby tego, że utraci reputację, bo nie wyszło mu zdjęcie? Raczej nie o renomę firmy tutaj chodziło. Może tamtego zimowego dnia Walery Rzewuski rzeczywiście ujrzał coś z okna kamienicy?

Emanuel wielokrotnie odgrywał w wyobraźni tę scenę: fotograf rozkłada statyw w chłodnym i mrocznym pomieszczeniu na pierwszym piętrze, starannie montuje kamerę, jakiś czas obserwuje ulicę przez otwarte na oścież okno, może nawet przegania przysiadające na parapecie gołębie, a potem chowa się nagle pod czarną płachtą i po chwili zdejmuje blaszaną

przesłone z obiektywu.

Co stało się później? Czy fotograf wynurzył się spod płachty z wyrazem zaskoczenia na twarzy? Wychylił się przez okno? Napotkał bezlitosne spojrzenie żabopodobnej istoty? Wątpliwe.

A może przestraszył się dopiero po wywołaniu zdjęcia? Przestraszył się, ponieważ ujrzał na nim coś, czego przez okno nie widział? Zamiast mężczyzny w wysokim cylindrze zobaczył - na przykład - nagiego stwora.

Najprościej byłoby chyba odnaleźć osoby utrwalone na zdjęciu. Mężczyzna, dziewczyna w szalu i dziecko z sankami. Nie znał żadnej z nich, ale nie powinno być większych problemów z ustaleniem ich tożsamości. Wprawdzie niewielka jest szansa, żeby zapamiętały, kto siedł obok nich ulicą prawie rok temu, ale może akurat zauważyły coś dziwnego. Nie zawadzi sprawdzić.

Do przemyślenia.

Zegar wydzwonił czwartą, zaczęto składać szare parasole nad straganami i zapalać gazowe latarnie. Emanuel podszedł do zawalonego papierami biurka, wyjął z szuflady lupę, po czym po raz tysięczny chyba spojrzął na zagadkową fotografię.

Im dłużej jej się przyglądał, tym wyraźniejsza zdawała się postać przemykająca za plecami kobiety.

Zapalił lampę naftową ze stożkowym abażurem.

- Ciekawostka - powiedział do siebie, siadając na wyściełanym krześle, z którego musiał wpierw przegonić kota.

Nieludzka postać - to pewne. Zupełnie jakby materializowała się pod jego czujnym spojrzeniem. To co z początku sam uważał za zwykłą plamę albo robotę żartownisia, w miarę badania nabierało coraz konkretniejszych kształtów. Nie była to, jak uparcie utrzymywał Walery Rzewuski, usterka techniczna. Emanuel zdążył już w tej kwestii zasięgnąć opinii kilku krakowskich fachowców. Pokazał im fotografię jeszcze tego dnia, kiedy znalazła się w jego rękach. Eksperci byli zdania, że zdjęcie rzeczywiście coś przedstawia.

Tylko co?

Niektórzy sądzili, że to biegnące dziecko, inni mówili, że może to być karzeł, jeden z fotografów dopatrzył się w tym wizerunku małpki kataryniarza.

A może to stworzony przez alchemików homunkulus? Według opisów miał wyglądać przecież jak pomarszczone dziecko. To by się zgadzało.

Albo golem.

Albo dzieło jakiegoś doktora Frankensteina.

Mężczyzna zgasił papierosa w fajansowej popielniczce, wstał z krzesła i wrzucił niedopałek do kominka. Następnie z szuflady biurka wyjął granatową teczkę, w której od lat gromadził materiały dotyczące różnych tajemniczych, niezbadanych zjawisk. Istne panoptikum. Projektował nawet napisanie książki na ten temat, ale wciąż nie mógł się zmobilizować do pracy. Ciągłe coś mu przeszkadzało. Tymczasem teczka stawała się coraz grubsza. Były w niej wycinki prasowe, dziwne fotografie, ilustracje, kopie dokumentów, wypisy z książek oraz jego własne komentarze.

Niektóre z tych dokumentów dotyczyły niezwykle zwierząt.

Emanuel odszukał je teraz i rozłożył przed sobą na biurku. Wybrał kilka, ułożył w stosik, a resztę schował z powrotem do teczki.

Najpierw przyjrzał się reprodukcji szesnastowiecznego rysunku, którego autorem był Antonio Bandello, nieco zapomniany malarz i rzeźbiarz z Florencji.

Rysunek przedstawiał przedziwną istotę na tle górskiego krajobrazu. Dwunożny stwór, pokryty gładką, prawdopodobnie szarą skórą, przykucnął u wejścia do jaskini. Drobne ciało z długimi cienkimi rękami zaznaczone było raczej pobieżnie, za to wielka głowa, z czymś w rodzaju kostnego wachlarza na wysoko sklepionym czole, została oddana tak sugestywnie, że za każdym razem kiedy na nią spoglądał, Emanuel czuł pomiędzy łopatkami nieprzyjemny dreszcz.

Tak było i teraz. Odsunął kartkę na bok.

Drugi rysunek pochodził z tego samego okresu, ale nie był już dziełem artysty. Biegnąca postać o nietypowej budowie ciała, choć ponad wszelką wątpliwość dwunożna, odtworzona została bardzo nieudolnie, jakby narysowało ją dziecko. Autorem był niejaki Johannes Schongauer, niemiecki rzemieślnik z Norymbergii, który mieszkał we Florencji mniej więcej w tym samym czasie co Bandello. Uwagę zwracał olbrzymi łeb istoty i wyrastające z niego krótkie jak u diabła rogi. Pod rysunkiem znajdowało się kilka zdań opisu. Wynikało z niego, że takie właśnie zwierzę, nazwane tutaj zielonym czartem, widział autor późnym wieczorem 2 sierpnia 1511 roku na placu Santa Croce. Świadcami zdarzenia mieli być również Giuliano Scotto, Giacomo Luini i Andrea di Credi, kimkolwiek ci dziwni ludzie byli.

Gdzieś z sąsiedniej ulicy doszedł naraz świdrujący uszy głos popsutej katarynki. Mechaniczny walczyk na szczęście urwał się po kilku taktach i znowu nastała cisza.

Jest jeszcze wzmianka z dzieła Konrada Gessnera, szesnastowiecznego przyrodnika z Zurychu. Bezwłose stworzenie o czerwonych źrenicach zostało nazwane w jego obszernym dziele zmijokotem, uczony opisał je nawet szczegółowo, ale umieszczenie tego opisu pomiędzy charakterystykami jednorożców oraz gryfów mocno podważało w oczach

Emanuela Henzelmana wiarygodność źródła.

Na kolejnych kartkach przepisane były relacje z Wysp Brytyjskich, gdzie tajemnicze stworzenia widywano wyjątkowo często.

Czwartego listopada 1598 roku w Bungay (hrabstwo Suffolk) William Kid zobaczył na dachu swojej stodoły ciemnoszarą istotę o czerwonych oczach. Wezwał na pomoc sąsiadów. W sumie dwanaście osób - wszyscy wymienieni z nazwiska - starało się przegonić intruza, który zachował niezwykle spokój. Przesiedział na dachu do białego rana, a następnie zeskoczył i bardzo szybko pobiegł przez pole w stronę lasu.

Nawet ciekawe.

Kolejna kartka powędrowała na bok.

Z kolei na wyspie Canvey odkryto w październiku 1683 roku wyrzucone na brzeg szczątki nieznanego zwierzęcia o szaroniebieskiej skórze. Co się z nimi stało - nie wiadomo. W hrabstwie Devon widziano biegnącego przez pole „szarego diabła”, potem odkryto jego ślady na błotnistym brzegu strumienia. Wedle opisu były raczej nieduże, nieco zakrzywione. Na każdym wyraźnie zachowały się odciski trzech palców zaopatrzonych w szpony. To był już rok 1713.

Potem Ulverton. Wycinek z „Illustrated London News”. Dwie małe istoty nastraszyły siedmioosobową rodzinę.

Nie koniec na tym.

Hrabstwo Kent. O, tutaj są rysunki. Trzy strony cudem zachowanego dziennika córki proboszcza przesłane Emanuelowi przez jej potomków, którzy mieszkają bodaj w Manchesterze.

Dziewczyna pisze, że w czasie pewnego wietrznego popołudnia widziała pomiędzy drzewami przykościelnego cmentarza monstrum, które zdawało się obserwować jej dom. Dwie strony opisu, do tego obrazek, całkiem udany. Wzmianka o tym samym demonie znalazła się jeszcze w jednym z listów miejscowego lekarza, niestety nie jest to już oryginał, tylko przykład wzięty z książkowej publikacji. Autor przytacza fragment:

„W naszym porośłym bluszczem kościele zagnieździł się chyba Behemot, gdyż nocami słyhać osobliwe głosy, a pewna kucharka z [tu zamazane] przysięgała nawet, że widziała w oknie świątyni diabelski łeb. Sama widzisz; najdroższa Emmy, jakie nastroje u nas panują...”

Emanuel zdjął z nosa binokle, potarł powieki, przeciągnął się na krześle. Pod wpływem ostatnich relacji wyobraził sobie ponury kościół na skraju wrzosowiska, wysoki, obrośnięty bluszczem budynek z szarego kamienia. Dzikie i przygnębiające miejsce. Młoda kobieta zupełnie sama w mrocznym pokoju. Na kolanach otwarta książka. Wiatr jęczy w zaroślach.

Strugi deszczu spływają po szybie.

A cóż to przemknęło przez furtkę w żywopłocie okalającym stary ogród? Coś szarego i złowrogięgo.

Diabeł.

Co ciekawe, ślady diabła widziano również niemal po sąsiedzku, na granicy Galicji. Donosił o tym „Illustrated London News” z marca 1855 roku. Już po rosyjskiej stronie znajduje się wzniesienie zwane Piaskową Górą. Właśnie tam, jak napisał jeden z czytelników w liście do redakcji, widywano zimą pozostawione na śniegu diabelskie ślady. Emanuel planował kiedyś nawet odwiedzić to miejsce, aby dokładnie zbadać sprawę, tyle że zawsze miał ważniejsze rzeczy na głowie. Może teraz nadszedł odpowiedni moment? Gdzie dokładnie znajduje się ta Piaskowa Góra?

Ostatnie relacje brzmiały już zupełnie fantastycznie. Człekojaszczur z Glasgow, człekoćma z Manchesteru, człowiek kozioł, człowiek mól (właściwie nie wiadomo skąd, pewnie z jakiejś szafy), człowiek sowa (Birmingham), stworzenie ze skrzydłami nietoperza widziane w irlandzkim hrabstwie Cavan. W każdym z tych miejsc odnaleziono również okaleczone zwierzęta, najczęściej krowy i owce.

Co łączy te relacje? Jeśli pominąć ostatnie przypadki, niewątpliwie można dostrzec wyraźne podobieństwo opisywanych istot do stworzenia, które zostało uwiecznione na fotografii. Niewielki wzrost, szara lub też szaroniebieska skóra, duża głowa i cienkie kończyny. Oczywiście były również niewielkie różnice. Wygląda więc na to, że mamy do czynienia z osobnikami wprawdzie różnej rasy, ale tego samego gatunku. Problem w tym, że nie istnieją żadne materialne dowody na ich istnienie: nikomu nie udało się złapać szarej bestii, żaden biolog nie badał nawet martwego ciała. Co tu dużo gadać, niewyraźna fotografia i prasowe sensacyjki to o wiele za mało, by przekonać świat naukowy o istnieniu nieznanego człekokształtnego zwierzęcia.

Emanuel schował papiery i fotografię do teczki, tę zaś włożył do szuflady. Usiadł w fotelu, wyjął bibułkę i tytoń, skrzył papierosa. Zapalił, po czym odchylił się do tyłu i splótł ręce na karku. Czarny kocur skorzystał natychmiast z okazji i wskoczył mu na kolana, podstawiając do głaskania gładki kark i mrużąc pieszczotliwie żółte ślepie.

Kapitan Nemo, nazwany tak na cześć bohatera książki, którą Emanuel przywiózł sobie zeszłego roku z Paryża, był bardzo przyjaznym i łagodnym zwierzęciem. Dzięki tym jego cechom charakteru komisarz przymykał oczy na wysnute z dywanu nitki i postrzępione oparcia foteli, widome efekty działania nudzącego się w domu kota. Od śmierci żony, która nie była aż tak wyrozumiała dla Nema, stary komisarz przestał zwracać na takie szczegóły

uwagę.

Jeśli to szare stworzenie istnieje naprawdę, myślał teraz Emanuel, to z całą pewnością nie pochodzi z Europy, tylko zostało przywiezione tu z innego kontynentu. Tylko skąd? To jest dobre pytanie. Najprawdopodobniej z Afryki, tam mieszka przecież najwięcej dziwolągów.

Wolną ręką pogłaskał mruczącego głośno kota i zaciągnął się dymem. Ognik papierosa poczerwieniał w półmroku.

Chociaż tak często widywano je na Wyspach, że w grę wchodzi również Indie, Afganistan, a nawet Chiny. Kto wie, może jakiś brytyjski generał przywiózł sobie do Londynu taką bestyjkę zamiast hinduskiego służącego? Rozpoczął modę na dziwaczne stworzenia. Tylko czemu utrzymywane by to było w tak ścisłej tajemnicy?

Mężczyzna zamknął oczy i pogрузzył się w zadumie. Z zamyślenia wyrwał go odgłos kroków pod oknem, a potem skrzypnięcie bramy.

Po chwili do jego pokoju zapukał lokaj, świeżo zatrudniony chłopak z Miechowa.

- Jakaś dama chce się z panem widzieć - powiedział przez drzwi. - Wpuścić?

Dziwna wizyta

Pierwszą rzeczą, na jaką zwrócił uwagę Emanuel Henzelmann, kiedy kobieta weszła do gabinetu, był długi czarny szal, taki sam, jaki miała dziewczyna na fotografii. To niemożliwe, pomyślał komisarz, podnosząc się z fotela. Kapitan Nemo zeskoczył z kolan pana ze zjeżonym jak szczotka ogonem. Sycząc nieprzyjaźnie na gościa, zaczął wycofywać się powoli pod fotel.

- Przepraszam, że nachodzę o tak późnej porze, ale... doprawdy musiałam z panem porozmawiać. - Kobieta stanęła na środku pokoju, poza zasięgiem światła naftowej lampy, nieruchoma jak wystawowy manekin. - Nazywam się Helena Haller i jestem córką profesora Kijańskiego.

* * *

Ciemność za oknem, natarczywe uderzenia listopadowego deszczu o szybę, mocna herbata w kremowych filiżankach.

Ogień trzaskający w kominku.

- A więc uważa pani, że jej czcigodny ojciec doznał załamania nerwowego w ostatnich latach swojego życia? - spytał Emanuel Henzelmann.

- Tak sądzę. To znaczy: do niedawna jeszcze tak mi się wydawało.

- Rozumiem, że teraz ma pani na ten temat inne zdanie.

- Można tak to ująć.

Ten czarny szal to zapewne tylko zbieg okoliczności, pomyślał Emanuel, drżącą ręką unosząc do ust filiżankę stygnącej herbaty.

Pierwsze wrażenie było mylne. Kobieta ze zdjęcia jest niższa i nieco tęższa, a w dodatku chyba dużo młodsza. Gęsta woalka zasłaniała teraz twarz gościa i utrudniała jakiegokolwiek porównania. Z głosu i ze sposobu mówienia przypominała nieco młodą Helenę Modrzejewską, którą komisarz miał okazję kilkakrotnie podziwiać na scenie. Choćby w „Zbójcach” Schillera.

Czyżby więc aktorka? Czy córka Leopolda Kijańskiego jest komediantką? Właściwie czemu nie? Nigdy nic nie wiadomo.

- Chociaż nagle zaczął się zachowywać naprawdę dziwnie. Sama już nie wiem, co o tym myśleć... Utrzymywał, że odwiedzają go nocami jakieś tajemnicze istoty.

Spod fotela pod oknem dobiegały groźne, niskie dźwięki wydawane przez Kapitana Nemo.

Kobieta poruszyła się niespokojnie.

- Duchy? - spytał Emanuel.

Helena Haller pokręciła głową w olbrzymim kapeluszu.

- Nazywał je gnomami czy jakoś tak podobnie.

- Interesujące, bardzo interesujące... - Sięgnął po ołówek i zapisał coś na marginesie otwartej książki. - Dlaczego przyszła pani z tym do mnie dopiero teraz? - spytał po chwili. - Od śmierci profesora upłynęło już, o ile się nie mylę, parę dobrych miesięcy. Umarł w marcu?

- Prawdopodobnie w marcu. Wyjechał pewnego styczniowego dnia, nagle, nie uprzedzając nikogo. - Kobieta mówiła powoli, bez emocji, jakby wypowiadała wyuczoną na pamięć kwestię. - W lutym dostałam od niego list, w którym pisał, że jest w drodze do Ameryki Południowej, gdzie spodziewa się odkryć jakieś tajemnicze plemię żyjące w głębi dżungli.

- Mówił coś wcześniej o tych ludziach? - zainteresował się komisarz.

- Tak, wspominał o jakichś dziwnych istotach, właśnie tych gnomach, ale nie przykładałam do tego większej wagi. Sam pan rozumie... W kwietniu dostałam następny list - podjęła po chwili - tym razem od współpracownika mojego ojca, który towarzyszył mu w tej podróży. Pisał, że ojciec zginął od strzał dzikusów zamieszkujących amazońską dżunglę i że on, ten współpracownik, pochował go nad brzegiem rzeki, której nazwy nie zapamiętałam. Przesłał mi też jego rzeczy osobiste, jakieś notatki, rysunki, nic specjalnie ważnego.

Kobieta milczała przez chwilę.

- Słyszałam, że ma pan fotografię jednej z tych istot, które dręczyły papę i których pojechał szukać - powiedziała w końcu. - Cały Kraków o tym mówi. Podobno objeżdża pan pracownie fotograficzne, pokazując zdjęcie ducha z Mikołajskiej.

- Tak to nazwano?

- Duch z Mikołajskiej to obecnie najmodniejszy temat rozmów - odparła bez krzty wesołości w głosie. - Niektórzy nawet nazywają tę postać „diabłem z ulicy Mikołajskiej”.

- A ja myślałam, że prowadzę dyskretne i ciche dochodzenie - uśmiechnął się Emanuel. - Cóż, to nieduże miasto. Nie pije pani herbaty?

- Dziękuję - ucieła sucho. - Zdecydowałam się na spotkanie z panem, gdyż fotografia ta, jeśli oczywiście jest autentyczna, stawia w zupełnie nowym świetle opowieści mojego biednego ojca. - Odchrząknęła. - Prawdę mówiąc, nikt w rodzinie nie brał ich poważnie. Sam pan rozumie, brzmiało to tak... nedorzeczenie. Nocne wizyty, gnomy, jarzące się czerwono oczy, opowieści o jakiejś gadziej cywilizacji...

- Słowem, uznaliście, że ojciec oszalał.

Helena Haller zawahała się.

- Lekko zdziwaczał na starość - powiedziała.

Emanuel Henzelmann nigdy nie poznał osobiście Leopolda Kijańskiego, ale wystarczająco wiele słyszał i o nim, i o jego pracach, by zdawać sobie sprawę, jakiego formatu był to człowiek. Pozostałych informacji dostarczyła mu tego wieczoru rodzona córka profesora.

Przede wszystkim był to niezmiernie ceniony w środowisku naukowym botanik, a przy tym podróżnik, który przemierzył w swoim długim życiu pół świata.

Urodził się w 1806 roku w Wilnie jako dziewiąte dziecko Józefa Kijańskiego, wybitnego chirurga i szanowanego profesora. Podobnie jak ojciec ukończył medycynę, a następnie studiował w Berlinie nauki przyrodnicze.

Mnóstwo podróżował.

Wielokrotnie odwiedził Nowy Jork, w 1859 roku prowadził badania w Egipcie, a rok później w Sudanie; na statku parowym „Henry Venn” podróżował w górę Nilu Białego i Sobatu; w roku 1866 wziął udział we francuskiej ekspedycji, której zadaniem było zbadanie rzeki Ogowe. Podróżując pieszo i na mule, zwiedził również Amerykę Południową - dziewicze tereny Gwatemali, Hondurasu i Panamy, a także dżungle Boliwii oraz góry Peru. Do tego wszystkiego należy dodać jeszcze liczne wyspy Antarktyki, gdzie pływał regularnie w połowie lat sześćdziesiątych.

W środowisku naukowym krążyły o nim najrozmaitsze legendy.

Podobno cudem uniknął śmierci podczas sztormu na Pacyfiku, chorował na malarię, murzyńska dzida o centymetry minęła jego ucho podczas wyprawy mającej za cel zbadanie dopływów Konga.

Powiadano również, że w ostatniej chwili udało się go odwieść od udziału w szalonym amerykańskim projekcie, mającym polegać na wystrzeleniu kilku śmiałków w stronę Księżyca we wnętrzu aluminiowego pocisku artyleryjskiego.

O ile w afrykańskie przygody profesora można było jeszcze uwierzyć, to ta ostatnia wiadomość musiała już być zmyślona przez dziennikarzy. W każdym razie Emanuel nie

dawał jej wiary. Człowiek wystrzelony w takim pocisku nie miał najmniejszych szans na przeżycie i kto jak kto, ale profesor powinien sobie z tego zdawać sprawę. Czego ci dziennikarze nie wymyślą, żeby tylko zwiększyć nakład gazety! Komisarz doskonale znał ich sztuczki.

W 1872 roku wrócił do Krakowa, był profesorem uniwersytetu, pisał prace naukowe, stworzył katalog „Flora Cracoviensis”, współredagował również jakieś skromniutkie czasopismo botaniczne. To w zasadzie tyle. Nie uczestniczył w życiu towarzyskim miasta, właściwie z nikim się nie spotykał. Miał opinię odludka i dziwaka, który najlepiej czuje się pośród roślin i minerałów.

Ostatnie trzy lata przed wyprawą do Ameryki Południowej profesor spędził samotnie w kamienicy przy ulicy Mikołajskiej, gdzie zgromadził wspaniałe kolekcje storczyków (prawie trzysta gatunków), tropikalnych roślin, minerałów, muszli peruwiańskich oraz starych map. Zginął, jak się okazało, podczas swojej ostatniej podróży naukowej do amazońskiej dżungli. Spuściznę po zmarłym przejęła żona, która mieszkała podobno w Dreźnie z piętnaście lat od niej młodszym malarzem, poetą i hipnotyzerem.

Dziwne istoty, gnomy. Ciekawe, czy je spotkał w Amazonii i czy to ich strzały go zabiły?

- Wszystko zaczęło się po powrocie ojca z Antarktyki - powiedziała Helena Haller, utkwivszy wzrok w ciemnym kącie gabinetu, gdzie spod fotela wciąż dobiegały groźne pomruki. Emanuel obserwował teraz jej profil ledwie widoczny przez gęstą materię woalki. Wydawało mu się, że jest całkiem ładna. - Popłynął tam w sześćdziesiątym piątym albo szóstym, nie pamiętam, w każdym razie już po powstaniu. Jakaś ekspedycja naukowa, której był uczestnikiem. Oprócz wielu eksponatów przywiózł z tej podróży metalową kulę znaną na jednej z wysp, która należy do archipelagu Kerguelena. Nie wiem, czy dobrze wymawiam nazwę.

- Proszę kontynuować.

Nabrała głębiej powietrza.

- Otóż ojciec mój stanowczo twierdził, że przedmiot ten musiał spaść z nieba i że...

- Tak?

- I że pochodzi z Księżyca.

Zaległa pełna napięcia cisza.

Emanuel sięgnął znów po swoją filiżankę, opróżnił ją duszkiem, odstawił na spodek, po czym wstał z fotela i zaczął przechadzać się po pokoju, przyglądając włosy i nerwowo pochrząkując.

Co jest z tą kobietą nie tak, zastanawiał się, czemu sprawia wrażenie, jakby klepała

wyuczona na pamięć rolę? Skąd te fałszywe tony w jej głosie. Naprawdę pracuje w teatrze czy to jedynie taka maniera? A może w ogóle nie jest osobą, za którą się podaje? Kiedy tylko przekroczyła próg jego mieszkania, w umyśle starego komisarza zabrzmiał ostrzegawczy dzwonek, sygnał, który rzadko kiedy go zawodził.

Helena Haller nie przestawała mówić. Opowiedziała Emanuelowi o dziwacznych ideach, jakimi profesor botaniki zajmował się pod koniec życia. Między innymi był podobno wyznawcą teorii, podług której nasz Księżyc nie jest naturalnym satelitą Ziemi, a sztucznym tworem przybyłym przed tysiącami lat gdzieś z odległych rejonów kosmosu, aby przejąć nad nami władzę.

Tak, nie inaczej.

Wszystko co w naturze ludzkiej mroczne i złe, miałoby mieć swoje źródło pod jego powierzchnią. W pustym wnętrzu satelity, jak utrzymywała owa teoria, nagromadzone jest mnóstwo czarnego fluidu - tak zwanego selenoidu, za pomocą którego Księżyc wpływa na nasze umysły, a tym samym sprawuje kontrolę nad rozwojem ziemskiej cywilizacji.

- Podczas pobytu w Afryce ojciec rozmawiał z czarownikiem plemienia Ugundu, który opowiadał mu o szczęśliwych czasach, kiedy jeszcze nie było na niebie Księżyca. Również Indianie Ameryki Południowej zapoznali go z mitami...

- Chwileczkę - łagodnie przerwał jej Emanuel.

- Tak?

- To bardzo zajmujące, lecz powróćmy może do metalowej kuli. Czy widziała pani ten przedmiot?

- Raz jeden, tuż po powrocie ojca. Nie wydał mi się jakoś szczególnie ciekawy. Kula jak kula. Kawalek żelaza.

- Co się z nią dalej działo?

Pod oknem przejechał powóz, tak hałaśliwie brzęcząc obłuzowanym resorem, jakby informował mieszkańców Krakowa o pożarze albo wręcz o kolejnym ataku tatarskich czambułów.

Musieli odczekać, aż okropny hałas ucichnie.

- Ojciec trzymał ją u siebie w mieszkaniu, na Mikołajskiej - podjęła kobieta. - Podobno pod łóżkiem. Potem, kiedy zaczęły się te nocne wizyty, próbował przenieść kulę do piwnicy, ale mu się nie udało. Dziwne, prawda? Przecież to tylko kula, niewiele większa od bilardowej. Nie potrafił jej niestety podnieść.

Emanuel uniósł brwi.

- Pisał o tym do mnie w jednym z ostatnich listów - dodała kobieta. - Przebywałam w tym

czasie wraz z mężem za granicą.

Uniosła do ust filiżankę z zimną już herbatą, ale natychmiast postawiła ją z powrotem na blacie biurka.

- Pojawiła się szczelina - powiedziała niemal szeptem Helena Haller. - Tak jakby kula zaczęła się otwierać.

- Czyżby ta szczelina pojawiła się w kuli?

- Tak właśnie. Ojciec pisał, że otwór poszerza się z dnia na dzień. Nie traktowałam wtedy tych słów zbyt poważnie, rozumie pan, dopiero co wypuszczono go ze szpitala Świętego Ducha...

Emanuel drgnął.

- Czyżby ojciec pani przebywał na oddziale dla pomieszanych? - spytał ostrożnie, udając, że zapisuje coś na marginesie książki.

- Tylko przez kilka miesięcy.

Zaległa pełna napięcia cisza.

- Gdzie teraz znajduje się ów przedmiot? - spytał Emanuel.

- Z całą pewnością na Mikołajskiej. Do mieszkania wprowadził się podobno nowy lokator, lekarz albo adwokat, ale kula wciąż gdzieś tam jest.

Kobieta siedziała przez chwilę w milczeniu, skubiąc nerwowo rąbek czarnego szala. W końcu odetchnęła głęboko i zapytała:

- Czy mógłby mi pan tę fotografię pożyczyć na dzień lub dwa? Chciałabym porównać tego ducha z rysunkami ojca.

- Z jakimi rysunkami? - Emanuel spojrzał badawczo na kobietę. Czemu wcześniej nic nie wspomniała o rysunkach?

- W tych przysłanych mi przez współpracownika notatkach ojciec zamieścił własne rysunki - odparła Helena niedbale. - Takie tam ołówkowe szkice. Właściwie dziecięce bazgroły, nic więcej. Papa nie miał żadnych artystycznych zdolności.

- Rozumiem - odparł Emanuel, pewien już, że nie pożyczy zdjęcia nawet na godzinę. - Niestety, fotografia jest teraz w pewnym zakładzie, gdzie eksperci sprawdzają jej autentyczność.

- Czyżby w zakładzie pana Szuberta?

- Właśnie tam - skłamał komisarz.

- Jaka szkoda...

Emanuel uśmiechnął się smutno.

- Rzeczywiście szkoda.

- Pech.

- Po prostu pech - powiedział.

* * *

Helena Haller wyszła tuż przed siódmą, pozostawiając komisarza w kompletnym oszołomieniu, długo jeszcze wpatzonego w czarną szybę, o którą coraz mocniej uderzał deszcz.

Kapitan Nemo bardzo ostrożnie, niemal sunąc brzuchem po podłodze, wylazł w końcu spod fotela. Rozszerzonymi źrenicami wpatrywał się w zamknięte już drzwi wyjściowe, a w końcu - widać uspokojony - niezwykle intensywnie zaczął się ocierać o nogi swojego pana.

Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby go w ogóle nie zauważał.

Selenoid.

Złowrogi księżyc, archipelag Kerguelena, metalowa kula, która spadła z nieba i potem leżała pod łóżkiem wśród farfocli kurzu, szare postacie o czerwonych oczach pochylające się nad oszalałym ze strachu profesorem. Płody chorego umysłu czy też prawda mroczniejsza i bardziej przerażająca niż fabuła gotyckiej powieści?

Co to za przedstawienie odgrywa pani Helena Kijańska? spytał sam siebie Emanuel, zapaliwszy kolejnego tego wieczora papierosa. Co to za przedstawienie i kto jest reżyserem?

Rozmowa ze stróżem

Nazajutrz rano na błotnistej ulicy Mikołajskiej pojawił się inwalida w mundurze austriackiego oficera, z całym mnóstwem medali na piersi. Poruszał się o kulach, przygarbiony, przeklinał po niemiecku i raz po raz spluwał siarczyście, płosząc gołębie i wróble. Nosił brodę, wąsy oraz bujne bokobrody, przez co zdawało się, że na twarzy weterana nieowłosione pozostały już tylko usta, górna część nosa i kości policzkowe.

- A coś się pan tak wystroił, szanowny panie Henzelmann? - powitał żołnierza zamiatający ulicę stróż, Adolf Szczygliński. - Żebrać pan będziesz?

Komisarz wyprostował się gwałtownie, a potem złowrogo spojrział na stróża spod nienaturalnie krzaczastych brwi.

- Ciszej, łaskawy panie - odezwał się jadowitym szeptem. - Nie chcę, aby widziano mnie tutaj. Miasto aż huczy od plotek.

Stróż pokiwał ze zrozumieniem głową.

- A więc to kamuflaż - powiedział.

- No tak, w pewnym sensie... kamuflaż - przyznał skonfundowany Emanuel.

- Znakomicie się pan przebrał - pochwalił stróż, opierając się na miotle. - W teatrze powinien pan grać albo w jakichś sztukach.

- Dziękuję.

Przez jakieś pół minuty stali tak i przyglądali się sobie nawzajem, zamiatacz z zachwytem, natomiast Emanuel ze źle skrywaną irytacją.

Jasna cholera, dwie godziny porannej pracy przed lustrem poszły na marne. Chyba się starzejemy.

- A czego szanowny pan tutaj szuka, jeśli można zadać takie pytanie? - Adolf Szczygliński zsunął kaszkiet na tył łysej głowy. Jego szczerą staropiastowską twarz zamieniła się w jeden wielki znak zapytania. - Owego ducha ze zdjęcia?

Emanuel zeszywniał.

- A wiesz pan coś o tym?

- Gdzie tam!... Śmieję się z tego. Nigdy nic tu takiego nie widział. Kiedyś to były duchy, ale to we Lwowie, przed powstaniem jeszcze.

U wylotu ulicy pojawiła się jakaś postać, toteż Emanuel znowu się przygarbił i przeistoczył w austriackiego wojaka.

- Ale podobno profesor Kijański widywał przecież dziwne jakieś rzeczy - rzekł cicho, kiedy postać skręciła w sąsiednią ulicę. - Nic panu nie mówił?

- No, narzekał, że wilgoć w mieszkaniu i że pies po nocach mordę wydziera.

Z kieszeni munduru Emanuel Henzelmann ostrożnie wyjął wymięty banknot dziesięciozłotowy i wyciągnął go w stronę Szczyglińskiego, któremu na ten widok z miejsca zaświeciły się oczy.

- Stokrotnie dziękuję. Mówił jeszcze, że szczekanie, znaczy to wycie, spać mu nie daje.

- Mniejsza o psa - wyszeptał konspiracyjnie przebieraniec. - Wiem, że profesor...

- Rzeczywiście, raz gadał, że coś tam widział - wpadł mu w słowo stróż, schowawszy wpierw banknot do kieszeni kurtki. - Teraz sobie przypominam. To było w grudniu albo z początkiem stycznia, nie pamiętam dokładnie. Zimno było w każdym razie jak diabli. Prosił nawet, żebym co wieczór dokładnie zamykał bramę, jakbym normalnie tego nie robił. Coś mu się pewnie przyśniło. Przejął się.

- Co takiego widział?

- Tego nie pamiętam. Czort go tam wie. Jakies takie tam...

Emanuel zdał sobie nagle sprawę, że z pobliskiej bramy przygląda im się trójka dzieci, bez wątpienia zaintrygowanych widokiem inwalidy, który zamiast zebrać, rozdaje na ulicy pieniądze. Trzeba się streszczać.

- Czy wspominał coś może o metalowej kuli?

- Że niby o czym?

- Nieważne. Nie napiłby się pan ze mną wódeczki?

Stróż uśmiechnął się szeroko, opierając miotłę o ścianę.

- Czemu nie, drogi panie Henzelmann? Na taką pogodę to nawet doktorzy zalecają odrobinę się rozgrzać, no nie? Moja stara nigdy mi nie wierzy, kiedy jej o tym mówię, a taka zapatrzona w tych konowałów. Oni tylko co do tej wódeczki mają rację - machnął ręką - bo popatrz pan, co zrobili z pańską nieboszczką małżonką... Panie, świeć nad jej duszą - przeżegnał się nabożnie. Mogła se jeszcze kobiecina żyć a żyć, to ją pokroili i koniec. Zarżnęli, powiadam...

- Daj pan spokój, panie Szczygliński - zachnął się Emanuel. - Nie chcę już o tym słyszeć. Koniec.

Stróż zamilkł i spod oka spoglądał na przebranego policjanta. Gotów jeszcze odwołać to zaproszenie na wódkę, pomyślał zaniepokojony. Że też ja zawsze muszę chlapać tym ozorem...

Tymczasem Emanuel jakby zapomniał o gadatliwym strózu. Adolf Szczygliński poruszył bolesny jeszcze ciągle dla niego temat. Śmierć żony wytrąciła go na długo z równowagi. To fakt, że zmarła w szpitalu podczas operacji, ale jak mówili potem lekarze, rak tak już przeżarł jej wnętrzności, że ta śmierć była dla niej jedynie błogosławieństwem. Ale pogodzić się z tym nadal trudno.

Parę dni temu był na cmentarzu Rakowickim i długo stał nad skromnym grobem. Policyjna emerytura nie wystarczała na wystawienie pomnika, ale Emanuel liczył bardzo na swojego syna, który od dwóch lat uczył się malarstwa w Paryżu i podobno, jak mu pisał w listach, sprzedawał tam swoje obrazy z zyskiem. Wprawdzie złośliwi, a nie brak ich nigdy, twierdzili, że zdolny uczeń mistrza Matejki raczej traci pieniądze na absynt i tancerki z kabaretu, niż je zarabia, lecz Emanuel takim plotkom nie dawał wiary. Jego Stasinek przecież nigdy nie był utracjuszem.

* * *

W tym niefortunnym przebraniu trudno było Emanuelowi Henzelmannowi znaleźć lokal, którego właściciel pozwoliłby mu choć na moment wejść do środka. W końcu - po dobrej godzinie poszukiwań - wpuszczono ich do obskurnego, zatłuszczonego szynku na Kazimierzu przy ulicy Gazowej, gdzie obsługiwała stara Cyganka w kwiecistej spódnicy i z fajką w brązowych zębach.

W głębi ciemnego pomieszczenia przez otwarte drzwi od kuchni widać było uwijających się pracowników. Jeden z nich, niski starszy mężczyzna o wyraźnie azjatyckich rysach, zmiatał właśnie z podłogi jakieś resztki, inny, pewnie właściciel lokalu, stał nad nim, wymachując gniewnie rękami.

- Ty cholerny, niezdarny Żółtku! - dobiegł do nich podniesiony głos zza zamykających się właśnie drzwi.

Henzelmann odwrócił wzrok od tej sceny i uśmiechnął się szeroko do starej Cyganki. Urok osobisty starego weterana nie zrobił wszakże na niej odpowiedniego wrażenia.

- Tylko mi tu nie żebrać - rzuciła na powitanie.

- Dwie wódki, polny kwiatuś! - gromko krzyknął niezrażony chłodnym przyjęciem Emanuel, uderzając kulą o lepką podłogę.

Znad stolików podniosły się trzy kudłate głowy.

- Bohater spod Lipska ma się dziś ochotę urżnąć - dodał już ciszej.

Trzy głowy pozostały w tej samej pozycji, nasłuchując, chociaż wyraz twarzy nie zdradzał ani myśli, ani emocji.

- Bohaterowie spod Lipska - uściślił stróż.

- Właśnie. - Emanuel ponownie stuknął kulą o podłogę. - Bohaterowie muszą przepłukać gardła.

- Tak, tak - mruknęła Cyganka, podchodząc do szynkwasu. - Wy wszyscy jesteście spod Lipska. A ja w młodości tańczyłam hopaka z Iwanem Groźnym.

Trzy głowy zgodnie opadły na piersi.

* * *

Okolo południa Emanuel chwiejnym krokiem opuścił lokal, pozostawiając w środku zapomniane obie kule oraz śpiącego pod stołem stróża. W ciągu tych paru godzin zdążył się dowiedzieć jednak wielu ciekawych rzeczy.

Co najważniejsze, zgodnie z jego przewidywaniami kobieta, która odwiedziła go wczorajszego popołudnia, nie mogła być córką profesora Kijańskiego, gdyż ta umarła w wieku dziewięciu lat na gruźlicę i leżała teraz w rodzinnym grobowcu na cmentarzu w Rakowicach.

To niemal pewne.

Stróż osobiście podążył za jej trumienką podczas pogrzebu. Rzeczywiście na imię miała Helena. Helenka Kijańska. Była to podobno zamknięta w sobie, mizerna i chorowita dziewczynka, spędzająca więcej czasu w łóżku niż na zabawach z rówieśnikami. Właściwie nie wychodziła z domu. Jej przedwczesna śmierć, aczkolwiek bolesna, nie była chyba dla nikogo wielkim zaskoczeniem. Więcej dzieci profesor nie posiadał.

Co się tyczy profesorskiego mieszkania na Mikołajskiej, to nie zajmował go teraz żaden adwokat ani lekarz, tylko jakiś bankowiec, Gustaw Sznitke - zdaje się - który narzekał dosłownie na wszystko z wyjątkiem pojawiających się nocami tajemniczych istot. Zresztą i on zapowiadał, że się wyprowadzi, bo wdowa po profesorze za dużo żąda za czynsz, a wygod tam nie ma, wilgoć i przeciągi.

A więc ktoś próbował wprowadzić byłego policjanta w błąd. Tylko po co? Aby odwrócić jego uwagę od sedna sprawy? Chyba tak. Opowieści o księżycowych kulach i nocnych wizytach miały najwidoczniej na celu wywołanie w głowie Emanuela potężnego zamętu, komisarz miał się zagubić w gąszczu mylnych tropów i wiodących donikąd poszlak. Trzeba przyznać, że prawie się to udało.

Ktoś mu ewidentnie przeszkadzał w śledztwie.

Cóż, nie było tak źle, oznaczało to przecież, że intuicja wciąż nie zawodzi Emanuela Henzelmana - coś kryło się za fotografią, którą Rzewuski skwitował jedynie lekceważącym wzruszeniem ramion.

Szedł teraz wzdłuż zdeformowanej ulicy, przy której po obu stronach stały równie brzydkie i zniszczone domy. W wielu oknach zamiast szyb powiewały tylko poszarpane płachty starych, pożółkłych gazet. Brudne dzieci biegały po zdewastowanych gankach, które wyglądały tak, jakby lada chwila miały się zawalić. Bezpańskie psy grzebały w śmieciach w poszukiwaniu jedzenia.

Cóż za okolica! Gdzie to nas przywiało? pomyślał. Naprawdę nie było żadnej knajpy bliżej miasta?

Człapał w głębokim błocie, żałując, że nie może skorzystać z dorożki.

Po pierwsze, w tej okolicy nie było żadnego postoju, po drugie - gdyby nawet udało mu się wypatrzeć pustą dorożkę, zapewne woźnica nawet by się nie zatrzymał na widok podchmielonego żebraka w austriackim mundurze. Cóż począć? Trzeba iść dalej, nie ma rady. Ruszył w ślad za wozem z kapustą sypiącym liśćmi po całej ulicy.

Po kilkudziesięciu metrach zatrzymał się jednak, żeby pozbierać zanadto już rozbiegane myśli.

Alkohol nieźle szumiał mu w głowie, nogi zrobiły się miękkie. Trudno się zresztą dziwić. Wypili ze stróżem całą butelkę, a potem ta brzydka jak noc Cyganka nalewała jeszcze jakiegoś paskudztwa do kieliszków. Nawet nie zapytali, co to jest. Nieważne. Trzeba było dotrzymać stróżowi kroku, aby coś z niego wydobyć. Można chyba śmiało powiedzieć, że Emanuel Henzelmann odrobinę się poświęcił dla dobra sprawy.

Przystanął obok drewnianego kiosku z napisem „SPRZEDAŻ JAJ” nad kalenicą, poszperał w kieszeni munduru, wyjął papierosa i zapalki. Niespodziewaną trudność sprawiło mu posłużenie się nimi.

- *Scheisse!* - zaklął odruchowo i splunął, kiedy mijala go tęga kobieta z wiklinowym koszem na plecach.

Z dachu pobliskiej synagogi poderwały się trzy gołębie.

Wreszcie zapalił. Ruszył dalej z papierosem w zębach. Szedł dziarskim, żołnierskim krokiem, wypuszczając dym nosem i zastanawiając się, czy jest w ogóle sens kontynuować śledztwo pod wpływem alkoholu. Po chwili namysłu uznał, że jednak nie warto. Lepiej porządnie się wyspać, a potem zaatakować ze zdwojoną energią. Ponownie ruszył więc przed siebie poprzez błoto zaniedbanych uliczek żydowskiego Kazimierza, pogrążony w

marzeniach o filiżance herbaty i ciepłym łóżku.

Albo o przytulnym fotelu przed kominkiem z mruczącym Kapitanem Nemo na kolanach. Ten kot zachowuje się zupełnie nie jak kot, tylko jak pies, pomyślał z pijackim rozrzewnieniem, jest naprawdę wyjątkowy. Czasami Emanuel miał wrażenie, że zwierzę rozumie, co się do niego mówi. „Kłóci się”, gdy stary komisarz przegania go ze stołu, pieszczotliwie grucha, gdy pan przemawia do niego, głaszcząc lśniące czarne futerko na grzbiecie. Henzelmann otarł łzę wzruszenia z oka. Mój największy przyjaciel, rozczulił się znowu.

Gdyby nie wypity alkohol i pijackie wzruszenie, które mąciły mu wzrok, zauważyłby, że coś jest nie tak. Że coś się zmieniło i skóra na karku powinna go już swędzieć.

Był obserwowany.

6

Zleceniodawcy

Natychmiast po wejściu do powozu Tomasz Arsenicz zrozumiał, że właśnie wplątuje się w jakąś podejrzaną aferę. Poważną aferę, gdyż bogaci ludzie drobnymi szwindlami nie zawracają sobie raczej głowy. Tak, to musiało być coś dużego, na arystokratyczną skalę. Kataryniarz wiedział, że wkracza na grząski, niebezpieczny grunt.

Mimo to nie zamierzał odrzucać propozycji.

Bo niby dlaczego? Przecież nie podpisywał cyrografu z Mefistofelem, starał się przekonać sam siebie. Jego rola w przedstawieniu wydawała się raczej nieznaczną. Niewinne zadanie, nikomu nie stanie się krzywda. Sam zleceniodawca również nie wyglądał na bezwzględnego mordercę. Owszem, wydawał się może lekko ekscentryczny w tej czarnej jedwabnej masce pod szerokim kapeluszem, ale wśród bardzo bogatych ludzi - jak przypuszczał Tomasz Arsenicz - takie ekstrawagancje to najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem. Wystarczy otworzyć pierwszą lepszą książkę. Maska zasłaniała twarz, bo być może mężczyzna miał problem z urodą, uległ poparzeniom albo cierpiał na jakąś rzadką chorobę.

Takie rzeczy się zdarzają. Kataryniarz słyszał o lekarzu, który podczas wojny stracił nos i przyprawiono mu potem sztuczny, całkiem nie do odróżnienia. Sama propozycja, jaką złożył człowiek w czarnej masce, choć niecodzienna, też wydawała się raczej niewinna. Ot, zagraniczny arystokrata gotowy płacić niemałe pieniądze za pomoc w pielęgnowaniu swoich dziwactw.

Niegroźne.

Przedstawił się jako hrabia Radu Lupescu z Bukaresztu. Członek jakiegoś tam koła spirytystycznego, co akurat pasowało jak ulał do jego wizerunku. Badacz zjawisk nadprzyrodzonych. Powiedział, że od kilku dni przebywa wraz z małżonką w Krakowie i że pilnie poszukuje kogoś, kto bywa w różnych miejscach, spotyka wielu ludzi oraz zna najgorętsze plotki.

Rzecz prosta, młody kataryniarz wydał mu się wprost idealnym kandydatem.

- Jakiego rodzaju miałyby to być plotki? - spytał Tomasz Arsenicz, chociaż doskonale

wiedział, o co może chodzić zamaskowanemu członkowi spirytystycznego stowarzyszenia z Bukaresztu.

Lupescu zwrócił w jego stronę ukrytą pod czarnym jedwabiem twarz.

- Przede wszystkim chodzi nam o duchy, młody człowieku - powiedział cicho.

- O duchy?

- Właśnie. O wszelkie niewytłumaczalne zjawiska, choćby zupełnie nieprawdopodobne.

Dobrze zapłacimy za każdą tego typu informację.

Kataryniarz głośno przełknął ślinę.

- Mam nasłuchiwać opowieści dziwnej treści? Tylko tyle?

- W zupełności to nam wystarczy.

Arsenicz poruszył się niespokojnie na skórzanym siedzeniu. Czuł się w tej dorożce jakoś osobiwie, był oszołomiony, jakby za dużo wypił.

- A na co to panu, jeśli można być niedyskretnym?

- Prowadzimy w Krakowie z żoną naukowe badania - odparł poważnie Radu Lupescu. - Musimy przy tym działać bardzo dyskretnie, ponieważ, *entre nous*, są w tym mieście osoby, które patrzą na to niezbyt przychylnym okiem.

- Rozumiem...

- No więc jak, młody człowieku? Jest pan zainteresowany naszą propozycją?

- No cóż...

- I tak spaceruje pan po mieście z tą katarynką, więc nie powinien być to jakiś wielki problem, mam rację?

Arsenicz odchrząknął zakłopotany.

- Wie pan, właściwie miałem zamiar zrezygnować z tego grania. To pudło nadaje się tylko na śmietnik. Na dodatek nie ma pokrowca, jak pan widzi, więc dzisiejszy deszcz wypłukał pewnie wszystko, co jeszcze zostało do wypłukania.

- Proszę się zgłosić jutro rano pod ten adres. - Radu Lupescu wyjął z kieszeni płaszcza złożoną kartkę. Tomasz Arsenicz ujrzał na palcu hrabiego wielki sygnet z wizerunkiem dwóch splecionych węży. Taki sam symbol widniał, zdaje się, na drzwiczkach powozu. - Dostanie pan nową katarynkę i zaliczkę. Co jak co, ale porządne buty będą do tej pracy niezbędne.

Wręczył kartkę młodzieńcowi, który przyjął ją bez słowa protestu.

No bo jak w takiej sytuacji można było odmówić?

* * *

Następnego dnia z samego rana Tomasz Arsenicz udał się pod wskazany adres. Ulica Rakowicka numer piętnaście. Przy samym cmentarzu miejskim. Nie ma co, przyjemne sobie hrabia wybrał lokum. Ale młody kataryniarz nie dbał o to. Zdążył już przegnać z głowy wszelkie wątpliwości.

Przez noc przemyślał gruntownie sprawę i doszedł do wniosku, że głupotą, jeśli nie ciężkim grzechem byłoby odrzucić propozycję hrabiego. Takiej szansy nie wolno wypuścić z rąk, bo drugi raz los się już do człowieka nie uśmiechnie i przyjdzie okradać sklepy albo żebrać jak ten dziad pod kościołem Mariackim. Nie po to przyjechał do Krakowa, żeby zmarnować się na ulicy.

Cóż z tego, że umowa dziwaczna, a nawet podejrzana? Przecież chodzenie po mieście i zbieranie niesamowitych historii to jeszcze żadne przestępstwo. Komu to szkodzi? Prowadzą sobie państwo Lupescu badania naukowe - ich sprawa. W takiej masce człowiek ma raczej problemy w kontaktach z ludźmi, zresztą nie będzie się przecież arystokrata z węglarzami czy też innymi mleczarzami pospolitował. W końcu przyjechał nie byle skąd, tylko z Bukaresztu, gdziekolwiek to jest. W tej masce tylko by niezdrowe sensacje na podwórkach wzbudzał. Państwo Lupescu zatem pomyśleli i wymyślili. Znaleźli sobie pomocnika w osobie młodego kataryniarza. A że pieniądze dla hrabiostwa nie stanowią żadnego problemu, to i hojni są ponad miarę.

Proste i logiczne.

Nowa katarynka oraz zaliczka. Brzmi aż nazbyt pięknie. No nic, trzeba sprawdzić, czy to prawda. Innej rady nie ma.

Zatrzymał się przed ponurą fasadą piętrowego budynku z suteroną. Cegły miały kolor błota, przez co dom niemal wtapiał się w jesienny koloryt ulicy. Arsenicz jeszcze raz rzucił okiem na kartkę z adresem, chociaż oglądał ją od wczorajszego popołudnia setki razy. To tutaj, nie ma wątpliwości. Numer piętnaście, stoi jak byk. Na ulicy ni żywego ducha, zupełnie jak na cmentarzu za murem. Harmonijne sąsiedztwo, można by rzec. Tylko wiatr przesuwał po chodniku fragment zerwanego ze słupa afisza: „Gioachimo Pasolini, światowej sła... Jedyny taki konc... W programie między inny...”.

Kataryniarz spojrzął w okna: wszystkie ukryte za okiennicami, jakby nikt w tym domu od dawna nie mieszkał.

Wziął głębszy oddech i pchnął posmarowane kredą drzwi. Nie były zamknięte. Znalazł się w ciemnej sieni. Śmierdziało wilgocią i stęchlizną. Po drewnianych schodach wspiął się na piętro, bo nie przypuszczał raczej, żeby zagraniczny hrabia zniżył się do poziomu sutereny, gdzie przez okienko można podziwiać jedynie utyłane buty przechodniów i równie brudne

szprychy pojazdów. Wprawdzie cały budynek zdawał mu się, delikatnie mówiąc, mało szykowny, ale jakieś granice w końcu istnieją.

Dotarł na górę, coraz bardziej przekonany, że ktoś sobie z niego zakpił. Tak, to wszystko wyglądało do tej pory zbyt pięknie, aby mogło teraz okazać się prawdą. Pewnie zabawiono się jego kosztem. Naiwny przybysz ze Lwowa połakomił się na łatwy zarobek, a tu figa!

A może to taka konspiracja? Jak w gazetowych powieściach: punkty kontaktowe, podrabiane paszporty, siatka agentów przenikających do miasta i wtapiających się w tłum. Tylko po co? Żeby zmylić tych, co jak mówił hrabia, patrzą na badania państwa Lupescu nieprzychylnym okiem? Cóż, nie ma się co nastawiać, ale sprawdzić trzeba, żeby sobie potem nie pluć w brodę. Które to drzwi? Tomasz Arsenicz przystanął na piętrze niezdecydowany. Trzy mieszkania, jakby puste, bo żaden z nich odgłos nie dociera. Ani słychno, ani dychu. Może to jednak nie ten adres?

- Drzwi są otwarte, młodzieńcze - usłyszał naraz bezbarwny głos, który nie mógł należeć do nikogo innego, jak tylko do hrabiego z dalekiego Bukaresztu. - Bardzo jestem rad, że pan przyszedł.

Radu Lupescu.

Głos dochodził zza drzwi po prawej stronie. Arsenicz ostrożnie nacisnął na klamkę i wszedł do środka.

Było jeszcze ciemniej niż na klatce schodowej. Mały pokój z zamkniętymi szczelnie okiennicami. Gołe ściany, tylko piec, no i fotel, w którym siedział mężczyzna w szerokim kapeluszu. Pomieszczenie przypominało więzienną celę.

Pod wpływem wysiłku i emocji zrobiło się kataryniarzowi jakoś dziwnie. Poczł mrowienie w dłoniach i dziwne klucie w piersiach.

- Nie przestraszyłeś się pan jednak - powiedział hrabia głosem wypranym z wszelkich emocji.

- A czego miałbym się niby przestraszyć? - zapytał kataryniarz z całym spokojem, na jaki go było w tej chwili stać.

W kącie pokoju ktoś jeszcze siedział. W półmroku majaczyła postać kobiety w dużym kapeluszu z woalką.

- Panie Arsenicz, przedstawiam panu moją najdroższą małżonkę, hrabinę Lupescu.

Arsenicz drgnął na dźwięk głosu gospodarza. Poczł lodowate dreszcze przebiegające mu wzdłuż kręgosłupa.

* * *

Pół godziny później Tomasz Arsenicz znów stał na ulicy Rakowickiej. Na plecach miał nowiusienką włoską katarynkę, a w kieszeni dziurawej kamizelki siedemdziesiąt złotych reńskich.

Był jak nowo narodzony.

Pomimo całej tej niesamowitej otoczki hrabia Lupescu okazał się człowiekiem, który dotrzymuje słowa. Można na nim po prostu polegać. Obiecał katarynkę oraz pieniądze na obuwie, no i z obietnicy się wywiązał. Instrument - istne чудо, brakowało tylko klatki z papugą. Pieniądzy młodzieniec dostał nawet więcej, niż potrzeba na w miarę porządne buty. Po odebraniu instrumentu i gotówki lekko oszołomiony Tomasz Arsenicz jeszcze raz wysłuchał, na czym polega jego zadanie. Hrabiego Lupescu interesowały tylko opowieści o niezwykłych, nadprzyrodzonych zjawiskach. Nie życzył sobie żadnych plotek o romansach aktorek, afer towarzyskich ani kryminalnych spraw. W każdy piątek wieczorem miał się młody człowiek meldować w mieszkaniu na Rakowickiej, aby opowiedzieć, czego ciekawego dowiedział się w ciągu tygodnia, no a potem odebrać honorarium.

- Tylko ostrzegam: niech pan nie zmyśla - powiedział dziwny hrabia swoim dziwnym głosem. - Potrafię rozpoznać, kiedy ktoś fantazjuje.

Żona Lupescu nie odzywała się ze swojego kąta, w milczeniu kiwała tylko potakująco głową.

* * *

Chodzić po mieście i słuchać niesamowitych historii. Wydawałoby się, że nic prostszego. Tymczasem w ciągu pierwszych trzech dni pracy Tomasz Arsenicz nie dowiedział się niczego, co warte by było powtórzenia w piątek hrabiemu. Zagadywał stróżów, dorożkarzy i handlarzy złomem, wypytywał dzieci, a raz nawet wciągnął w pogawędkę aptekarza - wszystko na nic. Same gadki-szmatki o kradzieży biżuterii w hotelu albo o pożarze strychu na Grodzkiej. Jeden podpity kominiarz wspominał coś wprawdzie o zamieszkującym komin starego browaru białym wyraku czy też innym dymostworze, ale przyciśnięty do muru przyznał w końcu, że to tylko taka legenda, że nikt tak naprawdę istoty na oczy nie widział.

Zaczynało to lekko niepokoić Arsenicza. Niby dzięki nowej katarynce udało mu się przełamać wstyd i zebrać parę groszy w skarbonce, ale nastawiał się przecież na dużo większe pieniądze. Jeśli dalej tak pójdzie, chyba trzeba będzie wymyślić jakiegoś skromnego ducha. Może się cudzoziemiec nie zorientuje.

Na szczęście nie musiał się posuwać do oszustwa.

Trzeciego dnia pracy na jednym z podwórek na ulicy Garncarskiej, gdzie mieściła się

pralnia, magiel i popularny lombard, złapał go gwałtowny listopadowy deszcz. Kataryniarz uciekł przed nim do bramy. Zapalił papierosa, przeklinając porę roku. Jak ma tak padać codziennie, to skończy się na zapaleniu płuc, pomyślał ponuro. Zaciągnął się ledwie cztery razy, kiedy nagle otworzyły się z hałasem drzwi na klatkę schodową i stanęła w nich wysoka chuda kobieta w czerwonym szlafroku.

- Nie zimno tak panu? - spytała, spojrzawszy na jego cieniutki surdut, którego poły furkotały na wietrze.

- Trochę zimno - odparł. - Ale idzie wytrzymać.

- Przeziębi się pan.

- Jestem zahartowany.

- Może się pan gorącej herbaty przynajmniej napije?

Wyglądała na jakieś czterdzieści parę lat. Twarz miała pociągłą, niezwykle bladą, z wysokim czołem, włosy zaś kruczoczarne, gładko zaczesane do tyłu. Kiedyś pewnie była nawet ładna, pomyślał Tomasz Arsenicz, ale teraz to już stare pudło.

- Bardzo dziękuję, nie chcę robić kłopotu.

- To żaden kłopot.

- No nie wiem...

- Herbata będzie z rumem - powiedziała kobieta, patrząc na niego znacząco.

Tomasz Arsenicz uśmiechnął się szeroko. To już zupełnie inna rozmowa! Alkohol na taki deszcz jest jak znalazł.

- No, skoro z rumem, to chyba niegrzecznie byłoby odmówić - rzekł, przydeptując butem niedopałek.

- Też tak uważam - uśmiechnęła się.

Po rozchybotanych schodach, na których siedziało kilka nieruchomych jak egipskie figurki kotów, kobieta zaprowadziła go do wilgotnego ponurego mieszkania na drugim piętrze.

Pokój frontowy był ciemny i nieprzytulny jak krypta. Arsenicz zobaczył olbrzymi kredens w kolorze czekolady, obitą śliwkowym pluszem kanapę, po przeciwnej zaś stronie czarne pianino, przed nim taboret z ciemnowiśniową poduszką, a obok gipsowe, poźółkle już popiersia Szopena i Kościuszki na tle wyłożonej brązową tapetą ściany. Wiszący obok drzwi zegar wskazywał godzinę czwartą.

Przeszli do odrobinę tylko jaśniejszej kuchni.

Usiadł przy nakrytym ceratą stole, tuż przy wysokim oknie z szydełkową firanką, podczas gdy kobieta szykowała filiżanki i nastawiała samowar, nucąc coś niewyraźnie pod nosem.

- Zaraz się pan rozgrzeje. Kto to widział chodzić po deszczu?

- Taka praca, cóż począć?

- Zawód muzyka w ogóle bardzo jest niewdzięczny - stwierdziła kobieta. Podeszła do pieca, uchyliła żelazne drzwiczki i dołożyła dwie szczapy drewna. Zamigotał pomarańczowy płomień.

- Jaki tam ze mnie muzyk - uśmiechnął się skromnie Tomasz Arsenicz, ale rzecz oczywista, mile polectała go ta uwaga. - Tak sobie tylko kręcę, wielkich zdolności do tego nie trzeba.

- A wie pan, skąd jest ten walc, który pan przed chwilą grał, tuż przed deszczem? - zapytała naraz, otuliwszy się mocniej szlafrokiem.

- Z jakiejś opery? - zaryzykował.

- Blisko.

- Z „Wesela Figara”?

- Z „Fausta” Gounoda. Słyszał ją pan?

- Niestety nie.

Pokazała w uśmiechu długie zęby, więc na wszelki wypadek Tomasz Arsenicz również się wyszczerzył.

- Wspaniała muzyka.

- Z pewnością.

- Chociaż francuski język nie jest tak śpiewny jak włoski.

Arsenicz uśmiechnął się bezradnie.

- Niemcy mają Gounodowi za złe, że tak strywializował genialne dzieło Goethego - powiedziała, poważniejąc nagle, jakby z tematu operowej przeróbki nie należało żartować. - Ale ja, widzi pan, bardzo lubię tę muzykę.

Nagle, bez żadnego uprzedzenia, tak jak stała, nabrała głęboko powietrza, wykrzywiła twarz i zaczęła śpiewać coś po francusku wysokim i bardzo piskliwym głosem. Tomasz Arsenicz aż podskoczył na krześle, przestraszony niespodziewanym hałasem. Na szczęście kobieta szybko przestała, nie mogąc przypomnieć sobie dalszych słów.

- Pewnie się pan dziwi - powiedziała po chwili niezręcznej ciszy.

- Nie, wcale nie - skłamał młodzieniec, patrząc przez okno na mokry dach przeciwległej kamienicy, gdzie przysiadły na moment dwa przemoczone gołębie. Monotonny chłupot deszczu podziałął uspokajająco.

- Trochę pan jednak musiał się zdziwić, prawda? - nalegała.

- Dlaczego? - zmusił się do beztroskiego uśmiechu. - Muzyka dobra rzecz. Dobrze jest

czasami pośpiewać. Zawsze to weselej, jak mówią.

- To była aria Małgorzaty. - Usiadła na krześle po przeciwnej stronie stołu i ukryła twarz w dłoniach.

Policzył palce swojej spoczywającej na kolanie prawej dłoni. Zgadza się: pięć.

- Z drugiego aktu.

Odchrząknął.

- Bardzo ładna - rzekł.

- Bez akompaniamentu to nie to samo.

- Aha.

- Zaraz, zaraz, to chyba było w D-dur.

Zerwała się z krzesła i ruszyła szybkim krokiem do pokoju, gdzie stało pianino. Przez otwarte drzwi Tomasz Arsenicz widział, jak kobieta opada na taboret, tak gwałtownie, jakby otworzyła się pod nią jakaś zapadnia, a następnie podnosi wieko instrumentu. Siedząc plecami do słuchacza, huknęła w klawisze i jeszcze raz odśpiewała fragment arii, głośniej nawet niż poprzednio.

Zakończyła dokładnie w tym samym miejscu.

- Dalej nie pamiętam, a nie mam w domu nut.

- Brawo - wykrzyknął bez entuzjazmu kataryniarz, zaczynając żałować, że dał się skusić tym rumem. Trzeba było okazać więcej charakteru. Kobieta najwyraźniej była słaba na umyśle, ale nie wypadało przecież wyjść, nie wypiwszy nawet obiecanej herbaty. Może już nie będzie śpiewać?

Znów zaległo milczenie, przez kilka minut słychać było tylko padający za oknem deszcz. Ogień w piecu palił się w najlepsze, szyba w oknie zaparowała.

Tomasz Arsenicz pociągnął nosem i utkwiał wzrok w trzymanym na kolanach cylindrze. Nie dość, że wygnieciony, to jeszcze rondo się wygięło jak w kapeluszu. Trzeba będzie kupić nowy, bo wygląda w nim pewnie jak gałganiarz. Nie pasuje nawet do takiej eleganckiej katarynki.

- Kiedyś kształciłam się na śpiewaczkę - powiedziała wreszcie gospodyni, z westchnieniem postawiwszy przed młodym mężczyzną filiżankę herbaty z rumem. Filiżanka była niebieska, z imitacji porcelany, i miała wyszczerbiony brzeg. - Profesor Kohn, TEN profesor Kohn mówił mi, że posiadam nie tylko talent dramatyczny, ale przede wszystkim bardzo sceniczną, wręcz tragiczną twarz. - Teatralnym gestem odsunęła nieistniejący kosmyk włosów z czoła. - To było kilkanaście lat temu, ma się rozumieć. Słowem, wróżył mi niemałą muzyczną karierę, na skalę światową, wręcz zmuszał mnie do dalszej nauki, do kształcenia

się pod kierunkiem najwybitniejszych niemieckich pedagogów, uwierzy pan? - Westchnęła raz jeszcze. - Ale w tym zawodzie tak piekielnie trudno się przebić. Same znajomości, koteryjki, układziki, gorzej niż w teatrze, niech mi pan wierzy, młody człowieku. Mur nie do skruszenia.

- No tak, właśnie...

- Talent, zaręczam panu, to nie więcej niż pięć procent sukcesu.

- Niestety.

- Nawet nie pięć. Najwyżej trzy.

- Otóż właśnie. Trzy, nie więcej.

Rozpuściła włosy.

- Trzeba znać ludzi, innej drogi nie ma.

- Jak wszędzie.

W ciągu dziesięciu minut gospodyni zdążyła obsmarować wszystkich, którzy mieli w tym mieście cokolwiek wspólnego z muzyką: dyrygentów, impresariów, nauczycieli fortepianu, śpiewaków i - w szczególności! - śpiewaczki (najbardziej wyuzdane istoty pod słońcem, zarówno solistki, jak i zwykle chórzystki). Padały imiona, nazwiska, tytuły oper, nazwy teatrów.

Tomasz Arsenicz słuchał tego jednym uchem, gdyż żadne z wymienionych nazwisk absolutnie nic mu nie mówiło. Nawet sławny i podziwiany maestro Kluczyński (straszny kobieciarz, a przy okazji nadużywa alkoholu i awanturuje się z dorożkarzami) był tylko głuchym dźwiękiem w jego uszach.

Kiedy wzięła się za redaktorów „pewnych gazet”, inspicjentów, rekwizytorów, a nawet maszynistów w teatrze, w ogóle już przestał słuchać. Widział poruszające się cienkie usta, ale jej głos zlał się z szumem deszczu za oknem. Czuł się oddzielony od niej niewidzialną ścianą.

Wreszcie zebrał się w sobie, opróżnił zawartość wyszczerbionej filiżanki i już zamierzał się pożegnać, kiedy gospodyni ponownie westchnęła z miną, która nie wróżyła dobrych wiadomości.

- No i niech mi pan teraz powie: co z tymi biednymi krowami? - spytała z niezwykle zatroskaną miną.

Kataryniarz drgnął.

- Z krowami?

- Ano właśnie.

- Z jakimi krowami?

Pomyślał w pierwszej chwili, że obłąkana kobieta ma na myśli znieawidzone

śpiewaczki, którym udało się dzięki rozwiązłości porobić sceniczne kariery, rychło okazało się jednak, że jest w błędzie.

- Wycinają im nie tylko wątroby, ale i jakieś gruczoły podobno.

- Słucham? - spytał zdumiony kataryniarz.

Pokiwała głową z poważną miną.

- Tak, tak. Zupełnie jak chirurdzy w klinice.

- Jacy znowu chirurdzy? W jakiej klinice? - Nie miał nadziei na żadną sensowną odpowiedź, lecz pytanie po prostu wyrwało mu się z ust.

Opera, dzika rozpusta, krowy i chirurdzy - tego było już chyba za wiele.

- To pan o niczym nie wie? - zdziwiła się z kolei kobieta. - Nie może być! Naprawdę nie chodzi pan na Sienną do jatek? Nie wierzę!

- Nie jadam mięsa, droga pani - odparł, starając się, aby nie zabrzmiało to nieuprzejmie. Potem podrapał się nerwowo pod połą surduta. - No to na mnie już chyba czas, dziękuję za mile spędzony...

- A cóż to z pana za kataryniarz?

Aż drgnął, bo kobieta trafiła teraz w czuły punkt.

- Obawiam się, że nie rozumiem - odparł cicho.

- Toś pan chyba głuchy jest. Toś pan chyba jeden w całym Krakowie o tym nie słyszał! - wykrzyknęła, klepiąc się po wystającym spod szlafroka chudym kolanie. - Taka niesamowita historia, a ten nic nie wie, chociaż chodzi po całym mieście.

Nocni chirurdzy

Kwadrans później kataryniarz dopijał drugą filiżankę herbaty z rumem pewien już, że wreszcie znalazł historię godną opowiedzenia hrabiemu.

- Czyli to na pewno nie jest sprawka zwyrodnialców z nożami? - spytał, czując, jak pod wpływem alkoholu ogarnia go błogie ciepło. Deszcz przestał padać, ale jemu już się nie śpieszyło. Czuł się tak rozleniwiony i szczęśliwy, że mógłby siedzieć w tej kuchni do samego wieczora.

- Nie, to musiał zrobić jakiś fachowiec. Z medycznym wykształceniem. Nie byle kto z ulicy.

- Szalony chirurg?

- Tak. Albo...

- Albo?

- Albo sam diabeł, panie Tomaszu - powiedziała poważnie niespełniona śpiewaczka, patrząc chłopakowi prosto w oczy.

- Diabeł? - powtórzył z niedowierzaniem.

- A któż by inny? To najwyraźniej szatańska robota.

Historia rzeczywiście była niesamowita, ale żeby od razu diabeł?

Przed miesiącem we wsi Krzesławice znaleziono martwą krowę. Na pierwszy rzut oka właściciel ocenił, że zwierzę zatruto się albo padło w wyniku jakiejś choroby. Po bliższych oględzinach zauważył jednak coś, co go mocno zastanowiło. Ciało było okaleczone i całkowicie pozbawione krwi. Ktoś usunął biednej krowie oczy, a także wyciął język.

Ponadto chłop dostrzegł dziwne dziury w pobliżu uszu oraz wycięte w skórze otwory o kształcie idealnych kwadratów. Naturalnie można by to wytłumaczyć działaniem padlinożerców, które zawsze napoczynają martwe ciała od części miękkich i najbardziej dostępnych. Można by, gdyby nie brak jakichkolwiek śladów uczty i te idealnie wycięte kwadratowe płyty skóry. W pobliżu krowy nie było ani kropli krwi. Ponadto kości zwierzęcia były nienaruszone. Niespełna tydzień później natrafiono w tej samej wsi na pozbawionego

głowy konia. Operacji oddzielenia dokonano z niebywałą precyzją. Znowu nie natrafiono na ślady walki. Do tej pory znaleziono w tej okolicy kilka jeszcze zwierząt zabitych w podobny sposób.

- I to nie były same tylko krowy - dodała tajemniczo.

- Tak...? - popatrzył na nią znad upojnie pachnącej filiżanki.

- Jeden z gospodarzy znalazł w krzakach za stodołą swojego psa. A raczej to, co po nim zostało.

Arsenicz siorbnął z filiżanki.

- Zabity w taki sam sposób?

- Ano... Miał usunięty język, podbrzusze i wycięty, dobrze mówię: wycięty spory kawałek kręgosłupa. Jakby ktoś posługiwał się ostrym nożem...

- Może to jacyś czciciele zła? - zasugerował kataryniarz. - Może dokonują jakichś obrzędów?

- To sprawka diabła - odparła z mocą kobieta. - Hodowcy bydła opowiadają, że nocami pojawiają się nad wsią kule światła i słychać szatańskie wycie albo dziwną mowę, taką chrapliwą i szczekliwą, jakby po niemiecku. Zwierzęta szaleją ze strachu, ludzie też boją się wychodzić po zmroku.

O coś takiego właśnie mi chodziło, pomyślał z satysfakcją Tomasz Arsenicz. Idealna opowiadka dla hrabiego. Tak szalona, że ciężko by było ją komuś wymyślić. Będą za to pieniądze, bez dwóch zdań. Przydadzą się, bo buty były drogie jak diabli, niewiele już miał gotówki w kieszeniach. A tu by pasowało podtrzymać miły nastrój, poprawić kufelkiem piwa gdzieś w szynku. Albo dwoma.

- Kto o tym pani właściwie opowiedział? - zapytał.

- Rzeźnicy na Siennej. Napije się pan jeszcze?

- Bardzo proszę.

Kobieta wstała i podeszła do samowara.

- Cała ulica o tym gada, ba, cały Mały Rynek. Chłopi chcą zorganizować jakąś straż, żeby chronić zwierzęta.

- Przed diabłem?

Potrząsnęła gwałtownie głową.

- Oni twierdzą, że to sprawka ludzi. Wie pan, na wsi rozumuje się prosto. Inaczej niż w mieście.

Godzinę później Tomasz Arsenicz pożegnał się, podchmielony i szczęśliwy. Długo dziękował kobiecie za gościnę, kilka razy odwracał się jeszcze na ciemnych schodach, aby

dać wyraz wdzięczności, mało nie przewracając się przy tym razem z katarynką.

Na ulicy zapadał już zmrok. Było wilgotno i zimno. Zamiast wrócić do domu, Arsenicz postanowił pójść jeszcze na ulicę Sienną, aby wypytać rzeźników o szczegóły. Trzeba kuć żelazo, póki gorące. Im więcej uda mu się wydobyć, tym historia będzie ciekawsza i - no co tu dużo mówić! - cenniejsza.

Ale było już za późno, jatki stały zamknięte. Od starej kwiaciarki dowiedział się, że jeden rzeźnik pije teraz w piwiarni za rogiem. To nawet lepiej! Przy alkoholu ludzie są rozmowniejsi niż podczas pracy.

Wszedł do niewielkiego zadymionego lokalu, którego właściciel wskazał mu siedzącego pod samym oknem łysego grubasa z bulwiastym nosem i wylupiastymi oczami. Rzeźnik jak nic, brakowało mu tylko skórzanego fartucha.

- To Madej - poinformował cichym głosem właściciel. - Bartosz Madej. Ostrożnie. Pije już czwarte piwo, a jest gorączka jakich mało.

- Będę uważał.

Tomasz Arsenicz śmiało podszedł do stolika. Rzeźnik podniósł na niego pozbawione wyrazu oczy.

- Jeśli pan zamierujesz kręcić na tym pudle, to ostrzegam, że nie w humorze - powiedział zimno.

- Chciałem pogadać - rzekł z uśmiechem kataryniarz, przysuwając sobie krzesło. - Panie kelner, dwa piwa proszę!

Grubas ponownie spojrzał na beczelnego chłopaka, który tymczasem usiadł obok niego, założył nogę na nogę i zdjawszy wygnieciony cylinder, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni surduta krzywego papierosa.

- O czym chcesz pan gadać? - zacisnął olbrzymią, piegowatą pięść. - Ja pana nie znam i nie chcę znać.

- O krowach i koniach z Krzesławic - odparł spokojnie kataryniarz w ogóle niezrażony niechętną postawą rzeźnika. Zapalił i wydmuchnął dym w kierunku okna, cały czas szczerząc zęby w uśmiechu.

Kelner przyniósł do stolika dwa kufle. Grubas przyjął swój bez słowa podziękowania, ale też nie odmówił. Pierwsze lody zostały przełamane, uznał młody lwowianin. Przez jakiś kwadrans pili piwo w milczeniu, jakby nie dostrzegając się nawzajem. Widać było jednak, że wspominając o krzesławickich zwierzętach, uderzył kataryniarz we właściwą strunę.

- Kto je okaleczył, panie Madej? - spytał wreszcie, widząc, że jego sąsiad robi się coraz bardziej pijany. - Słyszał pan o tej sprawie?

- Pewnie, żem słyszał - westchnął rzeźnik, ocierając usta wierzchem dłoni. Najwyraźniej zmiękł, ale wciąż nie patrzył na kataryniarza, tylko gdzieś w głąb sali, na żywo gestykulującego mężczyznę z siwymi faworytami.

- Kto panu opowiedział?

- Sam Stefan Grabczyk mi gadał. - Potrząsnął gwałtownie głową, jakby chciał oprzytomnieć. - To było jego bydlę, co pierwsze ubili. Chociaż nie, wcześniej była koza... - zastanowił się. Na jego twarzy odmalował się ogromny wysiłek umysłowy.

- Pan też z Krzesławic?

- Nie, ja z Czyżyn. - Ocknął się. - A co?

Kataryniarz upił łyk i spojrzał uważnie na лыsego mężczyznę.

- Nic, tak tylko pytam. Ale te krowy, wie pan, tajemnicza sprawa. Bardzo tajemnicza. To chyba nie ludzie za tym stoją, mam rację?

Tamten nie odpowiedział, lecz widać było, że coraz trudniej zachować mu wstrzeźliwość w słowach.

- Coś tam dziwnego było? - nalegał Arsenicz.

- Tak - odparł ponuro rzeźnik, podnosząc ostrożnie kufel do ust. - Stefan też wnet się pomiarkował, że niezwykajna to rzecz. - Beknął i przykrył usta ogromną pięścią. - Granula bez ozora leżała. Ślepia jej też, ścierwa, wyjęli, no a potem wypili krew.

- Kto wypił krew?

Grubas łypnął na niego wylupiastym okiem.

- Wiadomo kto. Diabli.

- Widział ich kto?

Za oknem przejechał szwadron austriackich huzarów, dzwoniąc uprzężą. Tacy to mają powodzenie u kobiet, pomyślał bezwiednie Tomasz Arsenicz.

- A bo to raz widzieli? - ożywił się naraz rzeźnik, ale po sekundzie znów znieruchomiał wpatrzony gdzieś w ścianę, w obrazek przedstawiający toczenie beczek w browarze. - Często gęsto ich ludzie teraz nocami widują, jak chodzą po wsiach i wypatrują, kogo by wziąć. Grzech na świecie panuje, tyle panu powiem.

- Co racja, to racja.

- Stefan też ich jeden raz widział.

Arsenicz uniósł znacząco brwi.

- Naprawdę?

- Są świadki. Jednej nocy cosik chodziło koło obór, cichuśko, ino trawa trzeszczała, więc Stefan wylazł z chałupy, zawołał sąsiada ze synem, co akuratnie byli w stodole. Wzięli we

trzech grabie i siekierę...

- No i...?

Rzeźnik znów beknął.

- No i zobaczyli, jak biegnie przez sad jakiś dziwostwór, mały kiej dziecko, całkiem golusieńki. Tylko ślepiami na czerwono błyskał i nie po ludzku coś mamrotał. A te ślepia to miał na pół głowy.

- Diabeł?

- Diabeł jak nic.

- Żaden tam diabeł, panie Madej, żaden diabeł - powiedział tubalnie olbrzymi mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku i od jakiegoś już czasu uważnie przysłuchujący się rozmowie. Facet wyglądał jak zapaśnik albo atleta z jarmarku. Rozparł się na krześle, ręce wsparł na biodrach, wielki brzuch wypływał mu spod rozpiętej kamizelki. Twarz miał okrągłą, czerstwą, słowem, oblicze jak bochen chleba, tyle że z mięsistym nosem, czarnym wąsikiem i małymi oczkami, które błyskały teraz figlarnie w gazowym świetle. - Powiem panom, kto to jest.

Tomasz Arsenicz machnął ręką, odpędzając tytoniowy dym, żeby lepiej widzieć zapaśnika.

- Kto? - zapytał.

- To nikt inny jak Kain, zabójca Abła.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Że niby kto? - spytał z kolei rzeźnik, kierując w stronę mężczyzny nieprzytomny wzrok. Podniósł do ust kufel, ale nie trafił dokładnie i polał sobie tylko piwem brodę oraz przód popielatego surduta.

- Kain, syn Adama i Ewy - odparł tamten, uśmiechając się szeroko, jakby opowiadał o czymś niezmiernie wesołym. Czoło błyszczało mu od potu. - Bóg skazał go na wieczną tułaczkę. Błąka się z tej przyczyny po świecie od biblijnych czasów, żeby, rozumiesz pan, odpokutować swój straszliwy czyn. Ale nie można go zabić, jest nietykalny. Niech nas Bóg zachowa od złego! - podniósł ciężki kufel. - Wypijmy za to!

Rzeźnik Bartosz Madej nic na to nie odpowiedział, tylko zamknął oczy i zwiesił głowę na piersi. Najwidoczniej przegrał kolejną walkę z samym sobą o przytomność umysłu i wreszcie zasnął.

Mężczyzna podniósł się ze swojego miejsca i bezceremonialnie przysunął sobie krzesło do ich stolika.

- Z powodu swej ohydnej zbrodni zatracił człowieczą postać i wygląda jak zwierz -

kontynuował z jakąś dziwną satysfakcją. - Od tysięcy lat ukrywa się przed ludzkim okiem. Niewielu go widziało. Ale powiem coś panu, panie kataryniarz.

- Słucham.

- Ja też go widziałem.

- W Krzesławicach?

- Nie, w lasach koło Radzimina. W sześćdziesiątym trzecim.

- W trakcie powstania?

Mężczyzna z uroczystą miną pokiwał twierdząco głową.

- W sześćdziesiątym trzecim - powtórzył głośno. - Kiedyśmy prali po lasach Moskali i wieszali szpiegów.

- Walczył pan? - Z podziwem spojrzął na niego Tomasz Arsenicz, dla którego powstańcy byli nie tyle ludźmi, ile jakimiś mitycznymi herosami.

- Trzeba się było bić, tom się bił. - Dla podkreślenia tych słów uderzył kuflem o stół. - W kwietniu uformowaliśmy oddział pod Krakowem, ksiądz poświęcił nasze sztucery i kosy, no i przeszliśmy w trzystu chłopów przez Wiślicę.

- Na tamtą stronę?

- Ano... Zaraz też starliśmy się z pułkiem dragonów i sotnią Kozaków dońskich. Popędzili nas wtedy, że ho, ho, ale koniec końców udało mi się przedostać do innego oddziału. Szliśmy sobie w stronę Warszawy, uważasz pan, po drodze niszczyliśmy telegrafy i szyny kolejowe, zabieraliśmy broń na pocztach i w zarządach lasów, rekwirowaliśmy konie. Chłopi nas się bali, Żydzi nas się bali, trzeba było widzieć ich gęby, jakeśmy wchodzili do wiosek. Takie były czasy, nikt się nie cackał.

- A co z tym Kainem? - spytał niecierpliwie Tomasz Arsenicz.

- Zaraz, zaraz, panie kataryniarz - uspokoił go mężczyzna, gładząc wąsy. - Wszystko po kolei. Każda historia musi mieć ręce i nogi, prawda? Pod Radziminem stanęliśmy w jakiejś wsi. Gospodarz dał nam jeść. Potem nocowaliśmy. No i kiedyśmy posnęli, zaskoczył nas szwadron huzarów grodzieńskich. No to my chodu, przez okna, przez płot i do lasu. Wiadoma sprawa.

Tomasz Arsenicz przytaknął tylko z poważną miną, nie chcąc przerywać, ale zastanawiał się, czemu powstańcy nie podjęli walki z Rosjanami. Pewnie siła wroga była zbyt wielka.

Nieważne.

- Każdy uciekał osobno, żeby trudniej było nas wyłapać - kontynuował zapaśnik, przymknąwszy przekrwione oczy, jakby pod powiekami szukał obrazów sprzed piętnastu lat.

- Moskale dali się oszukać. Kiedym się zatrzymał, zaczynało już świtać. Byłem sam, nie

wiedziałem, gdzie właściwie jestem, sztucer zgubiłem podczas ucieczki. Tylko nóż przy sobie miałem. Wokół mnie las, brzozy i świerki rosną gęsto, biała mgła się podnosi po nocnym deszczu... Wtedy go właśnie zobaczyłem.

- Kaina?

- Dobrześ pan zgadł. Wyrósł nagle na wprost mnie, jakieś piętnaście kroków przede mną. Stał pomiędzy białymi brzożami, po pas we mgle. Karzełkowaty, całkiem goły. Oczy mu świeciły na zielono, znaczy: na czerwono. Zresztą nie pamiętam dokładnie. Po prostu świeciły. Zdawało mi się, wiesz pan, że ten skurczybyk wszystko o mnie wie, że widzi mnie na wylot. Nie bałem się go, niech mi pan wierzy, po ucieczce przed Moskalami nerwy mi przeszły.

- Normalna rzecz - gorliwie przytaknął Arsenicz.

- Byłem tylko ciekaw, skąd się wziął w tym lesie.

- No i co pan zrobił?

Mężczyzna zabębnił nerwowo paluchami na stole.

- Nic. Stałem i patrzyłem. W końcu on się odwrócił i zniknął we mgle. Tylem go widział.

W tym momencie śpiący rzeźnik spadł na podłogę. Zadziało to jak sygnał. Arsenicz duszkiem dopił resztkę piwa i ostrożnie, bardzo ostrożnie podniósł się z krzesła. Miał na dzisiaj dość alkoholu i niezwykłych historii. Od tego wszystkiego kręciło mu się już w głowie.

- Nigdy nie zostanie mu wybaczone - ciągnął zapaśnik, podczas gdy kataryniarz nie bez problemów zakładał na plecy instrument. - To Kain, powiadam panu. Taka kara spotkała bratobójcę. Bóg takich rzeczy nie odpuszcza.

- Nie odpuszcza - wymamrotał na odchodnym kataryniarz.

- Nigdy.

* * *

Był późny wieczór, a właściwie chyba już noc, kiedy pijany Tomasz Arsenicz znalazł się obok cmentarza, na ponurej, wyludnionej ulicy Rakowickiej, gdzie hrabia Radu Lupescu miał swoją kwaterę. Koniec końców musiał się tu dzisiaj zjawić. Impuls, można powiedzieć. Kataryniarz był jak marionetka prowadzona na sznurkach przez niewidzialnego mistrza. Zostawił w szynku ostatnie pieniądze, pomyślał więc sobie, zupełnie rozsądnie, że może uda się jeszcze tego wieczoru wyciągnąć coś od hrabiego, skoro tamten obiecał płacić za każdą niesamowitą opowieść.

Taka historia! Okaleczone krowy, ba, diabły hulające po wsiach, Kain - zabójca Abla - w

Krzyszłowicach. To musi być naprawdę dużo warte. Jak nic będą pieniądze. Jutro nie same kartofle, lecz kotlet wiedeński w jadalni przy Małym Rynku, a co? Wprawdzie hrabia Lupescu, mówił, żeby przychodzić do niego tylko w piątki, a dzisiaj jest dopiero... zaraz, zaraz... bodajże środa, ale nie zaszkodzi przecież spróbować, prawda? Najwyżej go nie będzie. Albo kataryniarza zbędzie.

Trzeba iść. Bo inaczej za co jutro zje obiad, skoro całe pieniądze wydał i już nawet na bułkę nie ma? Jaki to był numer?... Nieważne. Gdzieś to mam. Przystanął. Pogrzebał w kieszeniach, z trudem utrzymując równowagę. Odbiło mu się. Nie mam, musiało wypaść w szynku. Nic nie szkodzi. Poznam przecież kamienicę. To po tej stronie. Znaczą: po tamtej, naprzeciwko muru. Czknął głośno. Taka wysoka, z ciemnej cegły, na drzwiach były jakieś znaki kredą. Ale ci husarzy austriaccy, ech, ci to mają mundury i konie, że aż błyszczą. Szyk, proszę pana. Babki na pewno na nich leżą, za kataryniarzem nikt się nawet nie obejrzy, choćby nie wiadomo jak przystojny. Ale to się zmieni! To się musi zmienić! Po prawej jest mur, a za nim groby. Makabra! Co to w ogóle za pomysł wynajmować mieszkanie przy samym cmentarzu? Ci cudzoziemcy to naprawdę dziwni ludzie.

Chwilę potrwało, zanim znalazł właściwy budynek.

W ciemnościach prawie nie było widać kamienicy, w ani jednym oknie nie paliło się bowiem światło. Nic nie szkodzi, myślał Arsenicz, hrabia Radu Lupescu lubi grobowy nastrój. Jak każdy rumuński arystokrata, jeśli wierzyć gazetom i książkom.

Ważne, że numer się zgadza.

Chyba się zgadza.

Musi się zgadzać. Dopiero za drugim razem udało mu się otworzyć drzwi. Zamiast pchać, trzeba było po prostu pociągnąć. Niepotrzebnie tylko narobił hałasu.

Znalazł się na ciemnej klatce schodowej. Znowu zapach stęchlizny i piwnicznej wilgoci. Ponieważ było zupełnie ciemno, musiał iść z wyciągniętymi przed siebie rękami. Po omacku odnalazł poręcz schodów. Drewniane stopnie zaskrzypiały pod jego nowiutkimi butami. Tylko ostrożnie i cichutko. Niewiele brakowało, a przewróciłby się już na trzecim. Jakimś cudem zachował równowagę. Najważniejsze to wysoko podnosić nogi. Trzeba uważać na każdy krok, bo stromo, a ciężka katarynka ciągnie do tyłu.

Im wyżej wszakże wchodził, tym więcej miał wątpliwości co do swojego pomysłu. Na co właściwie liczy? Trudno raczej uwierzyć, że hrabia siedzi przez cały czas w tym obskurnym pokoju i czeka na niego, prawda? Przecież nikt go pod kluczem nie trzyma. Pewnie mieszka w hotelu, może wynajmuje nawet całe piętro, a na Rakowickiej pojawia się jedynie w piątki wieczorem, aby spotkać się ze swymi informatorami. Bo na pewno jest ich więcej, nie tylko

kataryniarz zbiera dla niego niesamowite historie.

Na podeście pierwszego piętra przystanął i poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. Dopiero po dłuższej chwili przypomniał sobie, że ostatniego wypalił przy piwie na ulicy Siennej. Jasna cholera, przydałby się teraz! No cóż, to jeszcze jeden powód, dla którego dobrze by było dzisiaj otrzymać wypłatę. Bez jedzenia można wytrzymać, ale bez papierosów będzie ciężko.

Z westchnieniem ruszył dalej. Katarynka zrobiła się strasznie ciężka, jakby dźwigał na plecach fortepian. Kiedy był już niemal na piętrze, usłyszał za sobą jakiś odgłos. Drgnął. To z parteru. Jak gdyby warknięcie. Włosy momentalnie zjeżyły mu się na głowie, mróz przeszedł po kościach. Odwrócił się, ale w ciemnościach nic nie było widać. Kompletnie nic, jakby znalazł się na samym dnie opuszczonej kopalni.

To pewnie koty, pomyślał bez przekonania. Czasami potrafią wydawać takie dziwne dźwięki, ni to miauki, ni to warknięcia. Zdawało mu się, że na tych schodach jest jeszcze zimniej niż na ulicy. Jak w grobowcu. Naraz opuścił go dobry humor, jakby cały wypity tego dnia alkohol wyparował mu z głowy pomiędzy parterem a pierwszym piętrem kamienicy na Rakowickiej. Jakaś siła pchała go jednak do góry. Próbował zagwizdać arię toreadora z „Carmen”, lecz wydał z siebie jedynie żalosny, niemelodyjny świst.

Dotarł na piętro, przystanął lekko oszołomiony, chociaż już nie tylko alkohol zaćmiewał jego umysł.

Pojawił się strach i coś jeszcze, coś dziwnego.

Drzwi po prawej stronie. Namacał je drżącą ręką. Zapukał cicho i przez jakiś czas czekał, nasłuchując w napięciu jakiejś reakcji. Cisza. Ale wtedy, poprzednim razem, też nie docierał z wnętrza najmniejszy szmer. Serce biło mu mocno, zdecydowanie zbyt mocno. Najchętniej zawróciłby na pięcie i uciekł jak najdalej stąd. Lecz skoro dotarł tak daleko, skoro stoi już przed samymi drzwiami, głupotą byłoby teraz odejść. Ciekawość i chęć zarobku przemogły strach.

Nacisnął na klamkę i pchnął ostrożnie wysokie, chwiejące się na zawiasach drzwi. Otwarte. Ustąpiły łatwo, bez większego hałasu. Stał w progu. Ciemność była tak doskonała, że nie widział nawet zarysów okna, które jak dobrze pamiętał, powinno znajdować się dokładnie naprzeciwko drzwi. A tutaj nic - czarna ściana. Dziwne, wzrok powinien się już dawno przyzwyczaić do ciemności. Narastała w nim osobliwa, niczym nieuzasadniona pewność, że mimo zgaszonego światła i grobowej ciszy hrabia znajduje się w środku. Siedzi tam nieruchomy jak manekin i czeka do piątku, kiedy tylko na chwilę przebudzi się z letargu, aby wysłuchać upiornej historii i wypłacić pieniądze.

Albo wyssać z niego krew.

Jak z tych biednych zwierząt w Krzesławicach.

Wampir śpiący w swojej jaskini.

Spokojnie, to tylko wyobraźnia. Wampirów nie ma, a już na pewno nie spotyka się ich w Krakowie. Bajki dla dzieci, nic więcej. Powieści w odcinkach pisane z myślą o prostych kucharkach albo strachliwych pensjonarkach. W prawdziwym życiu takie rzeczy się przecież nie zdarzają.

Mimo to Tomasz Arsenicz poczuł suchość w ustach. Z trudem przełknął ślinę. Dłonie miał za to zupełnie mokre mimo chłodu. Wylał je o spodnie, potem odchrząknął - najciszej, jak potrafił - i odetchnął głęboko.

Postąpił dwa kroki do przodu i zatrzymał się zdezorientowany. Ciemność sprawiła, że kompletnie się pogubił. Nie wiedział już, czy klatka jest wciąż za jego plecami czy może bezwiednie zrobił krok w innym kierunku i drzwi wejściowe oraz schody są teraz gdzieś z boku.

Wszystko mu się poprzestawiało.

Zaraz, zaraz, przecież mam jeszcze zapałki, pomyślał po niepokojąco długiej chwili. Właściwie czemu ja tak w ciemnościach stoję? Przecież to śmieszne, strach odebrał mi chyba rozum.

Trzeba zapalić, będzie jaśniej.

Ale najpierw muszę się pozbyć tego włoskiego dziadostwa, bo ciężkie jak jasna cholera! Chwiejąc się niebezpiecznie, zdjął z pleców katarynkę i położył ją ostrożnie na podłodze. Dopiero wtedy, cudownie lekki i zwrotny, choć wciąż oszołomiony, wydobyl z kieszeni spodni tekturowe pudełko. Potarł zapałkę. W nikłym blasku zobaczył tylko swoje dłonie i fragment ściany po lewej. Ale która to właściwie ściana? Ta z oknem? Niemożliwe. Do licha, jak tu zimno, jak w grobie! Zapałka zgasła. Zrobił kolejny krok do przodu. Zatrzeszczały deski podłogi.

Nawiedzony dom. Pamiętał, że taki był tytuł książki, którą czytał jeszcze we Lwowie. Na okładce narysowano mroczny dwór otoczony lasem. W górze wisiał księżyc częściowo przesłonięty czarną chmurą. O co tam chodziło? Gospodarz zawarł pakt z diabłem? Coś w tym rodzaju.

Zapalił następną.

- Panie hrabio - wyszeptał. - To ja, kataryniarz. Tomasz Arsenicz. Umawialiśmy się. Jest pan tutaj?

Cisza.

- Miałem przyjść w piątek, ale...

Nic.

- Ale tak się złożyło, że...

Grobowa cisza. Ktoś tu jednak jest. Tomasz Arsenicz był niemal pewien, że hrabia go obserwuje. Czuł jego wzrok na skórze równie wyraźnie jak chłód. Sięgnął po następną zapalkę. To już ostatnia, trzeba uważać.

- Że mam historię... - powiedział bezgłośnie.

Jakiś odgłos. Oddech? Tak, coś jakby sapanie. Ktoś oddychał, i to bardzo głośno oddychał. To nie ja, pomyślał w panice kataryniarz, żałując, że w ogóle się odezwał. Po co budził licha? Po co w ogóle wchodził do tego mieszkania?

Ręce tak mu się trzęsły, że mało nie złamał tej ostatniej zapalki. Oddech narastał, trudno było określić, skąd właściwie dobiega. Arsenicz miał wrażenie, że to samo mieszkanie oddycha. Że ściany rozszerzają się i kurczą niby płuca.

Oddech był coraz głośniejszy. Tak oddycha ktoś bardzo chory.

Zapalka zabłysła.

I właśnie wtedy, w jej nikłym blasku, Tomasz Arsenicz go zobaczył.

* * *

Hrabia Radu Lupescu.

Z Bukaresztu.

Arystokrata zainteresowany duchami.

Siedział w tym samym miejscu co poprzednim razem. Siedział nawet na tym samym fotelu.

Ale już nie ten sam.

Tomasz Arsenicz widział go tylko przez sekundę, najwyżej półtorej, bo zapalka szybko zgasła. Ale to co zobaczył, w zupełności mu wystarczyło.

Stwór był całkowicie nagi. Już sam widok zielonej jak u jaszczurki skóry mógł przyprawić o atak serca. Cóż zatem powiedzieć o olbrzymiej pomarszczonej głowie, o przesłoniętych błoną ślepiach? Albo o zakończonych zwierzęcymi szponami łapach na poręczach fotela?

To coś żyło. Oddychało. Wypukła klatka piersiowa podnosiła się i opadała rytmicznie. Zupełnie jakby potwór spał.

Kataryniarz poczuł, że nogi się pod nim uginają. Nawet nie krzyknął, tylko po prostu westchnął. Całe powietrze uszło z niego jak z przedziurawionego balonu.

I wtedy w ciemnościach zabłyśły dwa czerwone światełka jak dwa rozżarzone węgle.

Hrabia Radu Lupescu otworzył oczy.

To nie może się dziać naprawdę! przemknęło przez głowę kompletnie zszokowanemu Tomaszowi Arseniczowi.

Tymczasem w kącie pokoju rozjarzyła się druga para czerwonych oczu. Jest ich tutaj więcej.

Kataryniarz patrzył to w jedną, to w drugą stronę, nie mogąc się poruszyć, nie potrafiąc nawet wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Nie miał pojęcia, jak długo to trwało.

Hrabia Lupescu z małżonką. Panie Arsenicz, pragnąłbym przedstawić panu moją najdroższą...

Kiedy tylko odzyskał władzę w nogach, momentalnie rzucił się do rozpaczliwej ucieczki. Jak było do przewidzenia, nie od razu trafił w drzwi. Z impetem uderzył czołem w ścianę, aż zadzwoniło mu w głowie i o mało się nie wyrzucił. Kilka długich sekund potrwało, nim po omacku odnalazł framugę.

Na klatce było już dużo łatwiej. Zbiegł po schodach, a właściwie pofrunął w dół, jak gdyby naraz wyrosły mu skrzydła. Trzymając się poręczy, przeskakiwał po kilka stopni, dzięki czemu bardzo szybko znalazł się przy bramie.

Nie czuł bólu, nie czuł w ogóle nic, nic prócz strachu i pragnienia, by jak najszybciej wydostać się na zewnątrz. Ani myślał w tej chwili o pozostawionej w mieszkaniu potwora katarynce, niech ją szlag trafi!

Nie wróciłby po nią za żadne skarby świata.

Wybiegłszy na ulicę, przez chwilę zastanawiał się, w którym kierunku powinien kontynuować ucieczkę. Biec w lewo czy prawo? Szczerze mówiąc, najchętniej pobiegłby w obie strony równocześnie.

W końcu wybrał najkrótszą drogę w kierunku Kleparza.

Biały mnich

Tej nocy oczywiście nie zmrużył oka. Nie chodziło nawet o ból głowy, choć na czole, tuż nad prawym łukiem brwiowym, wyrósł mu potężny guz. Tomasz Arsenicz po prostu bał się zasnąć. Był cały rozdygotany. Wciąż miał przed oczami obraz siedzącego w fotelu diabła, wciąż rozbrzmiewał mu w głowie jego nienaturalnie głośny oddech, jakby sapał cały ten przeklęty budynek.

No i te ślepia, kiedy stwór rozchylił powieki!

A potem druga para oczu!

Upiorne małżeństwo dostrzegło go i wie już, że odkrył ich tajemnicę. Państwo Lupescu nie będą zadowoleni z tej niespodziewanej wizyty.

Grubo przed świtem wstał wreszcie z łóżka, ochlapał się wodą nad miednicą i opuścił mieszkanie. Nie mógł dłużej wytrzymać w tym ciasnym pomieszczeniu, musiał jakoś rozładować nagromadzone napięcie. Wybiegł więc na zewnątrz i krążył bez celu po ciemnych jeszcze ulicach, uważając jedynie, aby nie zbliżyć się za bardzo w stronę cmentarza i ulicy Rakowickiej.

Wciąż nerwowo oglądał się za siebie, a jego serce zamierało za każdym razem, kiedy napotykał jakiegoś przechodnia. Uspokoił się nieco z nastaniem świtu. Ranek wstał pochmurny i szary, ale były kataryniarz z radością przywitał nawet tak mizerne światło. Przybyło ludzi na ulicach, zaczęły hałasować furgony i ręczne wózki, podnoszono kraty magazynów.

Zrobiło się jakoś lżej na duszy, już nie tak straszno jak w nocy.

Ale wtedy też zaczął się Tomasz Arsenicz zastanawiać wreszcie nad swoim położeniem. Nie miał żadnych pieniędzy - przehulał wczoraj co miał w kieszeniach, czyli cały swój majątek. Co gorsza, nie miał już katarynki. Włoskie cudo zostawił w mieszkaniu diabła z Bukaresztu, a stare pudło kilka dni temu uroczyście wrzucił do Wisły.

Został więc bez pracy i środków do życia. W dodatku musiał się ukrywać przed diabelskim hrabią, który z pewnością nie jest zachwycony tym, że Tomasz przyszedł nie w

porę i zobaczył go w prawdziwej postaci.

Ale jak tu uciec przed diabłem?

Przyjdzie mi chyba skoczyć do Wisły w ślad za tą przeklętą katarynką, pomyślał posepnie.

Tymczasem jak na złość zaczęło padać. Po chwili zastanowienia postanowił przeczekać deszcz w kościele Mariackim. Przed wejściem zawahał się: czy wspólnik diabła ma prawo wejść do świątyni? Dobre pytanie. W końcu doszedł do wniosku, że kara boska i tak go nie ominie, więc lepiej wcześniej niż później.

Wewnątrz panował półmrok. Przez umieszczone wysoko ostrołukowe okna sączyło się przygaszone jesienne światło. Tomasz Arsenicz szedł powoli między rzędami ławek, mijając wieloboczne pokryte polichromią filary. Kościół rzeczywiście był imponujący, wręcz przytłaczał. W tej olbrzymiej nawie, której wysokie sklepienie ginęło w półmroku, kataryniarz poczuł się jak robak.

Bo jestem jak nędzny robak.

Usiadł niemal przy samym ołtarzu. Zdawało mu się, że figury apostołów przyglądają mu się z niemym wyrzutem. Na niektórych twarzach biedny kataryniarz dostrzegał nawet przerażenie.

Nieszczęsny chłopak. Biada mu, biada. Nie ma już dla niego nadziei. Będzie się smażył w piekle.

W co ja się wplątałem? myślał zrozpaczony, starając się nie patrzeć na zatrwożone figury Wita Stwosza. Ledwie znalazłem się w Krakowie, a już zdążyłem zawrzeć pakt z Mefistofešem. Sprzedałem duszę za grające pudełko i nowe buty. Bez dwóch zdań jestem zgubiony. Diabeł na pewno upomni się o swego sługę - tak jak w tej książce - choćbym uciekł do samego Rzymu.

Może trzeba się wypowiedzieć? Gdzie w końcu szukać pomocy czy choćby tylko pociechy, jeśli nie w kościele? No dobrze, ale co powie księdzu? Że rozmawiał z diabłem? Co ksiądz na to powie? Nie, to nie jest dobry pomysł.

W ławce tuż za plecami usłyszał nagle szelest i delikatne szuranie, po chwili poczuł wyraźny zapach mokrej wełny. Ktoś tu wszedł prosto z ulicy, żeby pomodlić się w ciszy i spokoju albo żeby przeczekać deszcz.

- Jeśli potrzebujesz rozmowy, chodź ze mną. - Cichy szept, który rozległ się nagle za jego plecami, miał dla Arsenicza siłę krzyku. Biedny chłopak aż podskoczył na swoim miejscu, kątem oka zauważając ciemną zakapturzoną postać nachylającą się konspiracyjnie w jego kierunku.

- K... k... ktoś ty? - z trudem wydobył drżący głos ze ściśniętego gardła. Sparaliżowany strachem bał się obejrzeć za siebie. - Czego pan chce ode mnie?

- Jestem przyjacielem. Nie bój się.

Oddech nieznanego pachniał dymem świec, zwiędłymi kwiatami i... tak, wyraźnie pachniał też piwem, stwierdził Arsenicz ze zdziwieniem. Kiedy odważył się w końcu spojrzeć na zakapturzonego mnicha, twarz nieznanego zginęła w mroku obszernego kaptura.

- Chodź ze mną, powiadam ci. Nie masz się czego obawiać. - Mnich wstał i lekko zgięty z powodu ciasnoty zaczął się przesuwać w kierunku wyjścia z drewnianej ławki.

Arsenicz spojrział pytająco na figury z ołtarza, ale żadna nie dała mu nawet najmniejszego znaku. Nadal spoglądały na niego z wyrzutem i naganą.

Cóż, pomyślał w końcu, wzruszając z rezygnacją ramionami, przecież sam chciałem porozmawiać z księdzem.

* * *

Na zewnątrz wcale nie przestało padać, wręcz przeciwnie, deszcz jakby się nawet wzmógł. Arsenicz podniósł kołnierz lichego płaszcza i ruszył z determinacją za wysoką postacią w obszernej ciemnej pelerynie. Co ma być, to będzie, pomyślał.

Przecież ksiądz nie może mi zrobić krzywdy.

I to jeszcze pod kościołem.

Proste.

Tajemniczy mnich bardziej go teraz intrygował, niż przerażał. W świetle dnia nie wyglądał już tak strasznie. Mokra wełniana peleryna była przetarta w wielu miejscach, wystające spod niej buty miały zdarte zelówki i wykoślawione obcasy. Kiedy zaś odwrócił się w stronę Arsenicza, można już było zauważyć bladą poważną twarz starszego mężczyzny, częściowo tylko osłoniętą kapturem.

- Niech się pan pośpieszy - rzucił niecierpliwie w stronę chłopaka - bo całkiem przemokniemy na tym deszczu. To już niedaleko.

Szli w stronę ulicy Grodzkiej, uskakując przed przejeżdżającymi powozami, które rozchlapwały brudną wodę z kałuż. Wykrzywione buty mnicha ślizgały się na mokrym nierównym bruku i kataryniarz przysiągłby, że usłyszał parę razy stłumione przez kaptur grube przekleństwo.

Arsenicz spojrział w kierunku Sukiennic, na szyld Handlu Towarów Żelaznych i Norymberskich, skąd brzęcząc głośno garnkami, wychodziły właśnie dwie służące. Chłopak zamierzał tam kupić kilka naczyń blaszanych i cynowych, ale teraz trzeba będzie chyba o tym

zapomnieć. A szkoda, bo chciał nauczyć się gotować. Suchy chleb popijany piwem nie dodaje raczej sił. I nie poprawia cery. Na twarzy kataryniarza już zaczęły się pojawiać jakieś skórne wyrzuty. Lecznicze mydło smołowe Bergera, reklamowane w gazetach, z pewnością by pomogło. Sprowadzano je z Wiednia. Podobno arcyskuteczne. Tak, tylko skąd wziąć na to pieniądze? pomyślał, spoglądając znów przed siebie, na plecy tajemniczego towarzysza.

Daleko jeszcze? jęknął w duchu, żalując nagle, że dał się namówić na tę przechadzkę. Marzył o tym, żeby zdjąć z siebie wreszcie przemoczone do suchej nitki ubranie i ogrzać się gdzieś przy ogniu. Gdzie właściwie ten dziwny człowiek go prowadzi? Może wprost w łapy hrabiego?

Jeśli tak, to nawet i dobrze. Im szybciej, tym lepiej, szkoda się męczyć.

Tymczasem zakonnik skręcił w końcu w pierwszą bramę tuż przy wyjściu z Rynku w Grodzką. Ociekający deszczem kolorowy szyld na murze informował, że mieści się tu zakład zegarmistrzowski A. Subkowskiego założony w 1858 roku.

Zadźwięczał dzwoneczek przy drzwiach zakładu i obaj mężczyźni znaleźli się w suchym i ciepłym pomieszczeniu po sam sufit wypełnionym zegarami różnej wielkości i kształtu, tykającymi w różnych tonacjach. Niektóre cichutko, jakby szeptem, inne dźwięcznie i głośno, jeszcze inne ciężko, jakby naśladowały żołnierski krok na bruku.

Starszy zgarbiony mężczyzna z okularami na samym czubku nosa przyjmował właśnie klienta, dał więc znać gościom, żeby chwilę poczekali.

- Ta grająca szkatułka wygrywająca dziesięć aryj to prezent od mojej małżonki. - Klient, chudy przestraszony człowieczek, miał bardzo nieszczęśliwą minę. - Jak się dowie, że ją zepsułem, chyba mnie zabije. Ratuj pan.

- A jak się zepsuła? Przekręcił pan mechanizm?

- A gdzie tam! Spadła mi cholera z komody, jak ścierałem kurze przed powrotem mojej magnifiki z wód...

Arsenicz skrzywił się z obrzydzeniem i spojrzał znacząco na mnicha. Ten przewrócił tylko oczami i kaszlem pokrył rozbawienie.

- Jutro pan przyjdzie o tej samej porze - powiedział zegarmistrz, oglądając uważnie szkatułkę. - Myślę, że da się to naprawić bez problemu.

- Łaskawco, ratuje mi pan życie... - Klient ukłonił się uniznienie i dziękując stokrotnie, wyszedł z zakładu.

Zegarmistrz zamknął za nim drzwi i wywiesił na nich tabliczkę „Zamknięte”. Przywitał się serdecznie z mnichem, którego najwyraźniej dobrze znał, następnie podał dłoń Arseniczowi i potrząsnął nią z niebywałą siłą.

- Chodźmy lepiej na zaplecze - zaproponował cicho, odsuwając ciężką kotarę, za którą mieściły się niskie drzwi do dalszych pomieszczeń.

Do małego ciemnego kantorka z wąskim, wychodzącym na podwórze okienkiem dobiegało tykanie zegarów z zakładu. Któryś z nich, źle ustawiony, wybijał właśnie głośno swoją godzinę.

- Przyniesiony dziś w południe. - Zegarmistrz wzruszył ramionami, widząc zaskoczenie na twarzach gości. Zakonnik nawet zaczął szukać swojego czasomierza, żeby sprawdzić godzinę. - Jeszcze nie zdążyłem go sprawdzić. Ale do rzeczy, panowie. Do rzeczy.

- Myślę, że ten oto młody człowiek powinien się koniecznie wypowiadać - oznajmił mnich, ruchem głowy wskazując Arsenicza.

- Rozumiem - rzekł poważnie zegarmistrz. - Mój kantorek posłuży dziś zatem za konfesjonał.

Mnich pochylił głowę.

- Jeśli szanowny pan pozwoli - rzekł.

Wyglądało to tak, jakby mężczyźni odgrywali przed kataryniarzem jakąś komedię.

- W takim razie postaram się nie przeszkadzać. Herbaty?

- Poprosimy.

Zegarmistrz uśmiechnął się.

- Z odrobiną czegoś mocniejszego?

- Bezwzględnie.

* * *

Opuścili zakład o drugiej po południu. Kataryniarz był w dużo lepszym humorze, niż kiedy tam wchodzili. Można by powiedzieć, że przeszedł całkowitą przemianę. Nawet pogoda się poprawiła: przestało padać i wyszło słońce.

- Teraz pójdziemy coś zjeść - powiedział zakonnik.

- Ale ja już wspominałem, że nie mam pieniędzy - wybąkał młodzieniec, któremu na samą myśl o jedzeniu aż zaburzało w brzuchu.

- Ja stawiam. Gdzie tu jest jakiś porządny lokal?

Kataryniarz rozpromienił się.

- Zaraz na sąsiedniej ulicy. Nie pamiętam nazwy. Dają tam zupę angielską, taką z wołowych ogonów, no i jeszcze pieczeń huzarską i zrazy wołyńskie z kapustą.

- Toś mi narobił apetytu, kolego! Prowadź!

Jeszcze tego samego dnia Tomasz Arsenicz odjechał z tajemniczym mnichem do wsi

Mogila, gdzie jak słyszał, znajdował się słynny klasztor Cystersów.

Pozbył się strachu przed zemstą państwa Lupescu. Nie bał się teraz nikogo, bo nie był już zdany tylko na siebie.

Opiekę nad nim przejęło Bractwo Rodona Syryjczyka.

Część druga

Ukryty archipelag

Nie znam takiego drugiego miejsca na świecie, które można by porównać pod względem bogactwa uroków i siły wyrazu. Są tu nie tylko ogromne szczyty mającące powyżej chmur [...], ale również...

Seng-Wu, „The Serpent Mystery.
Unlocking the Secrets of Khuruna”
(Edinburgh 1867)

Zdarzenie na Plantach

Dziewiątego grudnia spadł pierwszy śnieg, dorożki ustąpiły miejsca rozdzwonionym sankom, a stróże zamienili miotły na drewniane szufle. Przy straganach grzały węglowe piecyki. Miasto jakby wyładniało i zrobiło się w nim dużo przytulniej. Tylko czekać, aż pojawią się przytupujący na mrozie sprzedawcy choinek!

Od kilku już dni śledztwo w sprawie dziwnej istoty z ulicy Mikołajskiej tkwiło w martwym punkcie. Wbrew oczekiwaniom Emanuel nie dowiedział się niczego nowego w tej sprawie.

Próbował umówić się z panem Sznitkem na rozmowę, lecz bankowiec okazał się człowiekiem tak bardzo zajęтым, że trzeba było zrezygnować z tego pomysłu. Nie udało się również próba pociągnięcia za język kucharki pana Sznitkego. Emanuel objawił jej się w przebraniu włoskiego śpiewaka operowego, jednakże prosta dziewczyna na ten widok tylko przeżegnała się i przyśpieszyła kroku, jakby zobaczyła samego Mefistofelesa.

Dwa dni spędził w bibliotekach i czytelnich, sam nie wiedząc dokładnie, czego szuka. W żadnym czasopiśmie naukowym nie natrafił na teorię sztucznego księżyca, uznał więc, że została ona stworzona wyłącznie na jego użytek. Podobnie rzecz się miała z mitami plemienia Ugundu.

Ale tego się przecież spodziewał.

Nieco zmęczony bezowocnymi poszukiwaniami powoli zaczął tracić nadzieję, że uda mu się natrafić wreszcie na coś konkretnego, aż nadszedł dzień dwunastego grudnia, dzień, w którym po raz pierwszy w tym roku spadł śnieg.

Tego właśnie dnia wczesnym wieczorem, wracając z kolacji, którą zjadł u zaprzyjaźnionego sierżanta straży ogniowej, Wincentego Żelazko, Emanuel postanowił wstąpić jeszcze na godzinkę lub dwie do małego lokalu przy ulicy Brackiej, gdzie zwykle o tej porze spotykali się krakowscy szachiści.

Już przy wejściu natknął się na Stanisława Ratajczyka, młodego dentystę, który dopiero co wrócił z Wiednia. Nazajutrz po powrocie przegrał z Emanuelem trzy partie pod rząd,

czego rzecz jasna nie mógł mu wybaczyć.

- Panie komisarzu, rewanz za czwarteczek! - wykrzyknął młodzian na widok Henzelmana. - Teraz ja mam białe! Ta karczma Rzym się nazywa! - Pomógł zdjąć Emanuelowi futro i ruszył z nim w stronę szatni. - Kładę areszt na waszeci!

- Spokojnie, spokojnie. Kto będzie miał białe, zadecyduje losowanie.

- Ale ostatnio grałem czarnymi.

- Skoro tak pan twierdzi...

- Klnę się na honor! - wykrzyknął Ratajczyk, uderzywszy się pięścią w wątłą pierś. - Musi pan pamiętać: wieżowa końcówka, miał pan piona przewagi. Zabrakło mi tempa do remisu.

Był to wysoki i niezwykle chudy mężczyzna, mimo młodego wieku niemal całkowicie już łysy, za to z długimi blond faworytami i staroświecko podkreconym do góry wąsem. W swoim gabinecie wstawiał zęby wedle najnowszej metody - na sposób amerykański.

Jego zęby pozostawiały jednak wiele do życzenia.

Przy okazji miał się za kogoś w rodzaju współczesnego Leonarda. Projektował i budował aparaty latające - tak zwane ornitoptery i aeroplany pneumatyczne - które latające były tylko z nazwy, gdyż nigdy nie utrzymały się w powietrzu dłużej niż przez sekundę, do tego pisał wiersze w wymyślonym przez siebie języku i komponował symfonie, stosując całkowicie nowe instrumentarium oraz oryginalne formy zapisu nutowego. Jego Wielka Symfonia Parowa i dwie Mikrosonaty Telegraficzne miały, wedle słów samego kompozytora, w najbliższym czasie zrewolucjonizować skostniały świat muzyki. Niejako przy okazji zajmował się zagadnieniem podziału koła na siedem różnych części za pomocą hiperboli, co miało mu pomóc w rozwiązaniu problemu kwadratury koła.

Uważał się również Ratajczyk za świetnego znawcę szachowej teorii, wymyślił nawet nowe otwarcie, które nazwał - nie wiedzieć czemu - „partią atlantycką”. W praktycznej grze wypadał jednak na ogół blado. Był zbyt niecierpliwy i rozkojarzony, aby regularnie osiągać zwycięstwa przy szachownicy.

Równie niecierpliwy i rozkojarzony jak Emanuel Henzelmann.

Sala była niewielka, słabo oświetlona, sina od tytoniowego dymu. Nad szachownicami nachylały się głowy adwokatów, lekarzy, właścicieli sklepów, ale także zwykłych dorożkarzy oraz pracowników fabryk. Emanuel Henzelmann rozpoznał kilka znajomych twarzy, podniósł tylko rękę w pozdrawiającym geście, bo każdy skupiony był na grze.

W sąsiedniej równie zadymionej sali trzech młodych, mocno już nietrzeźwych mężczyzn grało w bilard, ustawivszy kufle piwa na brzegach stołu. Stuknęły o siebie kolorowe bile,

rozległ się głośny śmiech, ciężka popielniczka spadła ze stolika na podłogę. Siedzący obok siwowłosa mężczyzna uniósł zaniepokojony wzrok znad gazety, po czym powrócił do lektury.

Emanuel i Ratajczyk zajęli okrągły stolik przy oknie. Dentysta szybciotko rozstawił swoje figury na szachownicy i natychmiast, zanim jeszcze Emanuel umieścił na flankach wieże, ruszył się swoim królewskim pionkiem o dwa pola do przodu, jakby od tygodnia przygotowywał ten sposób otwarcia.

E2 na E4.

- A cóż mi szkodzi pójść dzisiaj tak? - zatarł ręce. - Co pan na to, panie komisarzu? Pański ruch.

- Odważnie pan zagrał - skomentował Emanuel. - Bardzo odważnie...

- A co? Na szable idziemy!

Po chwili zastanowienia komisarz odpowiedział symetrycznym ruchem. E7 na E5. Debiut otwarty, zapowiadający ostrą rozgrywkę. Ratajczyk uruchomił skoczka. Henzelmann ruszył swoim, lecz kiedy tylko dotknął filcową podsadką szachownicy, podniósł figurę jak oparzony - Nie wolno cofać! - krzyknął dentysta.

- Wiem, jeszcze nie puściłem.

- *Pièce touchée, pièce jouée.*

- *D'accord...* - mruknął Henzelmann spoglądając uważnie na szachownicę. Przez chwilę jeszcze trzymał skoczka w palcach, po czym postawił go na polu, z którego przed momentem uciekł. Dentysta natychmiast zaczepił o niego białopolowego gońca. Komisarz ruszył się więc pionkiem z A8 na A7.

- Gramy po hiszpańsku - uśmiechnął się.

- A jak! - odparł Ratajczyk. - Jak już, to na całego.

Partia bardzo szybko się zaostriżyła i Emanuel ani się zorientował, kiedy stracił centralnego pionka i przeszedł do obrony.

- Co tam słyhać u ducha z Mikołajskiej, panie komisarzu? - zapytał nagle Stanisław Ratajczyk, robiąc rozszadę.

- Obawiam się, że nic nowego.

- A to ciekawe, bo dopiero co widziano go nad Wisłą.

Emanuel podniósł wzrok znad szachownicy.

- Kogo widziano?

- Jak to kogo? Tego pańskiego ducha. Dorożkarz opowiadał mi dzisiaj rano. Tak pan nie może, bo biję hetmana.

Emanuel odłożył z powrotem swojego gońca i odszedł królem, zamykając sobie tym samym drogę do rosztady. Partia była już właściwie rozstrzygnięta.

- Dorożkarz widział ducha nad Wisłą? - spytał.

- Szach - powiedział Ratajczyk, nie kryjąc satysfakcji. - Nie dorożkarz, tylko mecenas Tarkowski, którego tamten wioził wczoraj do kancelarii.

Emanuel w roztargnieniu zasłonił się skoczkiem.

- Parę dni temu pan mecenas spacerował nad Wisłą - ciągnął dentysta ze wzrokiem wlepionym w szachownicę. - Jego żona jest słabowitego zdrowia, więc Tarkowski nie pali cygar w domu, tylko chadza sobie dymić nad rzekę. No i właśnie wtedy... To ja pójde więżą! Czemu tego wcześniej nie widziałem? Nie ma pan już dobrego ruchu.

Faktycznie, jedyny ruch, jaki mógł zrobić Emanuel, aby uniknąć rychłego mata, to było uderzenie kolaniem w stolik i strącenie figur z szachownicy. Wszelako do takiego nieeleganckiego chwytu komisarz nie zniżyłby się nigdy. Był człowiekiem z zasadami. Zresztą od momentu, w którym jego przeciwnik napomknął o duchu, przestało mu już zależeć na wyniku partii.

- Poddaję się - powiedział krótko.

- Następna? - spytał uśmiechnięty od ucha do ucha dentysta.

- Nie dzisiaj. Proszę mi opowiedzieć o tym duchu. Co właściwie zobaczył mecenas Tarkowski?

Jakaś kobieca postać przystanęła na ulicy Brackiej i przez kilka chwil przyglądała się mężczyznom przez zaparowaną szybę, ale ani jeden, ani drugi tego nie dostrzegł.

- No cóż - powiedział Ratajczyk. - Podobno zauważył dziwną personę w szuwarach. Pomyślał, że to dziecko, które ma zamiar wykapać się w rzece, bo postać była niewysoka i prawdopodobnie naga.

- Wykapać się w rzece przy takiej temperaturze?

- Ano właśnie. Jego też to najwyraźniej zdziwiło, bo podszedł bliżej i...

- I co?

- Wiem tylko tyle, że najadł się strachu. Nie mam pojęcia, kogo lub co zobaczył, bo tego już mi dorożkarz nie zdążył opowiedzieć. Trzeba by chyba zapytać samego mecenasa, tak myślę.

Ratajczyk schował ostatnią figurę do pudełka i zawołał kelnera. Zamówił sobie piwo. Emanuel poprosił tylko o herbatę.

- Mówi więc pan, że istota zdawała się Tarkowskiemu niewysoka i naga? - Emanuel wrócił do przerwanej na chwilę rozmowy.

- Tak powiedziałem?

- No mówił pan przecież, że mecenas wziął ją za dziecko - odparł lekko zniecierpliwiony.

- Ach tak, rzeczywiście. Ale może to dorożkarz zmyślił. Wie pan doskonale, komisarzu, że oni nie zawsze są trzeźwi. Żadne groźby nie robią na tych szelmach i pijakach wrażenia. A jak jeżdżą? Szkoda nawet słów...

Emanuel ze smutkiem pokiwał głową. Pijaństwo na stanowisku lub w czasie jazdy podlega karze od jednego do trzech dni aresztu - przypomniał sobie, choć wcale tego naprawdę nie chciał.

Tymczasem kelner - barczysty mężczyzna w koszuli o zawiniętych rękawach - przyniósł piwo i herbatę.

Stanisław Ratajczyk z lubością zanurzył wąsy w gęstej gorzkiej pianie i pociągnął pierwszy łyk.

- Czyli wychodzi na to, że pański duch istnieje - powiedział w końcu nie bez złośliwości.

- To raczej nie jest duch ani żaden inny byt astralny - odparł spokojnie Emanuel.

- A więc jednak plama?

Komisarz podniósł do ust filiżankę i upił łyżeczek gorącej herbaty.

- Nie wydaje mi się - rzekł z tajemniczą miną, oblizawszy wargi i odłożywszy naczynie na spodek.

- W takim razie co?

- Widzi pan, dla nas istota taka, o ile istnieje, może wyglądać jak zjawy, ale w świetle najświeższych fizycznych teorii mamy podstawy, by mówić o stworzeniu równie materialnym jak pies czy kot.

- A cóż to za prawa fizyczne? - spytał rozbawiony Ratajczyk, ocierając rękawem wąsy z piany.

- Chętnie to panu wyjaśnię.

Były policjant tylko na to czekał. Jego twarz wprost promieniała szczęściem. Właśnie pracował nad cyklem artykułów na temat współczesnej fizyki i nie mógł sobie odmówić przyjemności wygłoszenia małego wykładu.

- Słyszał pan zapewne o sir Williamie Thomsonie i jego teorii atomu? - zapytał z szelmowskim błyskiem w oku.

- Coś tam obilo mi się kiedyś o uszy - odparł dentysta, chociaż minę miał nietęgą. - Sugeruje pan, że współcześni fizycy zajmują się zjawami?

Emanuel wyjął z kieszeni kamizelki srebrną papierośnicę.

- No cóż, w pewnym sensie tak - powiedział.

- Trudno mi w taką teorię uwierzyć.

Mimo niezwyklej wprost elastyczności umysłu w dziedzinach techniki i sztuki był Ratajczyk człowiekiem zaskakująco sceptycznym, jeśli idzie o nowe i śmiałe fizyczne teorie. Na tym terenie niczego oryginalnego do tej pory nie zdziałał.

Natomiast Emanuel czuł się w temacie jak ryba w wodzie.

- Proszę posłuchać: otóż jak pan doskonale wie, sir William Thomson utrzymuje, że atom nie jest żadną stałą materialną cząstką, lecz efektem wirowego ruchu w eterze. Tworzywo... w tradycyjnym sensie tego słowa... nie istnieje. Jest tylko energia pod postacią fal i wirów.

Stanisław Ratajczyk pokiwał głową z niewzruszoną miną, jakby to wszystko rozumiało się samo przez się. Przy sąsiednim stoliku, gdzie grali ze sobą dwaj dorożkarze, doszło do małej wymiany zdań na temat „bicia w przelocie”, przez chwilę było głośno, ale na szczęście sytuacja szybko się wyjaśniła.

- Według Thomsona właśnie ruch obrotowy stwarza iluzję stałości i twardości atomu - kontynuował były policjant, podnosząc delikatnie wieczko papierośnicy. - Słowem: materialność atomu to złudzenie. Fundamentem materii są szybkoobrotowe wiry w eterze. Światło jest falą, a cała reszta wirem. Zapali pan?

- Nie, dziękuję.

Emanuel wyjął ręcznie skręconego papierosa i zaczął powoli obracać go w długich jak u skrzypka palcach.

- To tylko teoria, oczywiście, ale dzięki niej możemy w sposób w miarę empiryczny wytłumaczyć sobie istnienie takiego stworzenia, jakie Rzewuski sfotografował na Mikołajskiej, a mecenas Tarkowski prawdopodobnie widział nad rzeką. Moim skromnym zdaniem szkocki fizyk wniknął w naturę rzeczywistości głębiej niż ktokolwiek wcześniej.

- Za pomocą wirów w eterze można wytłumaczyć istnienie jakiegoś dziwoląga? - spytał ostrożnie Ratajczyk, czym tylko potwierdził osąd komisarza: mimo otwartego na rewolucyjne idee umysłu najwyraźniej nie potrafił zaakceptować takiej teorii.

- Otóż właśnie - rzekł Emanuel. - Bo teraz dochodzimy do rzeczy najciekawszych. Teoria wirów, jak jasno wykazali panowie Ash i Hewitt, przewiduje istnienie wielu rodzajów materii, a tym samym wielu poziomów rzeczywistości.

Dentysta poruszył się niespokojnie na krześle.

- Proszę mi wybaczyć, ale chyba nie nadażam.

- Przecież to całkiem proste, panie Ratajczyk. - Henzelmann sięgnął po zapalki. - Niech pan na chwilę zapomni o Newtonie, o mechanistycznej wizji świata, o bilardowych kulach... - Jak na złość bile stuknęły właśnie głośno w sąsiednim pomieszczeniu. - Przy okazji proszę

zapomnieć też o brzytwie Ockhama. Załóżmy, że to współcześni fizycy mają rację i że nasze atomy zbudowane są z wirów energii, z wirów o pewnej ustalonej prędkości. Atomy te tworzą materię, z której jesteśmy zbudowani, tworzą więc niemal cały otaczający nas świat. Nawet ten głupi papieros składa się z miliardów wirów. Dzięki ich szybkości nasze zmysły odbierają ów banalny przedmiot jako materię. Obrót nadaje mu stabilność. Gdyby jednak wirowały szybciej albo wolniej, zniknęłyby zapewne z naszego pola widzenia.

- Sugeruje pan, że papieros stałby się niewidzialny? To dosyć frapująca, ale i śmiała hipoteza.

- Nie tylko niewidzialny. Przeniesiony w zupełnie odrębną rzeczywistość. Nie odbijałoby się od niego światło, a nasza materia nie mogłaby nań oddziaływać. Gdybym chciał go ująć w palce, uchwyciłbym pustkę. - Zapłonęła przysunięta do twarzy zapalka, rozświetlając na moment kości policzkowe emerytowanego komisarza. - Słowem, papieros porzuciłby nasz świat. Nie byłby już przez nas postrzegany, co nie znaczy oczywiście, że przestałby być rzeczywisty.

Emanuel wypuścił z ust kłęb dymu, który zaczął leniwie wirować nad ich głowami, jakby usłużnie ilustrując teorię sir Williama.

- Wciąż znajdowałby się w tym samym miejscu w przestrzeni, ale już w otoczeniu innego świata, gdzie fale i wiry są szybsze lub wolniejsze.

Stanisław Ratajczyk nie potrafił na to odpowiedzieć, więc pokiwał tylko w zadumie głową, wpatrzony w stojący przed nim kufel, jakby się zastanawiał, czy naczynie również mogłoby się przenieść do innego świata.

- Załóżmy, że nasza rzeczywistość jest tylko cząstką dużo większej całości - ciągnął Emanuel, zniżając głos, jakby się obawiał, że któryś z szachistów ich podsłuchuje. - Ograniczoność ludzkich zmysłów pozwala nam dostrzegać jedynie wąski wycinek wszechświata. Ale w tej samej przestrzeni współistnieją zapewne różne rodzaje fal i materii. Różne piętra, że się tak wyrażę... - Nasza materia - mówił - być może jest dla jakiegoś innego wymiaru tak rozrzedzona, że jej mieszkańcy umieją przenikać przez nią jak przez oka olbrzymiej sieci, wcale nas przy tym nie zauważając. I odwrotnie: to co nam zdaje się pustą przestrzenią, będzie tylko obszarem o mniejszej niż nasza gęstości. Światem równie realnym jak nasz, choć niedostępnym dla ludzkich zmysłów. - Odkaslnął w otwartą dłoń. - A więc, obiektywnie rzecz ujmując, nie istnieje we wszechświecie coś takiego jak pustka, a jedynie różne poziomy materii. Poziomy nakładające się na siebie, przenikające nawzajem, lecz równocześnie całkowicie od siebie odizolowane.

- Czyli duch z Mikołajskiej jest według pana mieszkańcem takiego właśnie wymiaru

eterycznego? Fiu, fiu!

Emanuel uśmiechnął się szeroko poprzez chmurę szaroniebieskiego dymu, zadowolony z wrażenia, jakie jego słowa zrobiły na młodzieńcu.

- Nie wiem, czy on mieszka w obszarze niższej czy wyższej gęstości - powiedział. - Ale myślę, że śmiało możemy nazwać go przybyszem z Eterii.

- Zaraz, zaraz - rzekł Ratajczyk po chwili zastanowienia. - Podług pańskiej teorii stwór zbudowany jest przecież z innego rodzaju materii niż my, z dużo szybciej obracających się wirów.

- Tak?

- Powinien być więc dla nas niewidzialny. Tymczasem Rzewuskiemu udało się go sfotografować.

Emanuel pokiwał głową.

- Ma pan całkowitą słuszność. Nie potrafię na razie wyjaśnić, w jaki sposób nasz dziwny przybysz znalazł się na zdjęciu. Być może w odpowiednich warunkach potrafimy utrwalić na kliszy obraz innej rzeczywistości. Albo, dajmy na to, szara istota dostroiła się do częstotliwości naszego świata. - Emanuel dopił herbatę i odstawił pustą filiżankę na spodeczek. - Opuściła swój wymiar, aby złożyć nam wizytę.

- Przywodzi mi to na myśl kolibra, który macha skrzydłami tak szybko, że ich niemal nie widać.

- No właśnie - podchwycił komisarz. - Ale ujrzymy je, kiedy przestanie nimi poruszać, prawda?

- To ma być wytłumaczenie?

- Raczej przykład.

- Wszystko to niewątpliwie ciekawe, lecz mocno naciągane - powiedział dentysta po chwili zastanowienia. - Swoją drogą przyzna pan, że dzisiaj nie miał na szachownicy żadnych szans, prawda? Pogrom. Wieżę panu gońcem zjadłem, nie widział pan naprawdę tego ruchu?

Cóż to za Leonardo? pomyślał z niesmakiem Emanuel. Ja mu o równoległych światach, a on tylko o ostatniej partii. Cóż to za geniusz? Zwykły wrywacz zębów. Umysł ograniczony jak u pierwszego lepszego subiekta.

* * *

Opuścił lokal o godzinie ósmej.

Zwykle o tej porze w mieście było już całkiem ciemno, gdyż przymocowane do fasad budynków gazowe lampy miały niewielką, moc - ich kolorowe migotliwe płomyki dawały

akurat tyle światła, żeby przechodnie nie wpadali na ściany kamienic - ale tego wieczoru było niemal jasno. Świeżo spadły śnieg wystarczająco rozświetlał nawet najbardziej zaniedbane ulice.

Emanuel postanowił przespacerować się jeszcze przed snem.

Cóż, trzeba przyznać, że całkiem ciekawych rzeczy dowiedział się dzisiaj od młodego dentysty. Coś wreszcie ruszyło, bez dwóch zdań. Jeśli rzeczywiście mecenas Tarkowski widział nad rzeką szarą istotę, nie było już wątpliwości, że bardzo dziwne rzeczy dzieją się w mieście.

Trzeba będzie w najbliższym czasie odwiedzić mecenasa i wypytać go o szczegóły. No i pokazać mu fotografię. Ciekawe, czy to ta sama istota czy może zaczęła się jakaś inwazja dziwolągów?

Szedł właśnie przez Planty, rozmyślając na ten temat, kiedy na jego drodze stanęła jakaś postać.

Zatrzymał się zaskoczony i - co tu dużo mówić - odrobinę przestraszony. Planty nie były najbezpieczniejszym miejscem w Krakowie, a już szczególnie po zapadnięciu zmroku. Mocniej zacisnął palce na gałce laski, gotów walczyć w obronie tych pięćdziesięciu czy też sześćdziesięciu złotych reńskich, które miał przy sobie, ale rychło rozluźnił uchwyt, zorientowawszy się, że ma do czynienia z kobietą, najprawdopodobniej z pijaną prostytutką. Stała przed nim nieruchoma niczym figura woskowa. Na olbrzymim czarnym kapeluszu utworzyła się już gruba warstwa śniegu.

Zwykła kurewka, może tylko trochę bardziej bezczelna niż inne. Postanowił ją wyminąć, ale zagroziła mu drogę.

No, to już chyba lekka przesada!

- Dobry wieczór - powiedziała.

- Dobry wieczór.

- Spacerek przed snem?

Znów spróbował ją wyminąć i znów stanęła mu na drodze. Była to naprawdę potężna kobieta, nie tak łatwo taką przesunąć.

- Właśnie.

- Dobrze dla zdrowia.

- Też tak sędzę.

- Lepiej się śpi.

- Bezwzględnie.

W dalszym ciągu nie chciała go przepuścić.

- A może szukasz towarzystwa?

- Raczej nie.

- Chcesz się zabawić z Ognistą Matyldą, przystojniaku?

Miała dziwny akcent, jakby amerykański.

- Daruje pani, ale...

- Rozgrzeję cię tak, że będziesz mógł sobie na tyłku gotować zupę i piec kasztany.

Obiecuję.

- Mam w domu piecyk. Śpieszę się...

- Dam ci za darmo.

- Dobranoc.

Rozejrzał się nerwowo, czy nikt przypadkiem nie obserwuje tej sceny. Nie chciał, żeby ktoś widział go w takim miejscu i w takim towarzystwie. Jasna sprawa. Z daleka musiało to wyglądać bardzo jednoznacznie, jak gdyby dobijali właśnie targu przed udaniem się do jakiegoś podejrzanego pokoiku. Jutro już by krakowianie szeptali o temperamencie byłego komisarza ck policji. Potrzeba mu jeszcze takich szeptów! Na szczęście Planty o tej porze były całkowicie puste.

- Znam najnowsze paryskie techniki - nalegała kobieta.

Tak, bez wątplenia Amerykanka albo ktoś, kto długo przebywał za oceanem. Trochę to dziwne, pomyślał.

- Proszę dać mi przejść, bo będę zmuszony...

Świeży śnieg nieco złagodził upadek, ale i tak Emanuel Henzelmann wyrznął plecami o ziemię z taką siłą, że na kilka dobrych chwil odebrało mu dech.

„...użyć siły”, dokończył w myślach, patrząc w prześwitujący między gałęziami drzew posępny, wypełniony złowrogim selenoidem księżyc. Nie wiedzieć czemu przypomniała mu się wesola melodyjka, którą córka sierżanta straży ogniowej odegrała po kolacji na fortepianie.

Jak to się mogło stać? Jeszcze przed chwilą trzymał się mocno na nogach, a teraz leżał na plecach bezwładnie niby worek kartofli. Poślizgnął się? Przecież nie było lodu, a śnieg nie zdążył jeszcze stwardnieć. Czyżby ta natarczywa kurewka podłożyła mu nogę?

- Co pani wyrabia? - wyszeptał zamroczony, kiedy kobieta usiadła mu okrakiem na piersi.

- Zgadnij, kochasiu.

- Nie mam pojęcia, o co chodzi. To nieporozumienie.

- Zamknij się. Teraz ja mówię.

Emanuel zamilkł, wpatrując się uważnie w nachyloną nad nim twarz. Była brzydka i

opuchnięta. Ognista Matylda wyglądała jak alkoholiczka, ale silna była przy tym jak zapaśnik. Komisarz nie potrafił wyswobodzić się z uścisku. Dlaczego nikogo nie ma w pobliżu? Przecież nie jest jeszcze tak późno!

- Teraz mnie posłuchaj, dobrze?

- Dobrze - wyszeptał coraz bardziej przerażony.

- Zbyt wiele uwagi i czasu poświęcasz sprawom, o których lepiej by było, gdybyś nic nie wiedział - powiedziała głucho, wyjmując coś spod obszernej spódnicy. - Jesteś uparty. Zbyt uparty. Wciąż tylko wieszysz i wieszysz. Jak pies - uśmiechnęła się. Brakowało jej kilku przednich zębów. - Dlatego też zarżnę cię teraz jak psa.

Zobaczył tuż przed oczami ostrze rzeźnickiego noża.

- Ale najpierw zadam ci krótkie pytanie.

- O co chodzi? - spytał, zastanawiając się, czy uda mu się chwycić kobietę za przegub, zanim ta zrobi coś jeszcze bardziej szalonego. Na przykład poderżnie mu gardło tym wielkim ostrym nożem.

- Gdzie jest fotografia z ulicy Mikołajskiej?

- Fotografia ducha?

- No właśnie.

Z trudem przełknął ślinę.

- Z Mikołajskiej?

- Tak, z Mikołajskiej. Masz ją czy nie?

Gdzieś w oddali zaskrzypiały płozy sań, zbyt daleko jednak, by woźnica mógł zauważyć rozgrywający się dramat.

Może krzyknąć? Nie, to nic nie da. W dodatku jakoś tak niezręcznie wzywać pomocy, kiedy jest się zaatakowanym przez kobietę, prawda? Byłaby to wielka ujma na honorze komisarza policji.

- A więc o to pani chodzi!... Przysłała panią Helena Haller? Trzeba było tak od razu. Po co te zapasy? - uśmiechnął się z wysiłkiem. - Zdjęcie trzymam w domu, w szufladzie biurka. Możemy po nie pójść.

- Kłamiesz - przerwała mu ostro kobieta. Jej twarz była nieruchoma niczym karnawałowa maska. - Tam go nie ma. Sprawdzaliśmy. Masz je przy sobie?

Ładnie. A więc ktoś przeszukiwał jego mieszkanie. Skończyły się żarty. Emanuel uświadomił sobie właśnie, że wpakował się w poważne tarapaty.

- Nie mam go przy sobie.

- Nie igraj ze mną.

- Może pani sprawdzić.

Splunęła na śnieg, zupełnie jak mężczyzna. Ona naprawdę jest to w stanie zrobić, pomyślał Henzelmann.

- Szkoda mi czasu na przeszukania, kochasiu. Albo zaraz mi...

Coś potężnie łupnęło i kobieta umilkła, wypuściła nóż z dłoni, a po sekundzie z głębokim westchnieniem osunęła się ciężko na bok, uwalniając pierś komisarza z żelaznego uścisku.

Zanim Emanuel zdążył pojąć, co się dzieje, ktoś chwycił go pod pachy i energicznie postawił na nogi.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - usłyszał gruby męski głos.

- Na wieki wieków amen - odparł odruchowo Henzelmann.

- Nic panu nie zrobiła?

- Chyba nie...

- Co za krowa!

Emanuel nie odpowiedział.

- Może pan chodzić? - spytał mężczyzna.

- Tak.

- No to biegniemy.

- Gdzie biegniemy?

- Raz-dwa!

O co tu właściwie chodzi? pomyślał Emanuel, lecz nie zdążył zadać tego pytania na głos, bo tajemniczy osobnik popychał go już w stronę ulicy.

- Szybciutko do sań. Szczerbata nie jest sama.

Mężczyzna wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat, może trochę więcej, ciężko się było w tych warunkach zorientować. Na pewno nosił pod kożuchem biały habit. Czyżby zakonnik z klasztoru w Mogile? Cysters?

Przecież to absurd!

- Za pozwoleniem...

- Proszę nie tracić czasu ani sił na gadanie - powiedział tajemniczy wybawca, podnosząc z ziemi laskę i cylinder emerytowanego komisarza. - Grozi panu poważne niebezpieczeństwo. Piorunem!

- Czy...

- Ani słowa więcej!

Podtrzymywany za łokieć przez tajemniczego wybawiciela w habitcie, oszołomiony i mocno dezorientowany, Emanuel Henzelmann posłusznie ruszył w stronę czekających

nieopodal sań.

Na koźle siedział chłop z długą brodą. Nawet na nich nie spojrzął, kiedy weszli do pojazdu, tylko od razu strzelił z bata. Sanie pomknęły w noc, zostawiając Planty oraz nieprzytomną kobietę z rzeźnickim nożem.

Znowu zaczął padać śnieg.

10

Dworek doktora Blumenstoga

- Dokąd mnie pan wiezie?

- Do wsi Mogiła. Dla pańskiego dobra powinniśmy czym prędzej wydostać się z Krakowa.

- Pan jesteś mnichem?

- A czy to teraz ważne?

- Chciałbym po prostu wiedzieć, z kim mam przyjemność.

- Ufasz pan mnichom?

- Co to ma do rzeczy?

- Pytam: czy pan im ufasz?

- Powiedzmy, że tak.

- To powiedzmy również, że jestem mnichem.

Emanuel potrzebował chwili na przetrwanie tej odpowiedzi.

- To jakieś szaleństwo! - wykrzyknął wreszcie. - Dlaczego jedziemy akurat do klasztoru? Ja jestem właściwie niewierzący.

- Ja właściwie również - odparł dziwny zakonnik. - Nie jedziemy zresztą do żadnego klasztoru.

- A więc gdzie?

- Zobaczy pan.

- Muszę wracać do domu, tam został mój kot. - Emanuel starał się mówić stanowczym głosem, jak za czasów pracy w policji. - A poza tym będą mnie szukać.

- Proszę mi zaufać, panie Henzelmann. Kotem zajmiemy się później.

- Ksiądz zna moje nazwisko?

- Od dwóch tygodni nie spuszcza pana z oka. I nie jestem żadnym księdzem, proszę mnie tak nie nazywać.

- Więc jak mam pana nazywać?

- Może pan po prostu mówić do mnie: profesorze.

- Profesorze?

- Proszę nie udawać, panie Henzelmann, z pewnością już dawno domyślił się pan, kim jestem.

Emanuela zamurowało.

- Czyżby...?

- Ano właśnie...

- Ale to przecież niemożliwe.

- No cóż...

- Profesor Leopold Kijański?

- Brawo, panie Henzelmann. Jak widzę, nie utracił pan nic ze swej słynnej przenikliwości.

- Upozorował pan własną śmierć. Dlaczego? W jaki sposób? Dopiero co rozmawiałem z pańską córką, która mówiła, że...

- Proszę o cierpliwość. Wszystkiego dowie się pan na miejscu. Na drugie pańskie pytanie szczegółowo odpowie doktor Blumenstog, do którego właśnie jedziemy.

- Ten słynny chirurg?

- Owszem.

- To naprawdę jakieś szaleństwo - wybąkał Emanuel.

- Żeby pan wiedział, panie Henzelmann - odparł pogodnie profesor Kijański. - Żeby pan wiedział...

Minęli roгатkę na ulicy Lubicz i po kilku minutach jazdy znaleźli się w szczerym polu. Śnieg sypał coraz gęściej, ograniczając niemal zupełnie widoczność. Ogromne płatki wirowały w mroźnym powietrzu i porywane podmuchami wiatru wpadały do oczu i ust podróżnych. Komisarz nasunął wyżej baranią skórę, tak że widać mu było tylko gęste oszronione brwi pod rondem wciśniętego głęboko na głowę cylindra.

Przecierając co chwila zasypywane białym puchem oczy, próbował rozglądać się dookoła. Mijane po drodze drzewa przypominały raczej jakieś tajemnicze ciemne stwory wyłaniające się nagle zza śnieżnej kurtyny. Obecność ludzkich siedzib sygnalizowały tylko mrugające gdzieś słabe światełka okien. Nawet psom nie chciało się wychodzić z bud na taką śnieżycę, słychać więc było jedynie skrzypienie sań i wyciszony przez śnieg stukot końskich kopyt.

- Szalenie mi przykro, że to musi przebiegać w ten sposób - wymamrotał spod ciężkich futer starszy mężczyzna. - Ale rozumie pan, sytuacja była gardłowa.

- Tak, mocno gardłowa - przytaknął Emanuel, przypominając sobie ostrze rzeźnickiego noża i obietnicę Matyldy, że zarżnie go jak psa. - Można by nawet rzec: kryminalna!

Właściwie zawdzięczam księdzu... panu życie.

- Kontrolowałem sytuację. - Mimo panujących wokół ciemności i śnieżnej zawiei można było wyczuć, że mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Zupełnie jakby całe to zdarzenie uważał za niezwykle zabawne. - Zresztą nie wydaje mi się, aby nasza dama, choć wyjątkowo mało kobieca i delikatna, posunęła się aż tak daleko. Chodziło zapewne o to, żeby pana nastraszyć i zmusić do oddania fotografii.

- Skąd pan wie, że chodziło jej o fotografię?

- Wiem dużo więcej, niż pan przypuszcza, szanowny panie Henzelmann.

Tego typu odpowiedź nie mogła, rzecz jasna, zadowolić Emanuela.

- Dlaczego właściwie uciekamy? - spytał. - Dlaczego nie powiadomiliśmy policji? Myśli pan, że ta szalona kobieta będzie nas gonić?

- Ona raczej już nie - odpowiedział profesor przebrany za mnicha lub też, co wydało się teraz komisarzowi równie prawdopodobne, mnich udający profesora. - W każdym razie nie dzisiaj. Za to jej zleceniodawcy na pewno będą starali się nas jak najszybciej dopaść.

Przez chwilę obaj milczeli, jakby każdy z osobna zgłębiał złowrogi sens wypowiedzianych właśnie słów.

- Twarda babka - powiedział profesor, wyjmując zza pazuchy płaską buteleczkę. - Na usługach Khuruny.

- Kogo?

- Nieważne, później to panu wyjaśnię.

Wyjął korek i z fantazją wyrzucił go za siebie. Śnieżyca ustała właśnie tak nagle, jak nagle się zaczęła. Grube płatki śniegu wirowały teraz łagodnie, porywane pędem sunących szybko sań.

Wyglądało na to, że zawieję zostawili za sobą.

- Napije się pan? Na taki mróz nie ma jak łyk wódeczki.

- Bardzo chętnie.

- Eulalia Wolf, a wcześniej Radziszewska, Lecter, bardziej znana jako Szczerbata Mamuśka - powiedział profesor w habicie, podając Emanuelowi butelkę. - W Ameryce nazywano ją zresztą jeszcze ładniej.

A więc jednak! Emanuel trafnie rozpoznał akcent. Ma się to ucho, pochwalił sam siebie odruchowo.

- A cóż ta poczwara tam robiła?

- Powinien pan raczej zapytać, czego nie robiła. Na pewno nie działała na rzecz Kościoła Misyjnego, za to ręczę. Nie udzielała też prawdopodobnie lekcji fortepianu ani śpiewu. Z całą

pewnością można powiedzieć tylko, że zastrzeliła co najmniej jedenaście osób.

- Pan raczy żartować.

- Bynajmniej.

Mężczyzna pociągnął z butelki i otarł usta. Śnieg przestał padać, oczy Emanuela przywykły do ciemności, więc mógł się teraz przyjrzeć swojemu wybawcy z bliska.

- Dlaczego zabiła jedenaście osób? - spytał słabym głosem komisarz.

- Bo jest agentką Khuruny.

- Khuruny... To jakaś amerykańska organizacja?

- Nie.

- Sekta religijna?

- Też nie.

- Szajka?

- Coś o wiele potężniejszego i groźniejszego.

- Aha - powiedział komisarz.

Eulalia Wolf.

Szczerbata Mamuśka z piekła rodem.

Emanuel wyobraził ją sobie siedzącą przy barze w jakiejś zadymionej amerykańskiej knajpie. Powiedzmy: Oklahoma. Albo jeszcze lepiej Arizona. Przed saloonem, pośród kurzu ulicy, czeka cierpliwie przywiązany do pala koń. Eulalia siedzi na wysokim stołku przy barze, przyglądając się rzędom zakurzonych butelek za plecami barmana. Na głowie ma kowbojski kapelusz - zniszczony i przepocony filc - a na kolanach gotowy do strzału winchester z mahoniową kolbą. Kobieta strzyka śliną na pokrytą trocinami podłogę, po czym sięga po szklanekę whisky i zaciska na niej palce o czarnych paznokciach.

Potem opróżnia wielkim haustem, nawet się nie krzywiąc.

Na ocienionej kapeluszem twarzy zakwita drapieżny niekompletny uśmiech. Barman - chudy niczym tyczka facet z długim nosem, na którym tkwią okulary w drucianych oprawkach - poci się jak mysz i starannie unika jej spojrzenia. Ta kolejka pójdzie chyba na koszt firmy, prawda, panie barman?

- Z jakiego powodu zabiła tych ludzi? - spytał Henzelmann po chwili, otrząsnąwszy się z zamyślenia. - I co, do diabła, robi w Krakowie?

- Lepiej niech się pan jeszcze napije - powiedział tajemniczo starszy mężczyzna, podstawiając mu pod nos butelkę z resztką rozgrzewającego trunku.

* * *

Koniec podróży.

Sanie zatrzymały się przed żelazną bramą parterowego dworku w Mogile, niedaleko opactwa. Wprawdzie świeżo spadły śnieg złagodził ostre kontury, ale domostwo i tak wyglądało ponuro i złowieszczo.

W jednym z okien, gdzieś po prawej stronie, pojawiło się światło. Ktoś przechodził z zapaloną lampą przez umieszczone w amfiladzie pokoje. Blask rozpalał się w kolejnych oknach i gasł, żeby znów pojawić się w następnych. W końcu zatrzymał się na werandzie, rozjaśniając ciemności przed wejściem do domu. Tajemniczy gospodarz postawił lampę w oknie.

Woźnica - wysoki chłopina z siwą brodą, w baranim kożuchu i futrzanej czapie naciągniętej na oczy - otworzył ze zgrzytem kutą w żelazie bramę, zrzucając przy tym nagromadzony na niej śnieg.

Park za bramą wyglądał równie mało przyjaźnie i swojsko.

Tuż za oświetlonymi nikłym blaskiem krzewami stały ponure ogromne drzewa rzucające na śnieg granatowe cienie. Ciemność za nimi była niemal czarna.

Coś nieprzyjaznego czaiło się w głębi.

Mężczyźni wygramolili się spod ciepłych skór, zeskoczyli z sań i na lekko zdrętwiałych nogach ruszyli w kierunku podjazdu.

- Powitać panowie, powitać! - zawołał z werandy mężczyzna w narzuconym na ramiona kożuszku.

W rękę trzymał strzelbę.

Weszli do środka. Towarzysz Henzelmana zdjął czapkę, futro, a następnie otrzepał starannie buty ze śniegu. Rzeczywiście miał na sobie biały habit z czarnym szkaplerzem, dokładnie taki, jaki noszą mnisi cystersey.

Wyglądał na jakieś siedemdziesiąt lat, był siwy jak gołąb, ale wysoki i barczysty, a do tego wciąż jeszcze energiczny i krzepki. Twarz miał podłużną, ogorzałą jak u marynarza, z orlim nosem i krzaczastymi brwiami.

- Zrobiła nam się prawdziwa zima, gospodarzu - powiedział teraz dziarsko, zacierając zmarznięte dłonie.

- Jak się patrzy! - odparł mężczyzna ze strzelbą, pulchny łyśawy człowieczek w okularach, lat około trzydziestu pięciu. Pod narzuconym na ramiona kożuszkiem nosił gustowne ubranie z czarnej alpaki oraz fantazyjny krawat. - Proszę za mną do gabinetu, panie Wassermann - zwrócił się z ukłonem do Emanuela - zaraz się rozgrzejemy. Trzymam tam doprawdy wyśmienity koniak.

- Chwileczkę, chwileczkę - powiedział emerytowany policjant, który wciąż nie zdejmował futra ani cylindra. Wypity w drodze alkohol odrobinę szumiał mu w głowie i mącił myśli. - Najpierw chciałbym się dowiedzieć, w jakim celu przywieziono mnie do pańskiego domu.

- Nie będziemy przecież rozmawiać o tym w sieni - odparł pogodnie okrągły człowieczek w okularach. - Niechże nam pan zaufa. Proszę się przede wszystkim rozebrać i czuć jak u siebie w domu. Zaręczam panu, że z nami jest pan tutaj całkowicie bezpieczny, panie Wassermann.

- Henzelmann - poprawił go delikatnie Emanuel.

- Proszę wybaczyć! - Gospodarz klepnął się w czoło. - Nie mam zupełnie pamięci do nazwisk, w dodatku taki jestem roztargniony.

- Czy mogę dowiedzieć się przynajmniej, z kim mam przyjemność? - nie ustępował Emanuel.

- Nazywam się Henryk Blumenstog - powiedział gospodarz, zdejmując okulary. Wyjął z kieszeni chustkę i zaczął przecierać nią szkła, powoli i starannie. - Jestem chirurgiem.

Za plecami gospodarza wyrósł nagle jeszcze jeden mężczyzna: wysoki przystojny młodzieniec z blond czupryną, uśmiechnięty od ucha do ucha niczym subiekt w najmodniejszym magazynie.

- Tomasz Arsenicz - przedstawił się. - Najgorszy kataryniarz w historii Krakowa.

- To prawda - przytaknął z uśmiechem siwowłosy mężczyzna w habicie. - W ogóle się do tej pracy chłopak nie nadaje.

- Bardzo mi przyjemnie - bąknął komisarz.

Roztargniony chirurg, mnich i kataryniarz - dziwniejszego tercetu nie można już sobie chyba wymarzyć, pomyślał, nie potrafiąc ukryć rozbawienia. Prawdziwa opera buffo. Brakuje tylko młodej kobiety przebranej za mężczyznę i arystokraty udającego służącego.

Dalszy opór uznał za bezcelowy. Zdjął w końcu futro i cylinder. Pod wpływem alkoholu i ciepła jego wola stopniała jak masło na patelni. Ruszył więc bezwolnie za gospodarzem, ubezpieczony z tyłu przez nie wierzącego w Boga cysterskiego mnicha oraz wyjątkowo samokrytycznego kataryniarza.

Minęli przestronną, słabo oświetloną sień o ścianach pokrytych dębową boazerią, potem korytarz wyłożony czerwonym dywanem. Na ścianach wisiały oprawione w ramki ryciny i mapy, niektóre bardzo stare i zniszczone, ale Emanuelowi ciężko było w tej chwili skupić na nich uwagę.

- Proszę do mojego skromnego gabinetu - powiedział doktor Blumenstog, otworzywszy

szeroko drzwi i uczyniwszy zapraszający gest ręką. - Niezmiernie miło jest nam pana gościć, panie....

- Henzelmann.

Doktor wykrzywił twarz w grymasie zażenowania.

- Pamięć skandalicznie mnie zawodzi.

- Drobiazg.

Weszli do środka i doktor zapalił naftową lampę z wysokim abażurem o barwie pergaminu.

Pomieszczenie bardziej przypominało małą bibliotekę niż gabinet. Pysniło się w nim wprawdzie ciężkie dębowe biurko, ale większość miejsca zajmowały książki. Były dosłownie wszędzie: stały w przeszklonych regałach kredensu, leżały w stosach na trzech skórzanych fotelach oraz na granatowym kominku, wały się również na podłodze.

Cieniutkie broszurki i opasłe tomy, niektóre pozbawione okładek, o pożółkłych kartkach, inne oprawione w płótno, jeszcze inne w skórę, ze złożonymi brzegami.

Jedynie skrawek ściany przy drzwiach był od nich wolny. Wisiały tam dwie małe akwarele o tematyce morskiej: niemiecki statek wielorybiczny podczas sztormu, a także obrazek inspirowany niechybnie „Tratwą Meduzy” Teodora Gericaulta.

Profesor napalił w kominku, usunął książki z foteli, potem wyjął z szafki butelkę koniaku i trzy kieliszki. Postawił to na biurku, wokół którego usiedli mężczyźni - oprócz Tomasza Arsenicza opartego niedbale o ścianę przy drzwiach.

- Wszystko przez tę fotografię? - spytał w końcu Emanuel.

- Tak - odparł doktor. - Niechcący narobił pan sobie kłopotów i naraził się na wielkie niebezpieczeństwo.

- To już zauważyłem - rzekł ponuro Emanuel, a potem zwrócił się do siedzącego obok siwego mężczyzny w habicie cystersów. - Raz jeszcze pragnę z całego serca podziękować panu za uratowanie mi życia.

- Nie ma sprawy - odparł uśmiechnięty od ucha do ucha mnich.

- Niemniej dziękuję. Ale zechcą mi panowie teraz wyjaśnić, jeśli łaska, dlaczego ta fotografia jest dla kogoś aż tak ważna? Czemu ktoś posunął się aż do przemocy, aby mi ją odebrać?

Doktor westchnął, potem wstał z fotela, przysiadł na brzegu biurka i przez chwilę milczał, bawiąc się łańcuszkiem od zegarka.

- Ponieważ przedstawia nie ducha, panie Henzelmann, lecz istotę materialną - odpowiedział wreszcie, podniósłszy wzrok. Minę miał bardzo poważną i uroczystą, jakby

właśnie oznajmił pacjentowi, żeby się szykował, bo pozostało mu już tylko kilka dni życia.

- Istotę materialną?

- Tak, jak najbardziej materialną. A są osoby, które ten fakt za wszelką cenę pragnęłyby utrzymać w tajemnicy. Wprawdzie narobił pan wokół zdjęcia tyle szumu, że o żadnej tajemnicy mowy już być nie może, ale zniszczenie takiego śladu znacznie poprawiłoby im humor.

- Dziwna istota naprawdę istnieje? Czyli te wszystkie relacje były prawdziwe?... Zdumiewające!

- Tak. Jak najbardziej istnieje - przyznał doktor.

Przez chwilę panowała cisza.

- Co innego jest teraz ważne - podjął po krótkiej przerwie. - Wszedł pan w posiadanie jednej z niewielu fotografii na świecie, gdzie udało się uchwycić mieszkańców Khuruny w ich, jak nam się zdaje, prawdziwej postaci. Dlatego też zwrócił pan na siebie ich uwagę.

Przez chwilę panowała cisza. Emanuel nie pytał już, czym jest Khuruna, gdyż doszedł do wniosku, że znalazł się tego wieczora w strefie przyciągania szaleństwa. Absurdalne zdarzenia następowały po sobie z coraz większą prędkością.

- Zdjęcie jest u mnie w domu - powiedział wreszcie grobowym głosem. - Mogą tam wejść w każdej chwili, zwłaszcza że mój lokaj to wyjątkowy gamoń. Zatrudniłem go tylko ze względu na dług wdzięczności wobec jego ojca, który przed rokiem... Zaraz, zaraz! - Komisarz poderwał się nagle z fotela. - Przecież oni już tam byli! Ta szczerbata wariatka powiedziała, że sprawdzili moje mieszkanie i nic nie znaleźli! Dlatego myślała, że mam je przy sobie!

- Spokojnie - profesor w habicie położył mu dłoń na ramieniu. - Proszę usiąść. Wszystko jest w porządku.

- Wszystko w porządku? Pan raczy żartować! Ktoś przeszukuje mój dom, a pan mi mówi, żebym zachował spokój?

- Przeszukali, ale nic nie znaleźli - rzekł łagodnie doktor Blumenstog, jakby przemawiał do wariata. Ktoś chyba pomylił rolę. - Fotografii rzeczywiście już tam nie było, ponieważ od kilku godzin znajdowała się tutaj - postukał w szufladę biurka, a następnie wysunął ją, wyjął feralne zdjęcie i zaprezentował je zdumionemu komisarzowi. - Obecny tutaj pan Tomasz Arsenicz - doktor wskazał głową stojącego przy drzwiach młodzieńca - zrobił naszym prześladowcom małego figla.

Figla, pomyślał Emanuel.

Figiel-migiel.

- Pan Tomasz Arsenicz po prostu uprzedził włamywaczy - wyjaśnił mężczyzna w habicie.

- Napije się pan koniaku?

Emanuel pokręcił przecząco głową, zbyt zszokowany, by wykrztusić choć słowo. Miał przed sobą na biurku fotografię z ulicy Mikołajskiej, tę samą, którą dostał od Józefa Knebla i trzymał u siebie w domu.

Tę samą, która sprowadziła na niego te nieoczekiwane kłopoty.

- Ale czemu w taki sposób?... - udało mu się wreszcie wydusić z siebie pytanie. - Nie można było normalnie się spotkać i porozmawiać? Kompletnie nic z tego nie rozumiem, to jakaś ponura farsa.

- Żałuję bardzo, ale musieliśmy działać niezwykle ostrożnie - powiedział doktor, opróżniwszy swój kieliszek. - Stąd takie a nie inne metody, panie Henzelmann. Był pan cały czas obserwowany. Nie mogliśmy sobie pozwolić, aby widziano nas razem. Najważniejsze, że fotografia nie trafiła w ręce agentów Khuruny. Tutaj będzie dużo bezpieczniejsza niż w pańskim mieszkaniu.

- Doprawdy?

- Z całą pewnością.

Sięgnął po zdjęcie i bardzo ostrożnie, jakby trzymał w ręku kruchy pergamin z czasów apostołskich, włożył ją do szuflady.

- A ten pański lokaj - zwrócił się do Emanuela Tomasz Arsenicz - to rzeczywiście wyjątkowy gamoń. Prawdziwy gałgan.

Gadoidy

Zbliżała się północ, ale nikomu nie chciało się jeszcze spać. Najmniej senny był oczywiście Emanuel Henzelmann. Całkowicie już trzeźwy, siedział w głębokim fotelu, niemal poza zasięgiem światła naftowej lampy, i z niedowierzaniem kręcił głową, podczas gdy niezmiernie dumny z siebie Tomasz Arsenicz, gestykulując i robiąc komiczne miny, opowiadał, w jaki sposób dostał się do mieszkania komisarza i wykradł stamtąd fotografię z ulicy Mikołajskiej.

Jak się okazało, było to dziecinnie wręcz proste. Mężczyzna przybył na ulicę Szpitalną tuż przed południem, odczekał, aż Emanuel - jak zwykle o tej porze - wyjdzie do biblioteki, a potem energicznie zapukał do drzwi mieszkania. Powiedział lokajowi, że jest z policji, pomachał przed nosem jakimś niemieckim pismem i kazał przyprowadzić stróża. Przestraszony chłopak zbiegł na dół, zostawiając otwarte drzwi. Stróż pił właśnie grzane piwo w szynku na sąsiedniej ulicy, więc Arsenicz miał wystarczająco wiele czasu, by przeszukać mieszkanie. Odnalezienie fotografii okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał. Szuflada biurka była pierwszym miejscem, do którego zajrzał. Kiedy lokaj wraz z podchmielonym stróżem wdrapywali się po trzeszczących schodach na piętro, Arsenicz siedział już w saniach wiozących go w stronę rogatek.

- Ciekawe, w jaki sposób dostała się do mojego mieszkania pani Wolf - rzekł posepnie Emanuel, kiedy młody mężczyzna zakończył swoją opowieść. - Mam nadzieję, że nie zrobiła krzywdy temu głuptasowi.

- Nie sądzę - powiedział Arsenicz. - Tutaj nie Ameryka. Szczerbata musi być o wiele ostrożniejsza.

- Chłopakowi nic nie będzie - zapewnił Leopold Kijański. - Powróćmy może do istoty utrwalonej na pańskim zdjęciu. Czy podejrzewa pan, panie Henzelmann, co to może być za stworzenie?

- Prawdopodobnie jakieś zwierzę - odparł ostrożnie Emanuel. - Nie wiem tylko, czy pochodzące z tego świata czy też skądinąd. Wiem za to, że podobne stworzenia widywano od

wieków w wielu miejscach na świecie... - Odchrząknął. - Mam w domu mnóstwo relacji i rysunków dotyczących tej postaci. Większość z nich nie zasługuje, jak sądzę, na wiare, można je między bajki włożyć, ale niektóre wydawały mi się przynajmniej interesujące. Choćby ta fotografia.

Profesor przebrany za mnicha, doktor i katarzyniarz wymienili między sobą porozumiewawcze uśmiechy, co znowu zbiło nieco z pantafelki biednego komisarza.

- Takich ciekawych fotografii jest więcej - powiedział Blumenstog. - Pańska jednak wydaje się zupełnie wyjątkowa. To prawdziwy skarb.

Ponownie wysunął szufladę biurka, wyjął z niej dużą szafirową kopertę i położył przed Emanuelem.

- Do tej pory nie udało się utrwalić na kliszy żadnego żywego stworzenia - powiedział. - Dlatego pańskie zdjęcie jest dla nas tak ważne i cenne. Proszę zajrzeć do koperty, panie Henzelmann.

- A więc to nie jest usterka techniczna ani oszustwo? - spytał Emanuel, spełniając prośbę doktora.

W środku znajdowały się trzy duże fotografie.

- Nie. Fotografia z ulicy Mikołajskiej jest autentyczna i wbrew pozorom znakomicie wykonana. Rzewuski to solidna firma.

- Wiedziałem - powiedział cicho Emanuel. - Po prostu byłem pewien, że ten człowiek kręci.

Spojrzał na pierwsze zdjęcie. Zobaczył leżące na plecach ciało owinięte w ciemną tkaninę. Było prawdopodobnie zabalsamowane. W pierwszej chwili pomyślał, że to mumia dziecka, ale natychmiast zmienił zdanie. Głowa z całą pewnością nie należała do człowieka. Przysunął fotografię bliżej światła.

Tak, puste oczodoły zdawały się zajmować połowę twarzy. Dwie olbrzymie jamy sprawiały doprawdy niesamowite wrażenie.

- Ta urocza mumia znaleziona została w zachodnich Chinach, na północnych obrzeżach pustyni Takla Makan, przez młodego niemieckiego archeologa o nazwisku Hrubesch - wyjaśnił dziwny profesor w habicie, zaglądając Emanuelowi przez ramię. - Prowadził tam wykopaliska w tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym roku jako kierownik ekspedycji naukowej. Odkrył prastare cmentarzysko w pobliżu wioski zamieszkaną przez Ujgurów. Znaleziono przede wszystkim ludzkie szczątki, ale uwagę archeologów zwrócił grób poza obrębem cmentarza. Grób ten otoczony był przez miejscowych szczególnym kultem. Okazał się o wiele starszy niż tamte. Około dwóch metrów pod powierzchnią ziemi Ulrich Hrubesch

natrafił na komorę grobową. Jej ściany, jak pan widzi, wyłożone były cegłą mułową. Pod grubą warstwą sitowia i chrustu leżało to właśnie ciało. Po zbadaniu okazało się, że jest pozbawione wnętrzości, zabalsamowane, wypchane i zszyte. Obok leżały dziwne metalowe przedmioty, ni to narzędzia, ni to ozdoby, ciężko się zorientować, do czego właściwie służyły.

- Niebawale! - wykrzyknął Henzelmann, podnosząc wzrok znad zdjęcia. - Przecież to naukowy namacalny dowód, którego uczeni nie będą mogli zignorować! Toż to prawdziwa rewolucja! Wiedzą panowie, gdzie teraz znajduje się ta mumia?

- Niestety ślad po niej zaginął - odparł posepnie doktor Blumenstog. - Podobnie zresztą jak po młodym archeologu. Pozostało tylko to zdjęcie, które wykonał już w Berlinie, gdzie przetransportował znalezisko. Mówi się, że powrócił na pustynię, aby kontynuować badania, ale ja w to nie wierzę. Po prostu go dopadli.

Zegar na ścianie wybił północ. Gdzieś we wsi rozszczękały się psy.

- Kto go dopadł? Agenci Khuruny? Szczerbata Mamuśka? - spytał cicho Emanuel, czując, że przechodzi go zimny dreszcz. - Może napiję się odrobinę tego koniaku, doktorze.

Blumenstog napełnił jego kieliszek.

- Tak, agenci Khuruny - potwierdził, kiwając ze smutkiem głową. - Jestem tego niemal pewien. Ale proszę spojrzeć na kolejne zdjęcie. Tam ciało jest jeszcze lepiej zachowane. Wydobyto je z torfowiska w Holandii.

Emanuel spojrział na drugą fotografię i aż westchnął z wrażenia. To była wykapana postać z ulicy Mikołajskiej, tyle że martwa: bezwłose ciało, wypukły tors, długie cienkie kończyny, duża, zwężająca się ku dołowi głowa z wielkimi oczami.

- Prawda, że wspaniałe okaz? - powiedział doktor. W jego głosie brzmiała prawdziwa duma. - Wiele wysiłku i pieniędzy kosztowało nas zdobycie tego zdjęcia. Ale opłacało się, prawda?

- Rzeczywiście wspaniałe - przyznał Emanuel.

- Bagna i torfowiska północno-zachodniej Europy ukrywają zapewne jeszcze niejedną tajemnicę - powiedział Leopold Kijański. - To cudowne miejsca. Ciało ulegają w nich naturalnej mumifikacji. Jeśli tylko zwłoki znajdą się tam w zimie i spoczną w głębokiej wodzie stojącej, poza zasięgiem owadów i padlinożerców, istnieje duża szansa, iż przez bardzo długi czas zachowają się w doskonałym stanie. Tak jak to właśnie. Może mieć nawet tysiące lat. Na podmokłych terenach Holandii, Niemiec i Anglii odnaleziono przynajmniej kilka takich niezidentyfikowanych istot. Proszę sobie wyobrazić, że niecałe dwa lata temu w Danii wydobyto z bagna samą skórę. Kości, ścięgna, mięśnie, organy wewnętrzne, wszystko to rozpuściło się w wodzie. Pozostała jedynie kompletna skóra.

- Przypuszczam, że była bezwłosa i szara - wtrącił Emanuel, uśmiechając się lekko.
- Zgadza się, panie Henzelmann.

Na ostatnim zdjęciu utrwalono ciało zamknięte w wielkiej bryle lodu. Tym razem fotografia była bardzo kiepskiej jakości, w dodatku gruba tafla była tylko na wpół przejrzysta. Emanuel dostrzegł jakiś ciemnawy kształt. Mógł to być człowiek, mogło to być zwierzę albo pień drzewa.

Cokolwiek.

- Odnalezione pięć lat temu w Ałtaju. Wprawdzie nie widać tego na tym zdjęciu, ale to prawdopodobnie również ciało naszej istoty. Z naszych informacji wynika zresztą, że w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat na Syberii znaleziono trzy takie ciała. Niestety przypadły.

- Może więc nie są to stwory tak do końca materialne - zasugerował Emanuel Henzelmann.

- W pewnym sensie ma pan rację - przyznał Leopold Kijański. - Spór o ich materialność toczy się zresztą od wieków. Tacjan Syryjczyk, który nazywał je demonami, twierdził pod koniec drugiego wieku, że nie mają ciała. Pisał, że posiadają strukturę duchową. Ale już jego uczeń, Tymoteusz z Antiochii, uznał je w swoim traktacie za byty materialne, naznaczone tym samym pierwiastkiem rozkładu, jaki tkwi w ciele ludzkim. Wedle najnowszych ustaleń szare istoty zbudowane są z czegoś, co nazywamy nadmaterią, która w naszym świecie pozostaje trwała jedynie przez jakiś czas.

- Czyli po pewnym czasie po prostu znikają? Dematerializują się?

- Całkiem prawdopodobne.

- A zanim to nastąpi, ktoś metodycznie usuwa dowody i zastrasza świadków?

- Na to wygląda. W Egipcie również całkiem niedawno natrafiono na dziwne mumie. W jednym z królewskich grobowców znaleziono małe istoty, które początkowo wzięto za dzieci pochowanego w tym samym miejscu faraona, ale budowa anatomiczna zmumifikowanych ciał była bardzo nietypowa. Nie rozpoznano nawet ich płci.

- A skąd pewność, że nie mamy tu do czynienia ze zwykłymi mistyfikacjami? - spytał komisarz, jeszcze raz przyglądając się rozłożonym na biurku zdjęciom. - Historia fałszerstw zna całe mnóstwo podobnych przypadków.

- Pewności nie mamy żadnej - odparł profesor w habicie. - Możemy opierać się tylko na domysłach.

- To chyba zbyt wątle podstawy dla tak daleko idących przypuszczeń, nie uważa pan, profesorze?

- Istotnie. Na podstawie tych tylko materiałów, które ma pan u siebie, jak również

naszych fotografii niewiele można ustalić. Ale te zdjęcia, rysunki i relacje to jedynie drobne fragmenty większej całości. Odłamki i okruchy olbrzymiej mozaiki, którą my wszyscy staramy się złożyć w całość.

- Co ma pan na myśli, mówiąc: my wszyscy?

- Nasze bractwo.

Emanuel mimo woli uśmiechnął się ironicznie pod wąsem.

- To istnieje już tajne bractwo zajmujące się tym problemem?

- Od setek lat, panie Henzelmann - odparł poważnie Leopold Kijański. - Mamy nadzieję, że pan również do nas przystąpi.

Emanuel wciąż nie potrafił powstrzymać uśmiechu na myśl o tajnym bractwie zajmującym się poszukiwaniami legendarnych stworzeń, bractwie, którego członkowie przebierają się w habity cystersów i pośród rytualnych śpiewów analizują prześwietlone fotografie oraz wycinki prasowe dotyczące tajemniczych istot.

Zakład dla obłąkanych.

- Dobrze, o bractwie porozmawiamy później - rzekł, poważniejąc nagle. - Tymczasem muszę zapytać, co to jest za zwierzę. Potrafią mi to panowie wyjaśnić?

- To nie jest zwierzę - z subtelnym uśmiechem oznajmił doktor Blumenstog. - To istota inteligentna. Równie inteligentna jak człowiek, a może nawet bardziej. Pochodzi prawdopodobnie od gadów. Nazywamy ją knarfem albo szarcem.

- Szarcem... - jak echo powtórzył Emanuel.

- Od koloru skóry, rzecz jasna.

Komisarz sięgnął po kieliszek.

- Powiedział pan, że jest inteligentna i że pochodzi od gadów? - powiedział, upiwszy łyżeczek.

- Tak, nie przesłyszał się pan, panie Henzelmann. Myślę, że istnieją przynajmniej dwie, trzy rasy w obrębie jednego gatunku. Ale nie różnią się zbyt wiele. Osobniki z kostnymi grzebieniami na głowach i plecach wydają się najbardziej prymitywne, widywane są również najrzadziej. Ale większość szarców wygląda dokładnie tak jak istota z ulicy Mikołajskiej: są niewysocy, bardzo szczupli, bezwłosy, o skórze wahającej się między odcieniami zieleni i szarości, choć najczęściej szarej jak popiół. Posiadają długie cienkie ręce zakończone trzema palcami, stopy podobne nieco do płetw, no i te duże baniaste głowy. Oczy bez powiek, duże i skośne, głęboko ulokowane. Bez wyrazu. Czarne, choć według wielu relacji świecą na czerwono. Sine jak u trupa usta, drobne zęby, właściwie brak nosa i uszu. Zresztą sam pan widział, co będę panu opowiadał. Piękne to one nie są. Nie noszą odzieży, przez co mogą nam

się wydawać bardziej zwierzętami, ale zaręczam panu, że to istoty rozumne. Rozumne i na dodatek niezwykle zdemoralizowane.

- Ukazują się nagie, ale ich, proszę wybaczyć, narządy rozrodcze są niewidoczne - dodał profesor. - Z tego powodu istnieją duże problemy z określeniem płci.

- Skąd one właściwie przybywają?

* * *

- Słyszał pan kiedykolwiek o Khurunie? - spytał doktor, nalewając po kolejnym kieliszku koniaku. - Pewno nie.

- Kuruma to chyba japoński środek lokomocji, prawda? Rodzaj wózka.

Doktor zaczął krążyć po gabinecie.

- Chodzi nam o państwo o nazwie Khuruna - uściślił chirurg, kładąc wyraźny nacisk na ostatnie słowo.

- Prawdę powiedziawszy, pierwszy raz usłyszałem o niej dopiero dzisiaj. Czy można wiedzieć, coż to za tajemnicze miejsce?

- Mówiąc najprościej, to najprawdopodobniej archipelag - powiedział ubrany w habit profesor Kijański tak swobodnym tonem, jakby wypowiadał najzwyczajszą informację pod słońcem.

Emanuel odwrócił się w jego stronę.

- Chyba nie bardzo rozumiem.

- Ukryty archipelag - sprostował doktor.

Głowa Emanuela obróciła się z powrotem w kierunku profesora.

- Jak to: ukryty?

- Zakamuflowany, jeśli to słowo bardziej się panu podoba. Dla nas niewidzialny i niewyczuwalny, chociaż akurat my tutaj, znaczy: w Krakowie, zajmujemy, by tak rzec, to samo co i on miejsce w przestrzeni.

Emanuel odłożył ostrożnie swój kieliszek, zanim jeszcze zamoczył usta.

- Jak mam to rozumieć, doktorze?

- Dosłownie. Teraz chodzę po tym gabinecie, lecz być może równocześnie spaceruję po wodzie oceanu obmywającego brzegi Khuruny.

Emanuel spojrzał na niego badawczo.

- Czy to ma coś wspólnego z teorią sir Williama Thomsona? - spytał.

Czyżby ci dziwni ludzie podsłuchiwali jego dzisiejszą rozmowę przy szachach i teraz kpili sobie bezlitośnie z jego teorii? Prawdę mówiąc, trudno mu było wyobrazić sobie coś

takiego, ale wszystko to wyglądało nader podejrzenie.

- Powiedzmy - odparł Blumenstog. - To tylko jedna z teorii zakładających wielość światów. Oczywiście oficjalna nauka do żadnej z nich się nie przyznaje. Dzięki Bogu istnieją jeszcze niezależni uczeni badacze.

Zabawne - jeszcze przed kilkoma godzinami komisarz ze swadą opowiadał o wirach w eterze, o różnych poziomach materii i wzajemnie przenikających się światach, a teraz, kiedy szanowany w mieście lekarz z poważną miną potwierdzał te teorie, za nic nie był w stanie w nie uwierzyć. To przecież kompletne brednie, czysta fantazja.

Co innego bawić się hipotezą wielu światów, a co innego uznawać je za równie realne jak ten, w którym się właśnie znajdowali.

Wymyślili dla niego jeszcze nazwę!

Khuruna.

I zasiedlili baśniowymi stworami!

Szarcami.

Może ci ludzie naprawdę chcieli zakpić z Emanuela i jego dziwnych teorii? Ośmieszyć go, doprowadzając je do absurdu? Dziwnym sposobem wszystkie jego przypuszczenia - i te dotyczące nieludzkich szarych istot, i te odnoszące się do wielowymiarowości wszechświata - znajdowały teraz swoje potwierdzenie.

I właśnie teraz, jak na ironię, ukazywały całą swoją absurdalność.

Cóż to za gra? W co ci ludzie próbują go wciągnąć?

- Zakamuflowany archipelag - powtórzył cicho Emanuel. - Chce pan powiedzieć, że jest równie realny jak, powiedzmy, Archipelag Malajski, tyle że ani go nie widzimy, ani nie odczuwamy?

- Jeśli wierzyć ludziom, którzy przedostali się na tamtą stronę, jest dużo, dużo większy niż Archipelag Malajski, panie Henzelmann - uśmiechnął się doktor.

- Na tamtą stronę?

- Tak to w uproszczeniu nazywamy.

- Według relacji podróżników składa się z ponad setki mniejszych i większych wysp i rozciąga na przestrzeni milionów kilometrów kwadratowych - wtrącił się profesor Kijański. - Mniej więcej od Syberii poprzez Kaukaz, potem przez środkową oraz północną Europę, w tym również Kraków - tutaj zmrużył oko z szelmowskim uśmiechem - następnie Atlantyk, zachodnie wybrzeża Afryki aż do Ameryki Południowej. Na pewno zahacza jeszcze o Andy, dalej nie wiadomo. Jak sam pan widzi, to potężne terytorium. Zresztą istnieją podejrzenia, że w ciągu tysiącleci Khuruna kilkakrotnie zmieniała, że tak powiem, położenie względem naszej

przestrzeni, przez co oba światy zachodzą na siebie nie od zawsze w tych samych punktach. Choć może jest właśnie na odwrót? Może to my się przesuwamy, dryfujemy, a Khuruna pozostaje nieruchoma? To chyba bez większego znaczenia, prawda?

- Pan raczy teraz żartować - odezwał się Emanuel, ściągając groźnie brwi, co zawsze zmieniało jego twarz niemal nie do poznania. Łagodne zazwyczaj oblicze nabierało wtedy wyrazu, jakiego nie powstydziliby się najsurowszy prokurator. - Przyznam szczerze, że jakoś nie mam nastroju do żartów, łaskawy panie. Albo będziemy rozmawiać poważnie, albo szkoda mojego czasu...

- Mówimy bardzo poważnie - rzekł doktor. - Wiem, że burzy to pański obraz rzeczywistości, i doskonale rozumiem reakcję. Khuruna to świat po drugiej stronie lustra, to mityczna Atlantyda, Raj i Piekło w jednym, Hades, Szeol, Utopia, Walhalla, Podziemny Świat, Eteria, Lemuria, co tylko pan chce. Podszewka rzeczywistości.

Henzelmann pokręcił głową, wpatrując się uważnie w kamienną twarz gospodarza. To wariat czy tylko bezczelny żartowniś?

- Nie wierzę - powiedział tylko.

- Mówimy śmiertelnie poważnie, panie komisarzu - powtórzył doktor, akcentując każde słowo.

Emanuel miał wrażenie, że tonie. Tak, najwidoczniej na Plantach stracił grunt pod nogami, porwała go potężna fala powodziowa, zmyła z brzegu, a teraz dryfuje poprzez ciemne głębokie wody pełne wirów i zdradzieckich prądów.

Brzeg dawno już stracił z oczu, a wokół nie było nawet gałęzi, której mógłby się uchwycić.

Dobra, trzeba zacząć to porządkować.

- Opowiadają mi panowie bajki o ukrytym archipelagu i inteligentnych gadach zbudowanych z nadmaterii - rzekł cicho. - Tymczasem ja zostałem dzisiaj zaatakowany przez bardzo konkretną kobietę w bardzo konkretny i fizyczny sposób, co więcej, w całkowitej zgodzie z prawami fizyki newtonowskiej. Zaręczam, że nie wyglądała jak przybysz ze świata duchów i demonów.

- Bo jest tylko agentką Khuruny. Kimś w rodzaju pośrednika pomiędzy nimi a nami. Zresztą to tylko mało znaczący pionek w tej grze w przeciwieństwie do kobiety, która odwiedziła pana wcześniej i podawała się za córkę profesora.

- Więc o niej również wiecie? - Emanuel Henzelmann z niedowierzaniem pokręcił głową.

- A jakże. To jedna z ważniejszych postaci przybyłych z Khuruny. - Doktor pogładził się po łysinie. - Pojawiła się w Krakowie całkiem niedawno, jak się dowiadujemy... - Tu spojrzął

znacząco na Arsenicza, który skwapliwie przytaknął, otrząsając się ze zgrozą.

- W jaki sposób się tutaj przedostają?

- Istnieją miejsca, które nazywamy szczelinami. Nie wiem, czy powstają spontanicznie, samorzutnie czy są efektem działania szarców, ale dzięki tym właśnie miejscom w przestrzeni kontakt między naszymi światami jest możliwy. My również możemy przedostać się na drugą stronę.

- Dobrze. Jak niby wyglądają te szczeliny?

- Sęk w tym, że w ogóle ich nie widać. Do Khuruny można wejść, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Tam panują bardzo podobne warunki do naszych. W ciągu wieków tysiące ludzi i zwierząt przypadkowo bądź na skutek czyichś działań przedostały się do innych światów. Lecz bardzo niewielu udało się wrócić.

- Powiedział pan: do innych światów?

- Takich równoległych światów może być więcej, znacznie więcej. Materia, jak głosi pewien amerykański uczonec, jest tylko inną postacią energii, więc różne jej rodzaje mogą, podobnie jak różne rodzaje energii, przenikać się nawzajem bez większych zakłóceń. Tych światów może więc być nieskończenie wiele.

- Przedstawiciele Khuruny od zawsze przenikali do naszego wymiaru. Zawsze też zacierali wszelkie dowody na istnienie swojego państwa. Trwa to do dzisiaj, czego doświadczył pan na własnej skórze, panie Henzelmann... - Profesor zrobił znaczącą pauzę. - Jak widać, gorąco pragną utrzymać w tajemnicy istnienie swojego kraju. Z różnych przyczyn, o których nie będę teraz wspominał, nie życzą sobie rozpoznania. W pewnym sensie wcale im się nie dziwię.

- A więc przebywają wśród nas?

- Tak.

- I usuwają ludzi, którzy mogliby wyjawiać prawdę?

- I to bardzo umiejętnie. Podam panu kilka przykładów.

Profesor wstał, nieco chwiejnym krokiem podszedł do regału, wyjął jakąś książkę w zielonej oprawie i wrócił z nią do stołu.

Przez chwilę szeleścił kartkami.

- Proszę bardzo: w roku tysiąc sześćset trzecim uwięziony został w londyńskiej Tower sir Walter Baffin. Oskarżono go o spisek przeciwko królowi Jakubowi i ścięto. Nie byłoby w tym może nic dziwnego, gdyby nie fakt, że mężczyzna ów, sternik na statku „Golden Eye”, napisał stustronicowe sprawozdanie z wyprawy, która dotarła do spowitych wiecznym mrokiem północnych brzegów Pajęcej Wyspy. Czemu pan się uśmiecha, panie Henzelmann?

- Nic takiego. Proszę kontynuować.

- Sprawozdanie, rzecz jasna, przypadło. Zachowało się o nim tylko kilka wzmianek w pamiętnikach dramaturga i poety, Williama Kistle'a, który zamierzał napisać komedię o ambasadorze Khuruny w Londynie. Miała nosić tytuł „Człowiek w masce”. Przedwczesna śmierć zniweczyła jego plany.

- To trochę stare dzieje - zaryzykował Emanuel.

- Proszę słuchać dalej. - Profesor puścił tę uwagę mimo uszu. - W tym samym mniej więcej czasie zaginęło lub zginęło w tajemniczych okolicznościach aż dziesięciu członków załogi holenderskiego statku „De Liefde”.

- Interesujące. Czy można wiedzieć, co to za książka?

- „Odkrywczy Khuruny” Erazma Orłowskiego. Wydana dwadzieścia pięć lat temu we Lwowie, ale nie znajdzie jej pan raczej ani w bibliotekach, ani w antykwariatach.

- Domyślam się.

- Idźmy dalej - kontynuował profesor. - Kilkadziesiąt lat później kapitan należącego do francuskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej statku „L'Etoile” został zasztyletowany w Saint-Malo. W swoim raporcie wspominał podobno o tajemniczej wyspie na Atlantyku, wyspie, której brzegi porośnięte były osobliwymi roślinami.

- Chodzi o wyspę Larsona - wtrącił się doktor Blumenstog.

- Otóż właśnie - potwierdził profesor. - Przykłady można mnożyć. Nie zawsze agenci Khuruny posuwają się do aż tak drastycznych rozwiązań. Taki sir Robert Porter, który w roku tysiąc osiemset siedemnastym odkrył siedemnastowieczną mapę północnej części archipelagu, zakończył życie w zakładzie dla obłąkanych. Za wariatów uznano również kilkunastu innych ludzi, którzy głosili, że istnieje nieznaną ląd. O wielu z nich nigdy się nie dowiemy.

Na te słowa Emanuel zwrócił się w stronę Leopolda Kijańskiego.

- Kobieta podająca się za pańską córkę, ta jak panowie powiadają, mieszkanka Khuruny, też próbowała przedstawić pana jako osobę nie do końca zrównoważoną - powiedział z uśmiechem Emanuel.

- Tak? A w jakiż to sposób?

- Wspominała coś o selenoidzie, dziwnych jakichś wpływach Księżyca na ziemskie cywilizacje...

Profesor Kijański odchrząknął najwyraźniej zmieszany.

- Z tym selenoidem to akurat prawda - rzekł z pozorną swobodą, odwróciwszy jednak na moment wzrok. - Porzuciłem tę teorię dawno temu.

Uśmiech na twarzy Emanuela zastygł.

- A co ze stworzeniami w rodzaju naszego szarca? - spytał natychmiast, aby zapobiec krępującej ciszy. - Co one właściwie robią w Krakowie?

- Coś się tutaj najwidoczniej szykuje. - Profesor z wyraźną ulgą przyjął zmianę tematu. - Jak przypuszczam, pojawienie się tylu osobników w tym samym czasie i miejscu musi mieć jakieś ważne przyczyny. Ale nie mam pojęcia, o co chodzi. Być może otwierają lub zamykają jakąś szczelinę. Na razie możemy tylko zgadywać. Ale wywiad bractwa już bada tę sprawę, więc wcześniej czy później dowiemy się prawdy.

- To mają już nawet panowie swój wywiad? - Komisarz nie potrafił ukryć zdumienia.

- A co pan myślał? Skąd byśmy niby wiedzieli o kłopotach pana i naszego sympatycznego Tomasza Arsenicza? Nasze bractwo to bardzo prężna organizacja, proszę mi wierzyć.

- No tak, dużo panowie wiedzą o Khurunie, zważywszy, że jej mieszkańcy tak starannie się maskują - powiedział Emanuel po chwili przerwy. - Wszystko to dzięki agentom, jak sądzę?

Profesor uśmiechnął się.

- Nie - odparł. - Nasza wiedza pochodzi z najprzeróżniejszych źródeł. Miałem dużo czasu, aby ją sobie przyswoić. Poświęciłem temu zagadnieniu prawie czterdzieści lat swojego życia, panie Henzelmann.

Niezwykle długo pielęgnowane dziwactwo, pomyślał komisarz, ale tylko z szacunkiem pokiwał głową.

- Ja należę do bractwa od tysiąc osiemset sześćdziesiątego roku - oznajmił z dumą doktor Henryk Blumenstog.

- A ja dowiedziałem się o Khurunie dwa tygodnie temu - rzekł chłopak, którego przedstawiono jako kataryniarza.

Gdzieś w oddali zaczęły ujadać psy. Zaniepokojony Emanuel odwrócił głowę w stronę zasłoniętego purpurowymi storami okna.

- Jest już późno - odezwał się doktor Blumenstog, wstając z fotela. - Zapewne jest pan zmęczony, więc wrócimy do tej rozmowy jutro. Sypialnia na piętrze jest do pańskiej dyspozycji. Ja muszę jeszcze trochę popracować. Dobranoc.

- Czy mógłbym przejrzeć przed snem tę książkę o podróżnikach? - spytał Henzelmann.

- Ależ oczywiście. Cała moja biblioteka jest do pańskiej dyspozycji. Jak zresztą wszystko w tym domu.

12

Noc

Emanuel był zbyt podekscytowany, żeby od razu zasnąć.

Zabrał ze sobą do sypialni książkę Leopolda Kijańskiego, „Odkrywców Khuruny” pióra Erazma Orłowskiego: 550 stron, wiele map i rycin, na końcu indeks - na pierwszy rzut oka wyglądało to bardzo solidnie.

Potem komisarz przyniósł jeszcze z gabinetu butelkę z reszką koniaku i postawił ją koło łóżka. O kieliszku zapomniał. Rozebrał się, wskoczył do pościeli i zaczął przeglądać książkę w świetle naftowej lampy.

Pierwsze rozdziały bardzo go rozczarowały. Zawierały jedynie opisy fantastycznych krain pozostawione w pismach starożytnych filozofów, historyków, kartografów, poetów i podróżników. Żadnych rewelacji. Nic, o czym by już kiedyś nie czytał.

Były tam między innymi dobrze znane fragmenty „Meteorologii” Arystotelesa, z których wynikało, że na południe od dzisiejszego Maroka znajduje się strefa trujących mgieł; były cytaty z Pliniusza święcie przekonanego, że na Saharze leży jezioro o nazwie Tryton (co ciekawe, jezioro to, jak informował w przypisach Erazm Orłowski, przedstawione zostało również na odnalezionej w 1507 roku w Augsburgu rzymskiej mapie drogowej z czwartego wieku, znanej pod nazwą Tabula Peutingeriana), dwie strony poświęcono św. Augustynowi i jego tajemniczej strefie gorąca zamieszkaną przez nieznaną istotę. Do tego omówiono jeszcze Góry Księżycowe na mapie Ptolemeusza i uczyniono kilka niejasnych aluzji do zaginionego dzieła Eratostenesa.

Cały ten materiał miał dowodzić, że część archipelagu znajduje się lub znajdowała na terenach północnej i zachodniej Afryki. Jak pisał autor, potwierdzały to świadectwa geografów oraz kupców arabskich z dziewiątego i dziesiątego wieku.

Emanuel tylko przekartkował te fragmenty.

Potem zaczęły się rzeczy z pozoru ciekawsze.

W rozdziale siódmym zamieszczono relacje portugalskich, hiszpańskich i angielskich podróżników z okresu wielkich odkryć geograficznych.

Emanuel napił się koniaku wprost z butelki, usadowił się wygodnie w pościeli, poprawił okulary i przystąpił do lektury.

Dowiedział się, że marcu 1507 roku niejaki Eduardo Gomes wypłynął z Portugalii na czele wyprawy złożonej z ośmiu okrętów i sześciuset członków załogi. Wyprawa została sfinansowana przez samego króla, a miała na celu okrążenie Afryki i dotarcie do Indii. Po drodze pewnie należało schwytać jeszcze paru niewolników, pomyślał ponuro Emanuel, znów sięgając po butelkę.

Mniejsza z tym.

W ósmym dniu podróży zmierzająca w kierunku Przylądka Dobrej Nadziei flotylla dostała się w obszar sztormów, które zatopiły sześć karawel, a pozostałe dwie zepchnęły daleko na zachód.

Były policjant bez trudu wyobraził sobie te sceny.

Żeglarze - oczywiście chorzy ze strachu. Wprawdzie burze ustały, ale biedacy sądzili, że teraz statki niechybnie wypadną poza krawędź świata. W pewnym sensie ich obawy potwierdziły się. Opisy, które pozostawił kosmograf wyprawy, wskazywały na to, że przekroczyli granicę pomiędzy światami.

Jego statek wrócił, a on sporządził pierwszą znaną mapę wybrzeża jednej z wysp należących do Khuruny. Mapa ta wszakże nie zachowała się do naszych czasów. Fragmenty opisów przetrwały tylko dzięki listom kosmografa do brata, z których kilka - jak informowały przypisy - trafiło w ręce rozsianych po całym świecie prywatnych kolekcjonerów.

Trzy lata po tamtych wydarzeniach zaginęła u zachodnich wybrzeży Afryki kolejna flotylla, tym razem finansowana przez kupiecką rodzinę z Florencji. „Prawdopodobnie podróżnicy przepłynęli przez jedną z tamtejszych szczelin w przestrzeni i trafili na nieprzyjazne wody archipelagu. Wszystko wskazuje na to, że nie udało im się odnaleźć powrotnej drogi, bowiem nigdy nie odkryto śladów katastrofy”.

Takim oto torem biegło rozumowanie Erazma Orłowskiego.

Uczestnik następnej wyprawy, pracownik lizbońskiej filii banku Medyceuszy, już na pewno - znowu tylko według autora - przedostał się do Khuruny. Jego statek wprawdzie powrócił do Europy, niestety on sam został zamordowany kilka miesięcy później w Lizbonie, a rysunki i opisy, jakie sporządził, zaginęły.

Henzelmann przerzucał kolejne kartki: francuska fregata „Lutine”, angielska brygantyna, amerykański szkuner...

Emanuel poczuł, że ogarnia go zniechęcenie.

Nic, tylko wieloznaczne uśmiechy, niewiarygodne historie, mgliste przypuszczenia,

tajemnicze aluzje, odsyłacze i supozycje, wątpliwe poszlaki, dokumenty, które już nie istnieją, jakieś ukryte między wierszami wzmianki w listach sprzed lat, kartki zapisane wyblakłym atramentem.

Zbyttnia skłonność do uogólnień, naciągania faktów, siatka rzekomych połączeń i związków narzucona na chaos.

Trochę tego mało jak na wieki istnienia Khuruny, prawda? Czyżby jej agenci byli aż tak skuteczni, że zdołali zatrzeć wszelkie ślady, pozostawiając jedynie śmiechu warte morskie legendy?

Strasznie te rewelacje naciągane.

Grudniowy wicher uderzał w szyby okien, jęczał wśród wysokich drzew otaczającego dworek parku. W oddali ujadały psy.

Emanuel poczuł się senny. Odłożył książkę, zgasił lampę. Pociągnął jeszcze łyk z butelki, potem przymknął oczy.

A jeśli to prawda? z niepokojem myślał wsłuchany w nocne odgłosy. Może to wcale nie jest szaleństwo? Może to świat właśnie jest szalony i tylko na nasz użytek przybiera maskę racjonalności. Maskę, pod którą czai się groźny chaos.

Czy to możliwe, że pod powierzchnią rzeczywistości naprawdę działają jakieś wrogie niewidzialne siły? Wszystko wydaje się na pozór takie zwyczajne, uporządkowane, materialne, dotykalne, wyczuwalne naszymi zwierzęcymi zmysłami, ale wystarczy przecież nieznaczne przesunięcie osi współrzędnych i cała konstrukcja zaczyna się chwiać. Jednoznaczność świata zostaje zakwestionowana.

A może sprawił to sam Emanuel Henzelmann? Przy okazji fotografii z ulicy Mikołajskiej pojawiła się groźna rysa na gładkiej powierzchni rzeczywistości. Ledwo widoczne zadrapanie. Może trzeba było zostawić to w spokoju? Nie drażnić uspiionej bestii?

Czyżby komisarz zbyt intensywnie wpatrywał się w tę ryse?

Czyżby właśnie pod wpływem jego uporczywego spojrzenia powstała w tym miejscu szczelina, dając początek jakiejś bocznej odnodze rzeczywistości, która teraz, w zupełnie niekontrolowany już sposób, zaczęła rozrastać się gdzieś w głąb siebie niczym nowy mroczny wszechświat?

Czy to prawdopodobne, że to co do tej pory wydawało się tylko leciutkim, cienkim jak włos pęknięciem, stało się nagle otwartymi na oścież drzwiami do innego, niezbadanego wszechświata?

Otworzyła się otchłań?

Nie, to przecież wierutne bzdury, czyste brednie, nic więcej. Za zmyśloną, całkowicie

bajkową Khuruną i tymi nedorzecznymi naukowymi koncepcjami stoją zapewne zwykli ludzie, oszuści, których trzeba po prostu zdemaskować. Wymyślili to bractwo, żeby manipulować ludźmi.

Tak, trzeba ich zdemaskować. Oto prawdziwe wyzwanie dla takiego łowcy szarlatanów, za jakiego uważał się Emanuel Henzelmann. Nie żadna tam lewitująca Włoszka, nie duchy z Marsa ani podrzędni spirytyści, tylko naprawdę gruba afera.

Ktoś nabiera naiwnego profesora i równie łatwowiernego chirurga, bardzo umiejętnie wykorzystując to, że w każdym człowieku tkwi - często głęboko ukryta - potrzeba irracjonalności. Biedacy biorą te rewelacje za dobrą monetę. Cóż, nie ma się co tak bardzo dziwić. Nawet Emanuel bliski był przez chwilę połknięcia haczyka, na szczęście zdrowy rozsądek zwyciężył.

Policyjny nos go nie zawiódł.

Takie oto myśli atakowały głowę Emanuela, kiedy leżał w obcym łóżku, oszołomiony alkoholem i wydarzeniami ubiegłego dnia.

Wreszcie zasnął.

Śniły mu się skąpane w szkarłatnym świetle lasy, jakieś jałowe rozłogi i niedostępne skaliste wybrzeża, do których zbliżały się zagubione karawele. Nieznane terytoria ukryte w fałdach widzialnego świata.

Słyszał wycie wiatru i szum czarnego oceanu.

Widział mroczne postacie na brzegu: nagie ciemnoszare gady oczekujące na przerażonych marynarzy. A w tle, na horyzoncie, zamglone zimnoniebieskie, złowrogie niebo.

Czekamy tu na ciebie, czekamy... - rozbrzmiewało głuche jakieś dudnienie w głębi jego uśpionego umysłu. Czekamy...

Zerwał się spocony i przerażony, nie mogąc sobie przez chwilę uprzytomnić, gdzie jest i co takiego straszego się stało. W końcu rozbudził się zupełnie. Kołaczące szaleńczo serce uspokajało z wolna swój rytm, po chwili wszystko wróciło do normy.

Muszę zacząć pić jakieś ziółka na uspokojenie, pomyślał sennie, już nie dla mnie taki nerwowy tryb życia. Jak wyjaśnię do końca tę podejrzaną historię, zajmę się tylko książkami i nauką języka. To znacznie bezpieczniejsze i zdrowsze.

Z tą myślą Henzelmann odwrócił się z westchnieniem na bok i zasnął ponownie.

Ulica Szpitalna

- Musi to być, Antek, że sprawa jest z jakąś kobietą, jak nic - rzekł poważnie stróż, usunąwszy przyzmę śniegu z chodnika przed bramą kamienicy. - Babę sobie nasz komisarz znalazł i tyle. Normalna rzecz.

- Uważa pan?

- Proste.

- Z kobietą się niby umawia?

Drewniana szufla znów zazgrzytała o kamień.

- A z kim myślałeś? - uśmiechnął się stróż. - Z tym Żydem, co handluje dziurawymi garnkami?

Antek wykrzywił się.

- No chyba nie.

- Też tak myślę. Miłosna jest jakaś sprawa, bez dwóch zdań. Znaczy sercowa. Za nic nie uwierzę, żeby pan Henzelmann wplątany był w kryminalną aferę. Znam go trzydzieści lat i jedno mogę powiedzieć: święty człowiek.

- To akuratnie prawda.

- Sam widzisz.

Stróż odsłonił kolejny fragment chodnika, po czym z ciężkim westchnieniem odłożył szuflę, sięgnął do kieszeni kożucha, wyjął z niej fajkę i zapalki. Odwrócił się plecami do wiatru.

- Czasami, owszem, napije się, ale honorowy przy tym jest jak mało kto - powiedział, zapaliwszy fajkę. - Znaczy, nie robi awantur, tylko cicho u siebie siedzi. Czasami coś do kota gada.

Antek Leśniewski głośno pociągnął nosem.

- No ale przecież policja pytała o niego wczoraj?

Był to dwudziestoletni może chłopak - ani ładny, ani brzydki. Nijaki. Wprawdzie bardzo wysoki i dodatkowo szeroki w barach jak trzeba, za to kanciasty i niezgrabny, jakby dopiero

wypróbowywał możliwości swojego wielkiego ciała.

Słowa stróża wcale go nie przekonywały.

Jakoś nie potrafił sobie wyobrazić pana Henzelmana spędzającego upojną noc w towarzystwie wyuzdanej komediantki. Służył u niego dopiero dwa miesiące, ale zdążył już sobie wyrobić zdanie na temat pracodawcy.

- No i cóż z tego, że się policja pytała? - obruszył się stróż, wypuściwszy z ust kłęb dymu.

- Przecież to były komisarz, pamiętaj. Pewnikiem potrzebują mądrej rady, więc się o niego usilnie dopytują. Bo przecież głowę ma pan Henzelmann wciąż na karku. Mam rację czy nie mam?

- Pewnie, że tak - odrzekł z mocą Antek.

- Może to nawet sprawa tej biżuterii z hotelu, kto wie?

- Myśli pan?

Stróż zamyślił się, patrząc gdzieś w głąb ulicy.

- Niewykluczone - zdecydował w końcu.

- Na ile ją wycenili?

- Nie pamiętam już.

- Ale musi być dużo, nie?

- Bardzo dużo, Antek. Starczyłoby ci do końca życia.

Chłopak pokręcił tylko głową z miną wyrażającą bezgraniczne zdumienie. A to się złodzieje obłowili!

- Widzisz, Antek, nasz komisarz to ciągle jeszcze niczego sobie mężczyzna. Wysoki i postawny. Kobietom się podoba. W dodatku wdowiec. Ile to już lat od śmierci jego biednej żony?

- Ze trzy.

- Co najmniej... - Stróż ponownie zamyślił się na moment. - A widziałeś przecie te turkaweczki, co go odwiedzały ostatnio?

- Była taka. W dużym kapeluszu. Wyglądała na aktorkę.

- Ano właśnie... - Stróż zmrużył prawe oko, a potem uśmiechnął się pod strzępiastym wąsem. - Też ją widziałem. Musi być, że romans. Został u niej na noc, tyle ci powiem, Antek. Jak byłem młodszy, też zdarzało mi się sypiać w cudzej pościeli. Miało się ten rozmach, jak to mówią. Poczekajmy do wieczora. Jak nie wróci, wtedy będziemy myśleć. Pójdiesz mi po piwo?

- Pójdę. I tak nic do roboty teraz nie mam.

- To weź dwa i powiedz, żeby dopisali.

- Ostatnio mówili...

- Jakby się czepiali, powiedz, że w piątek najpóźniej będę miał pieniądze - przerwał mu stróż i chwycił za szufłę. - A jak nie w piątek, to w poniedziałek. Leć szybciotko, bo zamkną.

Antek skinął głową i rażno ruszył ulicą Szpitalną w stronę Małego Rynku. Śnieg skrzypiał pod butami, wiatr przeszywał na wylot cienkie paletko, było zimno. Brr, jaki mróz. Chłopak skulił ramiona i opuścił głowę. Nie dość, że zmarzł, to był jeszcze głodny. Piekielnie głodny.

Kiedy dzisiaj rano kucharka pana Henzelmana - gruba i krzykliwa baba, która przychodziła gotować i prać - dowiedziała się, że gospodarz nie wrócił na noc, burknęła tylko coś pod nosem i ciężko obrażona wróciła do siebie. Antek był więc zdany na obiad w jadłodajni na Szewskiej.

Trudno.

Baba wprawdzie okropna, brzydka i kłótniwa, ale gotować i piec potrafi jak mało kto. Na samą myśl o jej obiadach żołądek Antka zaczął głośno upominać się o swoje prawa. Czernina z zajacą z kluseczkami, łazanki z serem, barszcz ze śmietaną i kartoflami, krupnik z perłową kaszą, bigos hultajski z kapustą, szczupak ze śmietaną i chrzanem...

Naleśniki przekładane serem.

Znalazł się na Małym Rynku. Po prawej stronie zobaczył już Sukiennice i górującą nad nimi wieżę Ratuszową, wokół której krążyła chmara czarnego ptactwa.

Restauracja i piwiarnia znajdowały się naprzeciwko wejścia do kruchty kościoła Mariackiego. Przed tym właśnie wejściem, obok gazowej latarni, stał teraz jakiś zakapturzony mnich.

Ciekawe, czy oni żywią się tylko chlebem i wodą? pomyślał Antek. Chyba nie, bo wielu z nich wygląda całkiem zdrowo, a niektórzy chowają nawet pod habitami potężne brzuszyska.

Ot, choćby jak ten tutaj - istna beczka na piwo.

Antek też chciał w dzieciństwie zostać księdzem. Trwało to póty, póki nie zapragnął gorąco przyjąć się w wieku lat dwunastu do oddziału powstańców. Jednakże to pragnienie też nie przetrzymało próby czasu, a raczej - konfrontacji z rzeczywistością. Ojciec wytłumaczył mu pewnego dnia, że powstanie skończyło się przed siedmiu laty, co było dla chłopaka potężnym szokiem.

O pracy służącego nie marzył za to nigdy.

Ale cóż, skoro ojciec kazał mu jechać do Krakowa i zatrudnić się u pana Henzelmana, to nie ma rady. Z ojcem się nie dyskutuje, za ciężką ma rękę.

Otyły mnich odwrócił się nagle w stronę chłopaka i energicznym krokiem ruszył w jego

kierunku. O co mu chodzi? zastanowił się Antek. Oprócz nich na ulicy nie było w tej chwili nikogo. Przecież tamten nie może wiedzieć, że chłopak już od trzech tygodni nie pokazuje się w kościele. Zresztą to chyba nie powód do wyłapywania ludzi na ulicach, nie?

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - powiedział Antek słabym głosem, kiedy otyły mnich zagroził mu drogę.

Zamiast odpowiedzieć: „Na wieki wieków”, duchowny niespodziewanie chwycił chłopaka za kołnierz i z dużą siłą przyciągnął do siebie.

- Nakarmiłeś kota, gamoniu? - spytał szeptem.

Młody człowiek na chwilę zaniemówił z wrażenia.

- Pan Emanuel? - wybąkał wreszcie.

- Nie. Święty Tomasz z Akwinu - odparł komisarz z szelmowskim uśmiechem. Nie potrafił ukryć zadowolenia. Pomyśleć, że wystarczą dwa worki, trzy poduszki i sznurek, żeby chłopak zaczął się u niego spowiadać.

- Ale czemu...

- Słuchaj, Antek, jest mało czasu. Masz tutaj kartkę z listą rzeczy, które przyniesiesz mi z mieszkania. Rewolwer jest schowany w szufladzie nocnego stolika, a pieniądze znajdziesz w wazonie na szafie obok okna. Odlicz tam sobie tyle, ile będzie ci potrzebne na miesiąc, a resztę tu przynieś. Biegnij, bo mi zimno.

- Tylko że miałem piwo stróżowi przynieść...

- U kogo pracujesz, gamoniu? U stróża czy u mnie?

- Już leczę, panie Henzelmann.

Wrócił po piętnastu minutach, dźwigając z ogromnym wysiłkiem potężną walizkę, zdyszany i podekscytowany.

- Tropi pan złodzieja biżuterii? - spytał, złapawszy wreszcie oddech.

- Powiedzmy - odparł poważnie Emanuel, zaglądając do walizki. - Ale to ścisła tajemnica, rozumiesz?

- Pewnie, że tak - odpowiedział chłopak.

- Gdyby ktoś o mnie pytał, powiedz, że wyjechałem do Pragi. Nie, lepiej do Wiednia. I pamiętaj o Kapitanie Nemo, bo...

- Będę pamiętał, panie komisarzu - powiedział z przekonaniem chłopak.

- Spróbuj nie.

Antek uśmiechnął się nieśmiało, patrząc gdzieś w bok.

- I naprawdę cieszę się, że nie ma pan żadnej kobiety.

- Słucham? - Henzelmann podniósł wzrok znad otwartej walizki.

- Znaczy, że się pan z tymi aktorkami nie umawia.

* * *

Kilka minut później Emanuel siedział już w saniach obok Leopolda Kijańskiego, który towarzyszył mu w tej wyprawie uzbrojony w rewolwer i myśliwski nóż. To na wypadek gdyby spotkali w Krakowie Szczerbatą Mamuszkę.

Z taką babą nie ma przecież żartów!

- Zabrał pan co trzeba? - spytał profesor, kiedy sanie ruszyły ulicą Sienną w stronę Plant. Na koźle siedział ten sam woźnica, z którym jechali wczoraj: długobrody milczący chłop w skórzanej czapie.

- Raczej tak - odpowiedział Emanuel.

- To dobrze. Mam nadzieję, że nikt nawet nie podejrzewa, gdzie się pan zatrzymał?

- Powiedziałem chłopakowi, że wyjeżdżam do Wiednia - zakomunikował komisarz, jeszcze raz przeglądając zawartość walizki, tym razem szczegółowo. - Ten smarkacz chyba myśli, że tropię jakąś kryminalną aferę.

- Jaką aferę?

- Coś z kradzieżą biżuterii. W dodatku podejrzewa mnie o romans z kobietą, która odwiedziła mnie w listopadzie.

- No i bardzo dobrze - uśmiechnął się profesor. - Teraz trzeba uważać, czy nikt za nami nie jedzie.

Emanuel odwrócił głowę, ale zobaczył tylko wychodzącego z bramy węglarza z koszem na plecach oraz przebiegającego przez ulicę chudego psa ze stulonymi z zimna uszami. Poza tym nikogo. Wyglądało na to, że nikt ich nie śledzi. Chyba że tak dobrze się maskują, pomyślał.

Przecież to nie amatorzy.

- Dokąd teraz jedziemy? - zapytał komisarz.

- Tym razem do klasztoru w Mogile. Chcę panu pokazać coś interesującego.

- W klasztorze Cystersów?

- Sam pan zobaczy.

* * *

Właściwie dlaczego w tym uczestniczę? zastanawiał się, kiedy opuszczali miasto. Czemu po prostu nie powiadomię policji i nie wrócę spokojnie do domu? Co mi da, że zdemaskuję jakichś szarlatanów kierujących dziwacznym bractwem? Nie lepiej zająć się spokojnie

zaginioną księgą Mikołaja Kopernika?... Bez pogoni, ucieczek i wszystkich tych nerwów?

Cała historia z ukrytym archipelagiem wydawała się przecież czystym szaleństwem. Zarówno profesor Kijański, jak i doktor Blumenstog byli zapewne ofiarami wielkiego oszustwa, przyłączyli się do jakiegoś fikcyjnego bractwa powołanego przeciw fikcyjnej sprawie. Tym powinna się zająć policja, a nie on.

Nic nadprzyrodzonego się za tym nie kryje, zbyt grubymi nićmi jest to szyte, na kilometr widać oszustwo.

A biedni panowie zdziecinnieli nieco na starość, zatracili kontakt z rzeczywistością do tego stopnia, że upozorowali śmierć Leopolda Kijańskiego, a teraz porwali Emanuela, starając się przekonać go, że mieszkańcy równoległego świata - mroczne stworzenia pochodzące od gadów - przenikają do Krakowa i terroryzują jego mieszkańców.

Albo ten kataryniarz.

Opowieść o diabolicznym arystokracie z Bukaresztu, którą młody człowiek podzielił się z Emanuelem tego ranka, wydawała się żywcem wyjęta z jakiegoś marnego operowego libretta. Nawet kucharki skwitowałyby tę historię śmiechem. Radu Lupescu, wampir za dwa złote reńskie.

Wszystko to brzmiało jak opowieść nawet nie szaleńca, lecz kiepskiego blagiera.

Mimo to Emanuel nie skorzystał z okazji i nie uciekł do domu. Nie poinformował również policji. Czuł, że ta dziwna historia zaczyna go wciągać.

Prawdziwa czy nie, była na tyle fascynująca, że i tak nie potrafiłby się od niej teraz uwolnić.

Działo się coś niesamowitego, a komisarz kochał wszystko co niesamowite i tajemnicze. Powrót do szarej rzeczywistości wdowca w tej sytuacji nie wchodził raczej w grę. Tutaj działy się rzeczy znacznie ciekawsze i bardziej emocjonujące.

Nawet jeśli - a wiele na to wskazuje - jest to tylko zabawa, rodzaj dziwacznej gry i mistyfikacji.

Leopold Kijański jakby czytał w jego myślach.

- Wciąż nie jest pan do końca przekonany, prawda? Doskonale pana rozumiem, panie Henzelmann, nawet dziecku trudno byłoby przelknąć podobne rewelacje. Zdziwiłbym się raczej, gdyby uwierzył nam pan od razu i bez zastrzeżeń.

Emanuel zastanawiał się przez chwilę, zanim powiedział:

- Mam jeden wielki mętlik w głowie, profesorze. Sam już nie wiem, co o tym myśleć.

- Przyznam panu szczerze, że ja nie wierzę ani trochę w ten archipelag - niespodziewanie oznajmił Leopold Kijański.

- Proszę?... - Emanuel pomyślał, że się przesłyszał.

- Wszystko to bujdy!

- Nie rozumiem...

Profesor zrobił do niego oko, po czym wybuchnął gromkim śmiechem.

- Żartowałem - powiedział po chwili.

- Ach, tak...

- Czy musimy być aż tak bardzo poważni, panie Henzelmann?

Emanuel odchrząknął zakłopotany.

- Oczywiście, że nie.

- Też tak myślę - rzekł profesor. - Ale teraz już będę poważny: kiedy pierwszy raz usłyszałem o Khurunie, a było to około czterdziestego roku, też nie mogłem uwierzyć. Naprawdę. Dopiero przygoda, która spotkała mnie w peruwiańskich Andach, sprawiła, że spojrzałem na ten problem w zupełnie nowy sposób. Po powrocie z Ameryki Południowej nie miałem już wątpliwości.

- Co się wydarzyło w Andach? - zapytał Emanuel. - Czyżby spotkał pan tam osobiście obce istoty?

- Można to chyba tak ująć - odparł profesor.

- Niemożliwe!

- A jednak!

Emanuel westchnął przeciągle.

- Pewnie znów pan żartuje, profesorze.

- Mówię jak najbardziej poważnie, panie Henzelmann - powiedział Leopold Kijański, położywszy prawą dłoń na sercu. - Słowo honoru.

Ale Emanuel wcale nie był przekonany. Dziwne poczucie humoru profesora zamiast rozładować napięcie, jeszcze bardziej zmieszało komisarza. Ciągłe oscylowanie między śmiechem a powagą wydawało mu się co najmniej dziwaczne. Jakby ktoś zabawiał się jego kosztem.

A więc: szaleńcy czy żartownisie?

- Opowie mi pan o tym?

- O istotach z Andów?

- Tak.

- A ma pan ochotę posłuchać?

- Też mi pytanie! Oczywiście, że tak. Z najdrobniejszymi szczegółami, tak żebym poczuł, że tam jestem.

- Obawiam się, panie Henzelmann, że drobnych szczegółów już nie pamiętam, to było wiele lat temu.

- A więc niech pan wymyśla szczegóły, profesorze - zaśmiał się Emanuel. - Mnie to nie przeszkadza, jeśli tylko opowieść będzie ciekawa. Przecież i tak zawsze po trosze zmyślamy, nawet opowiadając prawdziwe historie, prawda?

- Bardzo dobrze pan to ujął - przyznał profesor. - Ciekawa baśń jest więcej warta niż nudna prawda. Pisarze i historycy wiedzą to najlepiej. Zapamiętujemy tylko to, co pobudza naszą wyobraźnię. Tylko to jest prawdziwe, co przemawia do serca.

- Jestem gotów - rzekł Emanuel, aby czym prędzej uciąć te mądrości.

- W takim razie proszę posłuchać, co przydarzyło mi się w Andach...

Peruwiańska opowieść Leopolda Kijańskiego

Niebo wisiało nisko, dzień był chmurny. Pudło sań ślizgało się po zasypanych śniegiem drogach.

- W Peru znalazłem się w kilka tygodni po przebyciu boliwijskich dżungli, czyli nie później niż w tysiąc osiemset pięćdziesiątym piątym roku - rozpoczął opowieść Leopold Kijański, rozparłszy się wygodnie w saniach. - Wraz z moim angielskim przyjacielem, nieodżałowanym profesorem Robertem Richardsonem, od dawna planowaliśmy wyprawę w Andy Środkowe. Szczęśliwy traf chciał, że w tym czasie znaleźliśmy się równocześnie blisko Peru. Kiedy ja odpoczywałem po trudach boliwijskiej wyprawy, mój przyjaciel był właśnie w drodze do Buenos Aires, gdzie miał się odbyć jakiś przyrodniczy kongres. Dowiedziawszy się o tym, natychmiast wysłałem do stolicy Argentyny list, w którym zaproponowałem profesorowi wspólną eskapadę. Na odpowiedź musiałem czekać aż dwa miesiące, ale mój angielski przyjaciel zareagował entuzjastycznie, jak przystało na człowieka nauki i odkrywcę. Żaden prawdziwy przyrodnik nie przepuści przecież takiej okazji, mam rację? Peru, tropikalne lasy, lodowce, słone jeziora... Naturalnie naszą wyobraźnię pobudzała nie tylko peruwiańska flora i fauna, lecz również opowieści o zamieszkującej niegdyś te tereny starożytnej cywilizacji oraz pozostawionych przez nią skarbach.

- Legendarne złoto Inków - uśmiechnął się Emanuel. - W młodości ja również marzyłem o jego odnalezieniu.

- Właśnie. Któż o tym nie marzył? Wszyscy zapewne pragnęliśmy kiedyś odnaleźć to, co Inkowie ukryli przed Hiszpanami, prawda? Toteż kiedy nadarzyła się wreszcie okazja, postanowiliśmy wyprawić się w owe dzikie rejony i spróbować szczęścia jako poszukiwacze skarbów. Wprost z Boliwii udałem się do dawnej stolicy Inków, Cuzco, gdzie czekał już na mnie profesor Richardson, który kilka dni wcześniej przybył z Argentyny. Spędziliśmy w Cuzco nieco ponad dwa tygodnie, starannie przygotowując się do trudnej wyprawy. Przez ten czas załatwiliśmy wszelkie formalności z miejscowymi urzędnikami, wynajęliśmy ludzi i zwierzęta oraz zakupiliśmy to, co uważaliśmy za niezbędne do podróży.

- Wyruszyliśmy na początku lutego. Pamiętam tamten zimny poranek, jakby to było wczoraj. A chyba nawet lepiej. Przepelniała nas euforia, jakże inaczej, oto wreszcie zaczęła się wielka przygoda. Niestety, dobre humory szybko ustąpiły miejsca zniechęceniu i rozczarowaniu. Szlaki, którymi przyszło nam się poruszać, były o tej porze roku w fatalnym stanie, w dodatku niemal przez całą drogę towarzyszył nam ulewny deszcz. Teraz już wiem, że luty to najgorszy miesiąc na takie wyprawy, lecz wtedy nie mieliśmy przecież żadnego doświadczenia. Andy to nie to samo co boliwijska dżungla. No nic, trudne warunki, jak pan doskonale wie, nie zniechęciły nas. Posuwaliśmy się dalej w kierunku północno-wschodnim, powoli, bo powoli, determinacji nam jednak nie brakowało. Z kotliny Cuzco zeszliśmy na trawiastą bezdrzewną równinę Anta i pod wieczór przybyliśmy do niewielkiego miasteczka, którego nazwy niestety już nie pamiętam. Nic specjalnego, tyle mogę powiedzieć. Po spędzonej tam nocy udaliśmy się w dalszą drogę. Korzystając z prowizorycznych mostów, przekroczyliśmy wezbrane rzeki Limatambo i Blanco. Następnego dnia zeszliśmy stromym szlakiem do miasta Curahuasi. Z każdą godziną marszu wędrówka stawała się coraz bardziej uciążliwa. Niesiony wiatrem deszcz chłostał twarze. Posuwaliśmy się w ślimaczym tempie. Na czele jechał nasz peruwiański przewodnik, porucznik Marcelino Maria Samanez, tuż za nim profesor Richardson, potem ja, a na końcu młody Indianin poganiający cztery objuczone muły. Wszyscy skuleni w grubych ponchach, przykryci pledami, w filcowych kapeluszach naciśniętych niemal na oczy. Walcząc z wiatrem i ulewą, to wspinaliśmy się po stromych zboczach, to zstępowaliśmy w dół po zwaliskach skalnych bloków. Lepiej było nawet nie spoglądać na boki, gdzie otwierały się potężne przepaście. Zaręczam panu, że ich widok nie dodaje człowiekowi otuchy.

- Z łatwością mogę to sobie wyobrazić - rzekł poważnie Emanuel, który bywał najwyżej na skałkach podkrakowskich.

- Oczywiście na równinach także natrafialiśmy na rozmaite przeszkody. Cała ta kraina jest piekielnie trudna do przebycia. Musieliśmy omijać bagna i rozlewiska czarnej wody, przecinaliśmy huczące strumienie, przedzieraliśmy się przez bambusowe zarośla, ale było to, ma się rozumieć, dużo mniej uciążliwe i niebezpieczne niż sama wspinaczka. Kiedy szliśmy pod górę, a konie potykały się o głazy i ślizgały na glinie, musieliśmy mocno szarpać za uzdy, aby utrzymać je na nogach. W wielu miejscach zwierzęta wdzierały się na zbocza rozpaczliwymi doprawdy zrywami. Czasami kładły się pod nami ze strachu i zmęczenia, tak że trzeba było zeskakiwać z siodła i prowadzić je za sobą. Jeszcze częściej zdarzało się, że obciążone workami muły uciekały w gęste zarośla, więc musieliśmy je gonić. To oczywiście bardzo spowalniało wędrówkę. Byliśmy zniechęceni i bardzo zmęczeni. Wilgotna

ziemia osuwała się pod nogami, a potracone kopytami kamienie staczały na dno urwiska, nie pozwalając nam ani na moment zapomnieć, jak wysoko już się znajdujemy.

Profesor zrobił przerwę, jak gdyby na nowo przygniotły go niedogodności i niebezpieczeństwa wędrówki sprzed niemal ćwierćwiecza.

- Na szczęście w końcu pewnego dnia wypogodziło się - podjął po krótkiej chwili. - Wreszcie mogliśmy nacieszyć oczy wspaniałymi widokami. Były doprawdy oszałamiające i całkowicie rekompensowały niedogodności podróży. Olśniewająco białe lodowce i ośnieżone zbocza sąsiadowały w tym rejonie z intensywnie zieloną roślinnością dżungli oraz szmaragdowymi plantacjami trzciny cukrowej. Błękitnobiałe szczyty gór lśniły w porannym słońcu jak drogocenne klejnoty. Żaden malarz nie byłby w stanie oddać bogactwa tamtejszych kolorów. Wyszliśmy na wysokość czterech tysięcy czterystu metrów. Powietrze było rozrzedzone, mogliśmy jednak oddychać swobodnie. W siódmej lub ósmej godzinie marszu, w każdym razie już po południu, trafiliśmy na pradawną, najpewniej inkaską drogę, ułożoną z wielkich kamiennych płyt. Pamiętam, że gęsta mgła spowijała cały ten kręty szlak. Minęliśmy podmokłą łąkę i dostaliśmy się na szeroki półkolisty taras. Stamtąd strome zejście zaprowadziło nas do niewielkiej wioski przycupniętej na skraju plantacji. Sprawiała bardzo nędzne wrażenie, kilkanaście chat i zaniedbany kościółek, mimo wszystko postanowiliśmy zatrzymać się w niej na noc.

- Zadziwiające, że ludzie potrafią żyć w tak trudnych warunkach - powiedział Emanuel Henzelmann, korzystając z tego, że profesor znów zrobił przerwę, tym razem aby wytrzeć nos.

- Tamtejsi Indianie mają się zupełnie dobrze, zapewniam pana - odparł z uśmiechem Leopold Kijański, składając chustkę z wyhaftowanym monogramem. - Uprawiają trzcinę cukrową, kukurydzę, ziemniaki, hodują owce i nie muszą przy tym obawiać się napadu obcych, bo nikomu przecież nie będzie się chciało tak wysoko wspinać. Co najwyżej takim szaleńcom jak ja albo profesor Richardson. Ale do rzeczy. Znaleźliśmy gościnę właśnie w domu Indianina, miejscowego szamana, starego mężczyzny w kapeluszu, z długimi włosami splecionymi w warkoczyki. Dom to zresztą zbyt dużo powiedziane, ot, prymitywna chata. Zawsze to jednak jakiś dach nad głową, więc z radością skorzystaliśmy ze schronienia. Właśnie tam, jedząc fasolę i pijąc paskudne piwo z kukurydzy, po raz pierwszy usłyszeliśmy o grobowcach demonów z Krainy Mgieł.

- Demony z Krainy Mgieł? - przerwał Emanuel. - Tak Peruwiańczycy nazywają naszych szarców? Przyznam, że brzmi to o wiele bardziej poetycko.

- Też tak uważam - odparł profesor zadowolony z wrażenia, jakie jego opowieść

wywierała na komisarzu. - Tak na marginesie: wśród niektórych plemion Indian Boliwii istoty te znane są jako wodni ludzie albo synowie nocy. To tylko dowodzi, że nie wiadomo skąd tak naprawdę pochodzą, prawda? No nic, w każdym razie o demonach z Krainy Mgieł dowiedzieliśmy się właśnie od naszego gospodarza, który jak już wspomniałem, był miejscowym szamanem.

Emanuel odchrząknął.

- Wspominał pan również, że w wiosce był kościół...

- Rozumiem, co ma pan na myśli - powiedział Leopold Kijański. - Śpieszę więc z wyjaśnieniem: wprawdzie wiara katolicka stała się w Peru integralną częścią życia, w obrzędach przetrwały wszelako rdzenne wierzenia, a te, podobnie zresztą jak w wielu innych miejscach na ziemi, były i są nadal kształtowane poprzez wizje szamanów.

- Czarowników?

- Wychodzi na to samo. Nasze latające na miotłach czarownice to po prostu szamanki w transie, który wedle ich wierzeń umożliwia im przechodzenie pomiędzy światami i kontakt z duchami przyrody.

- Czyli ten lot nie odbywa się w naszym wymiarze?

- Nie. To obszar symboliczny.

- Ciekawa wizja - stwierdził Emanuel. - Bardzo oryginalna.

- Tak, szamanistyczne postrzeganie świata różni się diametralnie od naszego europejskiego oglądu.

- Niewątpliwie tak, chociaż prawdę powiedziawszy, niewiele o tym wiem.

Profesor odchrząknął, przygotowując się do wykładu.

- Wymiar rzeczywisty i królestwo duchów splatają się tam, że tak powiem, w jedną organiczną całość - zaczął profesorskim zaiste tonem. - Granice między jawą a snem, między światem ludzi a siłami przyrody przestają właściwie istnieć. Złe i dobre duchy czają się wszędzie. Przybierają postacie roślin, zwierząt czy osób zmarłych. Nieustannie zresztą zmieniają kształty. W ten sposób wpływają na ludzkie życie. Można się przed nimi bronić bądź też przywoływać je za pomocą czarów, zaklęć, przeróżnych rytuałów. Tego rodzaju widzenie rzeczywistości leży zresztą u podstaw większości dzisiejszych religii, nie tylko w Ameryce Południowej.

Przez jakiś czas milczeli zamyśleni. Sanie minęły rachityczny zagajnik i wydostały się na otwartą przestrzeń, pustą jak powierzchnia zamrożonego jeziora.

- Czyż wydarzenia, w których bierzemy właśnie udział, nie wpisują się idealnie w ten, jak pan to ujął, szamanistyczny obraz rzeczywistości? - spytał nagle Emanuel sam zaskoczony

sformułowanym właśnie wnioskiem. - Proszę zauważyć, że posługując się tak zwanym zdrowym rozsądkiem i metodami naukowymi, jesteśmy wobec zaistniałych wypadków bezradni jak dzieci. Tymczasem dla peruwiańskich Indian wydarzenia takie nie kłócą się wcale z powszechnie przyjętym porządkiem świata.

- Ma pan całkowitą słuszość, komisarzu. Indianie, Murzyni, a nawet ludy zamieszkujące Syberię radzą sobie z tym problemem dużo lepiej niż my.

- Przepraszam, ale ja przecież wciąż zmieniam temat. Po prostu to wszystko jest takie interesujące.

- Nic nie szkodzi, mamy czas... Tak więc wspólnie z profesorem Richardsonem nocowaliśmy wtedy w chacie szamana. Przewodnik i poganiacz znaleźli schronienie w innej. Trzeba przyznać, że już sama postać naszego gospodarza budziła dreszcz: przez całą noc siedział w kącie chaty nieruchomo jak skała, a jego starcza twarz pod filcowym kapeluszem przypominała w blasku ogniska rytualną maskę. - Łatwo zatem sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywołała na nas historia, którą opowiedział.

- Umieram wprost z ciekawości - znowu przerwał mu Emanuel, nawet nie próbując ukryć ogarniającego go entuzjazmu.

Nie ma to jak dobra opowieść.

* * *

Konie rwały z kopyta, lecz woźnica i tak podcinał je batem. Sanie mknęły teraz poprzez pokryte śniegiem pola. Grały dzwoneczki, dziarsko skrzypiały płozy, nad głowami podróżnych krakały wrony. Jak okiem sięgnąć, aż po horyzont, rozpościerała się biała równina. W oddali stały wiejskie chałupy, a w niebo szły dymy z kominów - jedyne oznaki życia w tej okolicy.

- Okazało się, że nasz gospodarz mówi doskonale po hiszpańsku - kontynuował opowieść Leopold Kijański - co w tamtych rejonach jest nie lada rzadkością, ponieważ większość mieszkańców posługuje się jedynie keczua, czyli językiem Inków.

- Czyżby ten język wciąż jeszcze był żywy? - spytał komisarz, którego takie tematy zawsze żywo interesowały.

- Jak najbardziej, panie Henzelmann. Zresztą właśnie z keczua pochodzą takie słowa, jak: inka, lama czy puma.

- Może uda mi się znaleźć gdzieś podręcznik. Mam doskonałą metodę nauki obcego języka, którą na swój użytek nazwałem „metodą dorożkową”. Chodzi mniej więcej o to... Przepraszam, już nie przerywam.

- Podczas wspomnianej przeze mnie kolacji gościnny szaman zapytał nas z niewzruszoną twarzą, po co właściwie przyjechaliśmy w Andy. Odparłem, zgodnie zresztą z prawdą, że poszukujemy śladów imperium Inków. „Czyli szukacie złota?” zapytał wciąż z kamienną miną. Odpowiedzieliśmy, choć już mniej szczerze, że niekoniecznie złota, po prostu interesuje nas każda rzecz mająca coś wspólnego z tamtą cywilizacją, czyli ruiny, cmentarzyska, ceramika, broń i narzędzia.

- Nie uwierzył nam. „Szukacie złota. Wszyscy go szukają”, powiedział bez cienia uśmiechu na swej miedzianej twarzy. Nie ma co ukrywać, zmieszaliśmy się odrobinę, tego człowieka nie dało się chyba oszukać. Jego czarne oczy emanowały niemal magnetyczną siłą. W końcu zapytałem więc wprost, czy jest w okolicy złoto. Czy wie coś o skarbach Inków. Odpowiedział, że znajduje się tu wiele nie odkrytych jeszcze skarbów, ale nie można ich nawet ruszyć, ponieważ należą do demonów z Krainy Mgieł, które są prawdziwymi panami tej krainy.

- Rzecz jasna, potraktował pan to jako bajeczkę na użytek białych.

- Tak. Musiał zresztą dostrzec niedowierzanie na naszych twarzach, bo natychmiast przestrzegł nas, abyśmy nie lekceważyli tych słów. „To nie jest jedynie miejscowa legenda”, powiedział. „Te stworzenia istnieją naprawdę. Mieszkają w okolicach Jeziora Kondorów, gdzie pojawiły się tysiące lat przed pierwszymi ludźmi. Lepiej nawet nie zastanawiać się, skąd przybyły. Nasz świat to nie jest ich naturalna rzeczywistość, ale sprawują nad nim kontrolę, przynajmniej w miejscach takich jak Środkowe Andy. To prawdziwa okupacja trwająca od wielu, wielu lat. Cicha, niemal niedostrzegalna okupacja, i to nie tylko w Andach. Już dawno zostaliśmy pobici i zniewoleni. Nasi okupanci przypominają gady, potrafią przybierać także ludzką postać. Często się maskują, aby przenikać niezauważalnie do naszego świata.” Czyli jak pan widzi, panie Henzelmann, szaman mówił niemal dokładnie wszystko to, co członkowie naszego bractwa wiedzą o szarcach. Zresztą Indianie wiedzieli o tym o wiele wcześniej niż my. Istnieje w Ameryce Południowej wiele legend o potworach przybierających postać księżniczek, wojowników, a także zwierząt, najczęściej węży i jaguarów. Peruwiańscy Indianie nauczyli się żyć z potworami w zgodzie. Nie wchodzi na tereny należące do prastarych istot, w zamian nie są przez nie zbyt nękani, tylko od czasu do czasu ginie w dżungli jakiś człowiek lub zwierzę. To swoisty układ, można powiedzieć. W przeszłości natomiast bywało różnie. Liczne plemiona toczyły z demonami prawdziwe wojny, inne czciły je jako bogów, składając im nawet ofiary ze zwierząt, choć bywało również, że nie tylko ze zwierząt. Podczas obrzędów niektórzy Indianie zakładali maski i przebierali się za człekojaszczury, jak się czasami nazywa te istoty. Budowano im także groby. Nad samym

jeziorem, poinformował nas szaman, w skalnej ścianie urwiska istnieje starożytny cmentarz, gdzie jak powiada legenda, pochowano ciała wielu demonów z Krainy Mgieł. Nikt tych grobów nie widział z bliska, ponieważ dostępu do nich broni „zaczarowany las” rosnący nad brzegami jeziora. Lepiej nie wchodzić do tego lasu, ostrzegął nas, bo jego mieszkańcy potrafią być naprawdę okrutni. Wielu Indian przepadło w tym miejscu bez śladu, nawet zwierzęta trzymają się od niego z daleka. Krążą mrożące krew w żyłach historie o tym, co się tam dzieje z ofiarami. Wszystko to opowiedział nam tamtej nocy gospodarz. Nie igrzajcie z mrocznymi siłami, ostrzegął. Oni są zbyt potężni.

- Skoro mają groby, potwierdza się pańska teoria, że to materialne i śmiertelne stworzenia, a nie duchy czy demony z szamańskich opowieści - zauważył Emanuel. - Czyli odwieczny spór byłby rozstrzygnięty, prawda?

- Tak naprawdę trudno ustalić, czyje ciała pochowano w skale. Jak już wspomniałem, nikomu nie udało się tego sprawdzić.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Postanowili więc panowie sprawdzić to osobiście, mam rację? - odezwał się Emanuel, patrząc kątem oka na współpasażera.

Profesor uśmiechnął się.

- Oczywiście, że tak - odpowiedział.

Ciąg dalszy peruwiańskiej opowieści

O świcie byliśmy już w drodze. Historia o demonach i zaczarowanym lesie, mimo że niezwykle sugestywna, nie mogła nas przecież odstraszyć. W wielu miejscach na świecie istnieją bardzo podobne legendy, w samej Ameryce Południowej słyszałem ich kilka. Dodawało to tylko specyficznego kolorytu naszej wyprawie. Zakazane miejsca, prastare istoty, tajemnicze grobowce w ścianie urwiska nad Jeziorem Kondorów... Przyzna pan, że to bardzo pobudza wyobraźnię. Jeśli rzeczywiście istniał gdzieś cmentarz niesplądrowany jeszcze przez rabusiów, to mieliśmy olbrzymią szansę na spektakularne odkrycie. Byliśmy wtedy, jak pan widzi, bardzo, bardzo naiwni. Przez kilka godzin poruszaliśmy się pod górę szlakiem wiodącym pośród pachnących gorzko traw, a następnie przez gęsty las. Trzeba było bardzo uważać, aby zwierzęta nie ześlizgnęły się po stromym zboczu. Nie mogliśmy się opędzić od owadów, które z każdym przebyтым kilometrem atakowały nas z coraz większą zaciekłością. Pot zalewał oczy, mięśnie drgały od wysiłku, kostki mieliśmy powykręcane, kolana obolałe i zdrętwiałe, zmęczenie mąciło myśli. Ale byliśmy tak zdeterminowani, że żadne niedogodności nie mogły już nas powstrzymać ani ostudzić zapału.

Profesor Kijański zrobił kolejną pauzę.

- Kiedy dotarliśmy wreszcie na szczyt wzniesienia, zobaczyliśmy przed sobą głęboką kotlinę. Błękitna tafla Jeziora Kondorów skrzyła się tak w promieniach popołudniowego słońca, że aż raziła oczy. Wznosząca się nad nią skała wyglądała niczym gigantyczna płyta nagrobna ustawiona miliony lat temu przez jakiegoś tutejszego boga. Wyrastała nad samym brzegiem: kamienny masyw w odcieniach żółci i szarości, kilkusetmetrowy pion, regularny blok, coś, co - przynajmniej takie odniosłem wrażenie - musiało stać w tym miejscu od początku świata, kiedy według inkaskich mitów, wszędzie panowały nieprzeniknione ciemności. Dostępu do jeziora bronił gęsty jak futro podszyty las. Zeszliśmy na dno doliny i zatrzymaliśmy się przed murem drzew i splątanych krzewów. Do skały pozostało jeszcze co najmniej kilkaset metrów, ale nie było mowy o podejściu bliżej, do tego musielibyśmy wykarczować ścieżkę aż do brzegu jeziora, a mieliśmy do dyspozycji tylko jedną maczetę.

- Jaka szkoda - westchnął Emanuel. - Być niemal u celu i nie móc uczynić ostatniego kroku.

- Ale nawet z tej odległości ujrzelśmy grobowce.

- Czyli cmentarzysko istnieje!

Profesor Kijański umilkł, przyglądając się przez jakiś czas w milczeniu zimowemu krajobrazowi podkrakowskich okolic, jakże odmiennemu od peruwiańskiego.

- Zobaczyliśmy je przez lunetę - odezwał się wreszcie. - To jeden z tych widoków, których z pewnością nie zapomnę do końca życia. Mniej więcej na dwóch trzecich wysokości pionowego urwiska, może na dwustu, dwustu pięćdziesięciu metrach, znajdowała się naturalna półka, rodzaj szerokiego tarasu, a za nią cały kompleks pobielonych prawdopodobnie gliną pieczar, w których stały olbrzymie sarkofagi.

- Odnalazł pan grobowce, o których mówił szaman?

- Zgadza się, panie Henzelmann.

- To niesamowite! Z tego wynika, że nie była to tylko legenda na użytek naiwnych Europejczyków.

- Tak, widzieliśmy je, chociaż trudno powiedzieć, co może się w tych sarkofagach kryć. W każdym razie naliczyliśmy kilkanaście takich grobów. Ustawione w równych odstępach sarkofagi przypominały figury świętych nad portalem jakiejś olbrzymiej świątyni. Umieszczono je w tak dziwnym miejscu zapewne po to, aby uchronić przed wilgocią, co by oznaczało, że w pieczarach znajdują się zmumifikowane ciała.

Emanuel już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz umilkł, zdając sobie sprawę, że kolejne okrzyki typu: „To zdumiewające!”, „Doprawdy?” byłyby już przesadą.

- Czy było to miejsce spoczynku demonów z Krainy Mgieł czy przybyszów z *hurinpacha*, inkaskiego podziemnego świata, czy po prostu Indian zamieszkujących kiedyś te tereny? Doprawdy trudno rozstrzygnąć, byliśmy zbyt daleko. Ale muszę panu powiedzieć, że miejsce to naprawdę przenikała niesamowita aura. Wyczuwaliśmy ją wszyscy, nawet zwierzęta, które zrobiły się naraz bardzo niespokojne. Jakby coś złego czaiło się w lesie przed nami. Drzewa zdawały się pogrążone w świetlistym oparze, a niektóre liście miały metaliczny połysk. Mimo że wiał wiatr, las wydawał się nieruchomy. Mieliśmy wrażenie, że jesteśmy bacznie obserwowani. Czuję silne mrowienie i klucie w całym ciele, owładnął mną dziwny, irracjonalny wręcz niepokój. Nie wiem, w jaki sposób to wytłumaczyć, ale nagle zdałem sobie sprawę, że nie tylko mur roślinności i jezioro bronią dostępu do skały, że istnieje jeszcze jakaś niewidzialna złowroga siła, której nie sposób przełamać... Szaman miał rację, ten las został zaczarowany. Łatwo było uwierzyć, że sprawują nad nim kontrolę nadnaturalne

istoty.

Ponownie umilkł, wpatrzony gdzieś w dal.

- To by w jakimś sensie tłumaczyło, dlaczego grobowce nie zostały jeszcze splądrowane przez miejscowych rabusiów - odezwał się po chwili Emanuel.

- Tak. Wyglądały na nienaruszone, na ile oczywiście można to ocenić z takiej odległości.

- Powiedział pan, że sarkofagi były olbrzymie?

- Przez lunetę wydawały się bardzo duże. Aczkolwiek nie umiem powiedzieć, czy przedstawiały ludzkie postacie. Zdawało mi się, że raczej nie. Wyglądały jak wyobrażenia pokrytych piórami smoków. Takie miałem wrażenie. Może to z powodu tej dziwnej aury, może pod wpływem opowieści szamana.

- Gady?

Profesor Kijański uśmiechnął się kwaśno, bez krzty wesołości.

- Nie mam pojęcia. W każdym razie mimo nieprzyjaznej atmosfery tego miejsca nie zamierzaliśmy ustępować. Postanowiliśmy wrócić do wioski i wynająć kilku mężczyzn z maczetami, aby podejść bliżej jeziora. Rzecz jasna, o wspięciu się na szczyt skały i opuszczeniu na linach do grobowców nie było nawet mowy, przekraczało to po prostu nasze umiejętności, ale chcieliśmy przyjrzeć się nieco dokładniej sarkofagom oraz zbadać okolicę jeziora. Niestety, z naszych planów nic nie wyszło. W wiosce czekali już na nas mężczyźni w czarnych płaszczach i kapeluszach.

- Nasi agenci? - Emanuel poczuł na plecach dotknięcie lodowatego palca.

- Nie kto inny. Było ich czterech, przyjechali na czarnych koniach, które stały nieruchomo na placu przed kościołem. Prawdę mówiąc, zwierzęta te tylko z daleka przypominają konie, kiedy podejdziesz się do nich bliżej, podobieństwo nie jest już tak oczywiste. Wiem, że brzmi to absurdalnie, ale to trochę tak jak w przypadku zbytowego przybliżenia się do obrazu wiszącego w galerii: rozpoznawalne z daleka kształty zamieniają się nagle w chaotyczne na pozór plamy i smugi farby. Rozumie pan, co mam na myśli? Z bliska zwierzęta te ztracały swoje fizyczne kształty.

- Zdumiewające - wyszeptał mimo woli Emanuel. - Może naprawdę pochodzą z innego wymiaru?... I co było później?

- No cóż, przybysze czekali w chacie szamana, siedząc wokół paleniska, równie nieruchomi, równie tajemniczy i nieuchwytni jak ich zwierzęta. Pamiętam, że byli uzbrojeni. Nie mam pojęcia, co się stało z gospodarzem, bo już go nigdy nie spotkaliśmy. Zresztą od momentu kiedy ujrzeliśmy grobowce nad jeziorem, wszystko zaczęło przypominać sen albo raczej majaczenie chorego umysłu. Jakby nas ktoś zaczarował. Cała ta historia wydaje mi się

po latach tak nierzeczywista, że trudno mi dzisiaj odróżnić prawdziwe wydarzenia od koszmarów, które pojawiły się później. Mimo to spróbuję dokończyć.

- Koniecznie musi pan opowiedzieć ze szczegółami, co tam zaszło.

- Mężczyźni w czerni powiedzieli, że działają z polecenia peruwiańskiego rządu. Jakaś żandarmeria, nie pamiętam nazwy, ale najpewniej została wymyślona na nasz użytek. Spytali, czy mamy pozwolenie na badanie terenów wokół Jeziora Kondorów. Oczywiście żadnego pozwolenia nie mieliśmy. Poprosiliśmy o kontakt z kimś, kto mógłby nam go udzielić, poinformowano nas jednak, że o niczym takim nie może być mowy, bowiem ten teren objęty jest nadzwyczajną ochroną ze względu na skarby dziedzictwa narodowego. Nie pomogło powołanie się na wysokich urzędników z Cuzco. Ich pozwolenia, jak nam wytłumaczono, nie obejmowały tych terenów. Okazało się, że to tylko bezwartościowe świstki papieru, nic więcej. Mieliśmy natychmiast opuścić wioskę i okolice jeziora. Cóż mogliśmy zrobić? Spakowaliśmy się i ruszyliśmy w drogę powrotną. Przed wyjazdem dokładnie przeszukano nas i nasze bagaże, czy aby nie próbujemy czegoś przemycić. Byliśmy tak osłabieni i oszołomieni atmosferą tych okolic, że nawet nie mieliśmy siły protestować. Dwóch żandarmów odprowadziło nas w milczeniu aż do Curahuasi, potem mężczyźni gdzieś znikli bez słowa pożegnania, jakby rozplynęli się w andyjskiej mgle.

- Demony z Krainy Mgieł?

- Kto wie?... Jak już panu wspomniałem, od samego początku wydawali mi się dziwni. Dziwni to zresztą mało powiedziane. Mimo oszołomienia czułem, że coś tu jest nie tak, i to bardzo. Szczelnie okryci płaszczami, nieruchomi, z kamiennymi twarzami. Zupełnie nie wyglądali na Peruwiańczyków. Cerę mieli bladą, usta i nosy małe, oczy nieruchome i niemal pozbawione powiek, zupełnie jak u lalek. To wyglądało na kamuflaż. No i te ich głosy!... Trudno je opisać, to trzeba samemu usłyszeć, panie Henzelmann. Jakby nie należały do istot żywych, tylko do bezosobowych automatów. Ale nie potrafiłem wtedy racjonalnie myśleć ani tym bardziej działać. Trzeba pamiętać, że kontrolowali nasze umysły. Być może nie całkowicie, ale z pewnością na tyle, żeby pozbawić nas w tym momencie zdolności racjonalnego myślenia i działania.

- Iluzja?

Leopold Kijański pokiwał poważnie głową.

- Bardzo prawdopodobne. Może nawet coś więcej.

- Hipnoza?

- Niewykluczone. Myślę jednak, że potrafią wpływać na nasze umysły w sposób, o jakim nie mamy bladego pojęcia, panie Henzelmann. Niewykluczone również, że potrafią

manipulować materią i energią. Gdyby nie te manipulacje, ujrzelibyśmy ich z pewnością w innej, prawdziwszej postaci.

- W postaci gadoidów...

Profesor odchrząknął.

- Całkiem być może - powiedział cicho. - Są zresztą na ten temat najróżniejsze teorie. Do końca nie wiadomo, czy to jest ich prawdziwa postać czy jedynie kolejny kamuflaż. Czy pod gadzią powłoką jest coś jeszcze, coś, czego nie potrafilibyśmy nie tylko zrozumieć, ale nawet i dostrzec.

- Byłoby wtedy tak jak z warstwami cebuli - uśmiechnął się krzywo Emanuel Henzelmann. - Można obierać bez końca.

- Otóż to - zgodził się profesor. - Czasami myślę, że może nawet lepiej nie wiedzieć, co kryje się pod tymi warstwami. Jak wygląda rdzeń.

- Może w ogóle go nie ma? - filozoficznie podsumował Emanuel, zapominając o swoim sceptycyzmie i policyjnym nosie.

Właśnie. Znowu naszła go myśl, że to wszystko wygląda zupełnie inaczej. Że rozpatrują sprawę od niewłaściwej strony.

A jeśli to my powołujemy te światy do życia? zastanawiał się, patrząc na mijane drzewa. Jeśli to nasze umysły wpływają na rzeczywistość do tego stopnia, że tworzą pseudofizyczne byty? Tak, wizje i wypowiedane słowa przyoblekają się wtedy w pewien ulotny rodzaj materii, nasze przekonania i emocje nadają im na jakiś czas pozory istnienia, po czym rozwiewają się jak mgła, kiedy przestajemy zwracać na nie uwagę.

Gdybyśmy tylko raz na zawsze przestali o nich myśleć, znikliby zapewne bez śladu, zjawisko przestałoby po prostu istnieć, pozostawiając po sobie tylko dziwny, nierzeczywisty posmak, bo cała ta Khuruna jest pusta, zbudowana wyłącznie ze słów i snów, jakie te słowa wywołują.

Oni nie istnieją niezależnie od nas.

* * *

Nad głowami mężczyzn rozwrzeszczały się wrony. W oddali widać już było wieżę kościoła w Mogile.

- Po powrocie do Cuzco postanowiliśmy wyjaśnić sprawę z miejscowymi urzędnikami - podjął Leopold Kijański. - Oszołomienie znikło bez śladu, znów mogliśmy w miarę rozsądnie myśleć, nie zamierzaliśmy więc pozostawić tej dziwnej sprawy bez rozwiązania. Nie byliśmy bardzo zaskoczeni, kiedy dowiedzieliśmy się, że żaden z urzędników w ogóle nie słyszał o

kontrolującej rejony Jeziora Kondorów rządowej policji w czarnych kapeluszach. Powiedziano nam, że taka jednostka z całą pewnością nie istnieje i że musieliśmy spotkać przedstawicieli jakiejś miejscowej bandy, która sprawuje władzę nad okolicą i nie chce dopuścić, aby obcy odkryli ewentualne skarby. Brzmiało to niby rozsądnie, ale nie do końca nas przekonało. Umówmy się, nawet jak na bandytów ludzie ci wyglądali i zachowywali się trochę zbyt osobliwie.

- A co mieli w Cuzco do powiedzenia na temat demonów z Krainy Mgieł? - zapytał Emanuel.

- Utrzymywali, że nie znają tej legendy - odparł profesor. - Zdaje się, że nigdy nawet nie słyszeli o podobnych istotach. „Indianie widzą duchy w każdym cieniu”, przekonywali. „To zwykle miejscowe czary-mary. ”

- Nic nie wiedzieli o dziwnych grobowcach na skale?

- Nic. Przynajmniej oficjalnie.

- To znaczy, że ukrywali prawdę?

- Na to wygląda - pokiwał głową profesor. - Na to wygląda, bo udało się nam porozmawiać z jednym z nich zupełnie prywatnie. Przyszedł do naszego hotelu późnym wieczorem i prosząc o dyskrecję, opowiedział o swoim ojcu, któremu udało się podobno dotrzeć do tych skał pod koniec lat trzydziestych.

- Interesujące. - Henzelmann zmienił pozycję w saniach, próbując rozmasować ścierniętą nogę. - Umieram z ciekawości, mów pan dalej.

- Prawdę mówiąc, żadnych rewelacji nam nie przekazał. - Profesor odchrząknął zakłopotany. - Ale najważniejsze dla nas było to, że można się tam dostać. Pod stromą skałą ojciec tego człowieka znalazł resztki lin, którymi powiązane były ogromne kości zwierzęce. Myślę, że te kości to były szczęble sznurowych drabin, po których wspinano się do pieczar w skale. Wokół było też mnóstwo dziwnych śladów, odcisniętych w błocie i niepasujących do żadnego ze znanych mu zwierząt. Znalazł również dziwną glinianą figurkę przedstawiającą stworzenie z dużą głową.

- Widział ją pan?

- Nie, figurka zaginęła.

- To już chyba reguła.

- Niestety.

Emanuel wykrzywił twarz w wyrazie rozczarowania.

- No i co dalej? - spytał po chwili. - Nie próbował tam nigdy wrócić?

- Nie. Podobno wkrótce po powrocie zwariował i odebrał sobie życie. Tak nam

powiedział syn.

- Dlaczego oficjalnie się o tym w Peru nie mówi? Czemu ukrywa się istnienie tych grobowców?

- Nie wiem. Myślę, że rząd doskonale zna sprawę, ale z jakiegoś powodu woli zachować tajemnicę.

- To brzmi już bardzo poważnie - powiedział Emanuel.

- Bo to jest poważna sprawa, panie Henzelmann. Przekonał się pan o tym wczoraj na własnej skórze.

* * *

Droga skręcała łagodnym łukiem w prawo. Wieżę klasztoru przesłoniły na chwilę wysokie, pokryte śniegiem drzewa. Przed okoloną chruścianym płotem skromną chatę ze słomianą strzechą wyszła mała dziewczynka okutana w ciepłą chustę. Z uśmiechem pomachała ręką na widok przejeżdżających sań.

Henzelmann odpowiedział jej podobnym gestem. Ona przynajmniej jest prawdziwa, pomyślał. Konkretna dziewczuszka z zaczerwienionymi od zimna dłońmi. Niemal czuł bijący od niej zapach zwierząt. Demony z Peru wydawały się teraz całkowicie nierealne, niczym strzygi i topielice.

- Zgaduję, że wyprawa w Andy jest tą najbardziej emocjonującą w pańskim życiu? - zagadnął Emanuel, żeby przerwać milczenie.

- Tak. W moim dotychczasowym życiu.

Komisarz spojrzał na niego badawczo.

- Czyżby się pan jeszcze gdzieś wybierał, profesorze? - zapytał ostrożnie. - Rusza pan w poszukiwaniu kolejnej przygody?

Leopold Kijański zrobił bardzo tajemniczą minę i Emanuel już wiedział, jakiej odpowiedzi udzieli mu profesor.

- A i owszem.

- A można wiedzieć, gdzie się pan wybiera?

- Oczywiście do Khuruny, gdzieżby indziej? Planujemy tę wyprawę z doktorem Blumenstogiem już od kilkunastu lat. Myślę, że teraz nadeszła właściwa pora. Chcielibyśmy przedostać się tam w przyszłym roku, myślę, że gdzieś tak w okolicach czerwca, lipca. Pan Tomasz Arsenicz wyraził chęć uczestniczenia w niej. Może i pan zechce się do nas przyłączyć, panie Henzelmann?

Emanuel nie odpowiedział. Odwrócił głowę w drugą stronę niepewny, czy profesor

żartuje czy mówi poważnie. Tymczasem minęli kolejny zakręt i klasztor ukazał się w całej okazałości.

- Wiedzą o naszym przybyciu? - upewnił się niespokojnie Emanuel onieśmielony widokiem świętego miejsca.

Profesor położył mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

- Wiedzą, wiedzą. Czekają już na nas.

- Mnisi?

- Sam opat - odparł Leopold Kijański.

Opactwo w Mogile

Klasztor miał wspaniałą historię.

Powstał w pierwszej połowie trzynastego wieku, kiedy to krakowski biskup Iwo Odrowąż, następca Wincentego Kadłubka, nadał cystersom wieś Mogiła. Miejscowość zawdzięcza nazwę niewielkiemu pogańskiemu kopcowi, który podług popularnej legendy usypali mieszkańcy Krakowa jako grób bohaterskiej królowny Wandy, córki Kraka.

Co nie chciała Niemca.

Podobno bujda, ale nazwa się przyjęła. Prawdziwe jest tylko to, co przemawia do serca, jak to określił profesor Kijański.

Tak czy owak, osiedlili się cystersi w bezpośrednim sąsiedztwie prastarego pogańskiego kultu. Przybyli w 1222 roku z klasztoru w Lubiążu na Dolnym Śląsku.

No cóż, szybko przystąpiono do pracy. Klasztor otrzymał potężne nadania, dzięki czemu wnet stał się największym gospodarstwem w okolicy. Opactwo zostało zaplanowane i wybudowane tak, aby stanowiło zamknięty kompleks architektoniczny i aby mogło ochronić mnichów przed najazdami, w szczególności przed Mongołami, którzy w trzynastym wieku często odwiedzali te okolice.

Wzniesiony z kamienia i cegły kościół oraz zabudowania klasztorne otoczono nie tylko murem, ale i fosą. Wewnątrz znajdował się również młyn, piekarnia, stajnie, obory, chlew, warsztaty, spory ogród warzywny i sad - wszystko po to, aby zapewnić zakonnikom samowystarczalność.

Właściwie nie musieli wcale wychodzić na zewnątrz, przecież co niezbędne do życia mieli na miejscu.

To sprzyja, rzecz jasna, kontemplacji i duchowemu samodoskonaleniu.

Ponieważ - trzeba to zaznaczyć z całą mocą - nie tylko z gospodarności słynęli mnisi mogiłscy. Zawsze przywiązywali również olbrzymią wagę do kształcenia, nauki i sztuki. Toteż monasterium nie było jedynie zgromadzeniem osób duchowych, lecz także skupiskiem wybitnych uczonych oraz ludzi zajmujących się kulturą.

W klasztornej bibliotece zgromadzili cystersi bogaty księgozbiór. Rękopisy i druki kupowali w całej Europie, starannie dobierając tytuły, a nie ograniczali się jedynie do darowizn, jak zwykły czynić pomniejsze klasztory.

Nie tylko dzieła Ojców Kościoła oraz księgi liturgiczne - najrozmaitsze ewangeliarze, ewangelistarze, lekcjonarze, sakramentarze i antyfonarze - lecz także traktaty gramatyczne, egzegetyczne, retoryczne, poezję, pamiętniki, dzieła o charakterze encyklopedycznym, roczniki, księgi pogańskie (również te „szkodliwe i fałszywe” w oczach Kościoła), często starannie wykonane, pięknie oprawione i bogato iluminowane, słowem - wszystko co warte uwagi.

A może nawet więcej.

* * *

Brama wjazdowa w wysokim murze okalającym całe opactwo była szeroko otwarta. Za nią widzieli fasadę kościoła i ceglana ścianę klasztoru z wysokimi ostrołukowymi oknami. Wokół dzwonnicy latały gołębie, zakapturzony mnich odgarniał śnieg ze schodów, gdzieś z niewidocznej kuźni dobiegał odgłos uderzającego o metal kowalskiego młota.

Mężczyźni wysiedli z sań i przeszli po skrzypiącym śniegu pod samą furtę klasztoru. Metalowy dzwonek zawieszony na drucie służył do wzywania furtiana.

Po niedługiej chwili w zakratowanym okienku ukazała się blada pomarszczona twarz starego mnicha. Rozpoznał widać profesora od razu, bo wykrzywił wargi w starczym uśmiechu i bez zbędnych już pytań otworzył przed przybyszami okute drewniane drzwi.

Znaleźli się na terenie opactwa.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - powiedział Leopold Kijański, skłoniwszy pokornie zakapturzoną głowę.

- Na wieki wieków - odparł starzec. Miał kanciastą głowę pokrytą nieregularnymi kępkami siwych włosów.

Pod wpływem spojrzenia furtiana Emanuel poczuł się wyjątkowo głupio w swoim jasełkowym przebraniu. Był tak pochłonięty opowieścią profesora, że zupełnie o tym zapomniał. Otulił się teraz mocniej kożuchem, aby udająca brzuch poduszka nie wypadła mu spod habitu, i również z pokorą pochylił głowę.

Minę miał przy tym poważną, jakby składał wieniec na grobie.

- Przybyliśmy na spotkanie z wielbnym opatem - oznajmił profesor pełnym słodczy głośem. - Gdzie możemy go znaleźć?

- Jest w kościele - odparł krótko starzec. - Pilnuje remontu.

Opat zauważył jednak przyjazd gości i przybiegł do furty lekko zdyszany. Jego pociągłą, okoloną czarną brodą twarz rozjaśniał szczery uśmiech.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - wołał już z daleka. Poruszał się niezgrabnie, jakby szedł na szczydlach. - Witajcie, witajcie moi kochani. Profesorze, miło mi pana znów widzieć. Panie Henzelmann, to wielki zaszczyt gościć pana w naszym klasztorze. Tyle słyszałem o pańskiej przenikliwości i dociekliwości, i to nie tylko w badaniu spraw kryminalnych. Nareszcie mam sposobność poznać pana osobiście.

Nie tylko spraw kryminalnych? Skąd te aluzje? Czyżby opat również należał do tego dziwnego bractwa?

- Czuję się zaszczycony... - wybąkał zakłopotany Emanuel, chowając w rękawach czerwone od zimna dłonie.

- Oporządźcie się trochę po podróży, a później spotkamy się w refektarzu przy skromnym posiłku. Teraz muszę wracać do kościoła, pilnować tych kamieniarzy, żeby mi nawy nie zburzyli. - Rozłożył bezradnie ręce, dając do zrozumienia, że sam wszystkiego musi doglądać.

Mężczyźni ruszyli za chudym bratem konwersem przydzielonym im przez opata do pomocy. Przeszli obok kuchni, następnie wąskimi schodami do krużganków z przepięknie zdobionym sklepieniem, a stamtąd do lavatorium, czyli umywalni.

- Latem myjemy się przy studni w wirydarzu - wyjaśnił milczący do tej pory zakonnik z długim nosem - ale teraz byłoby to dość trudne.

Ochlapali twarz i ręce w lodowato zimnej wodzie i po chwili wrócili do czekającego w krużgankach mnicha. Wyglądał, jakby nie ruszył się od momentu, gdy go tu zostawili. Jakby był figurą z kamienia. Spojrzał na nich bez wyrazu i z pochyloną głową, milcząc, ruszył przed siebie.

Emanuel Henzelmann z podziwem oglądał po drodze kolorowe freski na ścianach i sklepieniu krużganków. Piękne splecione motywy roślinne przyciągały wzrok bogactwem form i kolorów. Niektóre z malowideł wyglądały na bardzo stare i zniszczone, inne były w znacznie lepszym stanie. Może odnawiane? pomyślał przelotnie.

- To dzieło Stanisława Samostrzelnika z szesnastego wieku, jednego z mogińskich mnichów. - Brat konwers zauważył zainteresowanie gościa i z wyraźną przyjemnością udzielał tych informacji. - Więcej jego fresków znajduje się w samej bazylice. Tam, za tymi drzwiami ozdobionymi trzynastowiecznym romańskim portalem - gestem głowy wskazał ciemny otwór widniejący w głębi korytarza - jest wejście do kościoła. Jeśli panowie chcą, możemy teraz wejść i zwiedzić bazylikę.

Profesor odchrząknął znacząco.

- To może później - szybko odpowiedział Henzelmann, któremu zaczynało coraz głośniejsze burczeć w brzuchu z głodu. Skromny czy nie skromny, obiecany posiłek to zawsze coś do zjedzenia. A jeść emerytowany komisarz lubił bardzo. - Ale później chętnie pozwiadam.

Zakonnik skinął tylko w milczeniu głową i ze schowanymi pod habitem dłońmi ruszył kamiennym korytarzem w stronę kuchni, na co wskazywał dochodzący stamtąd wyraźny zapach gotowanej ciepłej strawy. Minęli schody prowadzące do dormitorium, czyli sypialni dla mnichów, i po chwili znaleźli się w ogromnym pomieszczeniu zastawionym długimi drewnianymi stołami. Była to główna jadalnia klasztoru, ów refektarz, o którym wspominał opat.

Sam gospodarz czekał na nich w drzwiach.

- My już dawno po śniadaniu, ale wy pewnie jesteście głodni i zmarznięci po podróży - zawołał tubalnym głosem. - A nie ma nic lepszego na rozgrzewkę niż polewka piwna. Siadajcie.

- Polewka piwna? - Emanuel Henzelmann popatrzył zdumiony. - Czyli po prostu grzane piwo?

- Wcale nie po prostu - powiedział opat. - To nasze tradycyjne cysterskie śniadanie. Przepis jest jeszcze z siedemnastego wieku, ale szczegóły zdradzić nam może jedynie brat Adalbert, który zajmuje się tu gotowaniem.

Z kuchni wyłonił się zaczerwieniony od ognia zakonnik i sprawnie, mimo tuszy, postawił przed podróżnymi misy z parującą polewką.

- Mmm... - Mężczyźni z lubością wciągnęli powietrze nosem. - Pachnie jakoś tak... słodko?

- Tak - przytaknął brat Adalbert z powagą - bo oprócz pszennego piwa jest tu miód lipowy i imbir.

- A skąd ta gęstość?

- Od śmietany i żółtek.

- Mógłbym mieszkać w klasztorze i jadać codziennie takie śniadanie - mruknął zadowolony Emanuel Henzelmann, dyskretnie wyjmując spod ubrania poduszkę i odkładając ją na ławę obok.

Profesor Kijański tylko się uśmiechnął.

* * *

Po posiłku i krótkim odpoczynku opat zaprosił gości do niewielkiego pomieszczenia tuż

za refektarzem.

- To jest kalifaktorium, czyli ogrzewalnia - wyjaśnił, prowadząc ich schodami w dół do niewielkiej sali z resztkami gotyckiego kominka. - Dawniej było to jedyne ciepłe, oprócz kuchni, miejsce w klasztorze. Nawet dormitoria, w których spali bracia, były nieogrzewane, więc zbierali się tu wtedy po wieczornych modlitwach.

- I nadal nie są ogrzewane? - Milczący dotąd były komisarz ck policji otrząsnął się, jakby go przeszedł dreszcz.

- Teraz już są - uspokoił go opat. - Po pożarze w tysiąc czterysta czterdziestym siódmym roku wzniesiono nowe sklepienie, zbudowano schody, którymi przed chwilą szliśmy, no i na nowo zbudowano kalifaktorium ogrzewające również dormitoria. - Rozkaszłał się tak gwałtownie, że aż musiał przystanąć. Oczy zaszyły mu łzami, a blada twarz poczerwieniała. - Od czasu przebudowy w tym miejscu właśnie przepisywano dokumenty i księgi. A propos ksiąg - przypomniał sobie nagle - przejdźmy może do biblioteki. Tylko uprzedzam, tam jest teraz dość zimno.

- Wytrzymamy - rzekł dzielnie profesor Kijański.

- Pewnie, że tak - poparł go Emanuel.

* * *

Zapachu biblioteki nie można pomylić z żadnym innym: wszystkie jego składniki - woń papieru, farby, kleju drukarskiego, a także wyprawionej skóry, kurzu i pleśni - tworzą wyszukaną oszałamiającą mieszankę, która dla prawdziwego bibliofila stanowi największą zapachową rozkosz.

- Chcielibyśmy pokazać panu, panie Henzelmann, pewną księgę - oznajmił opat, starannie zamknąwszy za sobą drzwi.

- Umieram wprost z ciekawości - odparł komisarz.

- Właściwie to katalog - rzekł zakonnik, zbierając w rękę zakonną szatę. - Proszę siadać, panowie, brat Paweł zaraz nam go przyniesie. - Głową dał znak zasuszonemu bibliotekarzowi, a ten momentalnie wstał zza biurka i ruszył między półki.

- Katalog czego? - zapragnął dowiedzieć się komisarz, usiadłszy na wysokim i dość niewygodnym krześle.

- Wszystkich posiadanych przez nas dzieł, w których wspomina się o Khurunie - wyjaśnił zakonnik.

- O Khurunie... - powtórzył cicho Emanuel. - Dotyczy to zapewne zakamuflowanego archipelagu i zamieszkujących go szarców?

- Widzę, że profesor już pana wprowadził - uśmiechnął się duchowny. - Tak, dotyczy archipelagu i jego mieszkańców.

A więc jednak, pomyślał Henzelmann. Opat jest również w to wmieszany. Jeśli to żart, trzeba przyznać, zakrojony na szeroką skalę.

Więc może jakieś zbiorowe szaleństwo?

- Czy to ma coś wspólnego z bractwem...

- Tak, z Bractwem Rodona Syryjczyka - dokończył za komisarza profesor Kijański.

W tym momencie rozległo się chrząknięcie: pojawił się bibliotekarz z katalogiem w rękach.

Bractwo Rodona Syryjczyka

Katalog był księgą opasłą, o wymiarach mniej więcej metr na pół, oprawioną w ciemnoczerwoną skórę.

- Historia naszego bractwa liczy już sobie pół tysiąca lat - powiedział opat. - Zaczęło się od brata Pacyfika, który przybył do naszego klasztoru w pierwszej połowie czternastego wieku. To on zapoczątkował księgozbiór dotyczący ukrytego archipelagu i jego mieszkańców. Choć uczynił to w dosyć... hm, by tak rzec, osobliwy sposób.

- To znaczy? - zainteresował się Emanuel.

- Jak by to wytłumaczyć? - Duchowny westchnął, zbierając myśli. Widać było, że czuje się nieco niezręcznie, mówiąc o tym. - Otóż w przerwach między przepisywaniem ksiąg brat Pacyfik stworzył apokryf. Napisał księgę pod tytułem „Sekretna historia herezji”, twierdząc, że sporządził jedynie kopię na podstawie oryginału, który powstał w szóstym wieku w Aleksandrii. Autorstwo przypisał diakonowi o imieniu Damian.

- Fałszerstwo?

- Wszystko na to wskazuje.

- Po cóż miałyby to robić?

- Nie wiem. Być może dla żartu, być może z nudów. Brat Pacyfik był raczej dziwnym i tajemniczym człowiekiem. Jego życiorys jest sam w sobie ciekawy.

- W takim razie proszę mi o nim opowiedzieć.

- Dobrze, ale tylko w skrócie, bo chcielibyśmy jak najszybciej przystąpić do sedna sprawy.

Opat uchwycił koniuszkami palców nasadę nosa i zamknął oczy. Jego twarz zdradzała olbrzymie skupienie.

- A więc brat Pacyfik pochodził z Lauingen nad Dunajem. Kształcił się w Padwie i Paryżu - mówił cicho i powoli, robiąc pauzy. Emanuel musiał pochylić się w stronę zakonnika, żeby go lepiej słyszeć. - Opowiadał podobno, że w czasie studiów skonstruował potajemnie maszynę, która potrafiła mówić, ale przerażony konsekwencjami, zniszczył swoje

dzieło. Opowieść tę możemy chyba spokojnie między bajki włożyć. We wczesnej młodości był bez wątpienia nie lada awanturnikiem. Podczas bójk na noże w paryskim zaułku stracił część nosa. W wieku dwudziestu czterech lat doznał jednak religijnej wizji. Zaraz potem wstąpił do zakonu cystersów, aby po kilku latach znaleźć się w naszym opactwie. Tu zajął się przepisywaniem ksiąg oraz studiami encyklopedycznymi i zapewne pod wpływem owych studiów wymyślił żywoty herezjarchów.

- Fikcyjnych herezjarchów?

- Częściowo. Kilku z nich żyło naprawdę, ale są też tacy, co do których istnienia można mieć wątpliwości. W każdym razie nie wspomina się o nich w żadnym z zachowanych dzieł. Występują tylko w tej księdze.

- A więc kwestia autentyczności dzieła jest chyba oczywista - podsumował Emanuel. - To tylko żart skryby?

Opat i profesor wymienili spojrzenia.

- Prawdopodobnie to żart - powiedział powoli Leopold Kijański. - Ale jest w „Sekretnej historii herezji” kilkanaście stron, które nie skłaniają do śmiechu. Wręcz przeciwnie, sprawiają, że dreszcz przechodzi człowiekowi po plecach. Pomiędzy życiorysami herezjarchów znaleźć można opowieść o niejakim Rodonie z Syrii, uczniu Tacjana, odszczepieńcu, bluźniercy, czarnoksiężniku i szaleńcu.

- Co w tej postaci takiego szczególnego? - zainteresował się Emanuel.

- Otóż przy okazji Rodona pojawia się nazwa Khuruna.

Były komisarz przełknął ślinę.

- Chodzi o nasz archipelag?

- Tak to można odczytać - odparł opat. - Najlepiej chyba będzie, jeśli przybliżę panu, panie Henzelmann, sylwetkę tego człowieka.

Emanuel jęknął w duchu, ale nie dał po sobie znać, że zamiast kolejnej „zadziwiającej” biografii - na dodatek, jak wszystko na to wskazuje, zmyślonej - wolałby usłyszeć coś konkretniejszego o samym archipelagu.

- Według księgi, Rodon przyszedł na świat w rodzinie pogańskiej, prawdopodobnie w Syrii, w połowie drugiego wieku po Chrystusie. Na imię miał Konstanty, dopiero później przybrał imię Rodon. Damian z Aleksandrii przypuszcza, że młody człowiek otrzymał hellenistyczne wykształcenie, studiował zapewne filozofię i retorykę. Dużo podróżował. W Egipcie szukał ponoć wiedzy ezoterycznej. Za jakieś tam przestępstwo skazany był na roboty w kamieniołomie, ale udało mu się uciec. Chrześcijaninem stał się dopiero po przyjeździe do Rzymu, gdzie według słów biografy, a raczej podszywającego się pod niego brata Pacyfika,

spotkał między innymi Tacjana, też Syryjczyka, żarliwego apologetę, znanego z nieco radykalnych poglądów. Przez jakiś czas przebywał w jego kręgu, został nawet uczniem Tacjana, ale dobre stosunki nie trwały długo. Rodon miał bardzo złą opinię wśród chrześcijan, uważano go wręcz za obłąkańca. Nawet dla Tacjana okazał się zbyt kontrowersyjnym towarzyszem broni. Powiadano, że Rodon kształcił się w sztuce czarnoksięskiej. Pod wpływem Chaldejczyków zajmował się astrologią, stawiał horoskopy. Jeśli zaś idzie o jego interpretacje Starego Testamentu, to można śmiało rzec, że już wtedy były... no co tu dużo ukrywać, nie do przyjęcia dla Kościoła. Zmuszono go więc rychło do opuszczenia Rzymu. Przeniósł się do Afryki. Przez jakiś czas prowadził żywot pustelnika. Zamieszkał w jaskini. Tam właśnie, jeśli wierzyć Damianowi z Aleksandrii, doznał szeregu wizji, w których oglądał demony pod postacią węży oraz innych gadów.

Wyobraźnia Emanuela znów zaczęła pracować na pełnych obrotach.

Rodon Syryjczyk kroczy przez pustynię wsparty na grubym kijku. Sandały z wołowej skóry grzęzną w głębokim rozpalonym piachu, pot spływa po chudym ciele pod żółtobrązową szatą o szerokich rękawach, długie mokre włosy kleją się do czaszki. Za plecami eremity sfałdowane grzbiety wydm. Gorące powietrze faluje. Jałowa ziemia, martwy pejzaż. Nagle mężczyzna pada na kolana jak rażony gromem. Jego twarz wykrzywia ni to ekstatyczny uśmiech, ni to grymas szaleństwa.

Wydaje mu się, że spotkał Boga.

Ale spotkał jedynie szarą istotę o płomiennych ślepiach, które lśnią w blasku pustynnego słońca jak dwa rubiny.

- Wyjawily mu one, że są prawdziwymi królami tego świata - mówił tymczasem opat - że to one stworzyły Adama, używając do tego rzeczno go mułu. Powiedziały również, że Jezus Chrystus nie był zbawicielem, tylko buntownikiem, uzurpatorem, który ostatecznie został złożony w ofierze Knerfowi-Szabanowi, Prastaremu Wężowi, Władcy Obu Światów. Przybywają z kraju Khuruna, a raczej Khu-Runa, co w ich języku oznacza Kraj Na Wielu Wyspach. Opowiedziały również własną wersję Starego i Nowego Testamentu, można spokojnie przyjąć, że mocno odbiegającą od kanonu. Następnie koszmarni przybysze odsłoniли przed Rodonem tajniki magii. Uczył się od nich przez szereg miesięcy, dochodząc ponoć w sztuce czarnoksięskiej do prawdziwego mistrzostwa. Powiadano, że potrafił stawać się niewidzialny albo widzialny tylko częściowo. Czasami przebywał w kilku miejscach równocześnie. Szeptano, że umie także zmieniać rysy twarzy, bo każdy kto na niego patrzył, widział inne oblicze: młodzieńca, starca, opuchniętego pijaka, twardego żołnierza, eunucha, Murzyna, a nawet kobiety. Rodon opuścił w końcu pustynię, ale jak łatwo zgadnąć, nie

zajmował się już głoszeniem ewangelii. Ostatecznie zerwał wszelkie więzi z Kościołem rzymskim. Powrócił do rodzinnej Syrii i osiadł w mieście Ummiss-Surab. Nie założył żadnej szkoły ani sekty. Przez resztę życia żył w odosobnieniu i pisał swoją wielką księgę „Khu-Runa. Traktat o naturze demonów”.

- Nigdy nie słyszałem o takiej księdze - wtrącił Emanuel nieufnie, choć zaintrygowany był tytułem i treścią dzieła.

- Bo nie zachowała się do naszych czasów - wyjaśnił cierpliwie opat. - Nie dysponujemy niestety nawet fragmentem tego tekstu, ani w oryginale, ani w tłumaczeniach. Jak już wspominaliśmy, jedyne wiadomości o autorze i jego dziele pochodzą właśnie z „Sekretnej historii herezji” spisanej rzekomo w szóstym wieku przez aleksandryjskiego diakona Damiana.

Emanuel odchrząknął i podrapał się w nos.

- Skoro „Sekretna historia herezji” Damiana z Aleksandrii prawdopodobnie nigdy nie istniała, skoro uznano ją za fałszerstwo, to i postać Rodona jest z pewnością zmyślona, prawda? - rzekł ostrożnie, czując, że znów wszystko powoli zaczyna tracić sens, rozmywać się i obracać w jawny absurd.

Kolejna historia odsyłająca nie do faktów, lecz do innych historii, równie aluzyjnych i podejrzanych.

Labirynt luster, które nie odbijają niczego prócz siebie nawzajem. Gra światła zwodząca oko, bo sugerująca niezbadane głębie, kiedy tymczasem istnieją tylko zimne szklane tafle - nic więcej.

- Tak - potwierdził opat z niewzruszoną miną. - Już to powiedzieliśmy: jesteśmy niemal pewni, że obaj autorzy są fikcyjni.

- Że wymyślił ich brat Pacyfik, który przybył tutaj, czyli do Mogiły, w pierwszej połowie czternastego wieku - dodał profesor Kijański.

- Czyli jednak apokryf? Żart?

- Wiele na to wskazuje.

- A więc również Khu-Runa, jak przypuszczam, została wymyślona przez owego mnicha? - zasugerował komisarz. - Możemy zatem przyjąć, że jest tylko owocem wybujałej wyobraźni młodzieńca, mam rację?

- Właśnie nie do końca - rzekł profesor Kijański, spoglądając na opata, który uśmiechnął się smutno.

- Tak, sprawa jest dużo bardziej skomplikowana, niż się z pozoru wydaje - potwierdził duchowny. - Gdyby fałszerstwo było tak proste i oczywiste, jak można by na pierwszy rzut

oka mniemac, nie zawracalibyśmy sobie nim głowy i dawno zapomnielibyśmy o bracie Pacyfiku. Jest jednak pewien problem.

- Mianowicie?

- Wprawdzie nigdzie nie znaleziono potwierdzenia, że istniał ktoś taki jak Rodon z Syrii, autor traktatu o demonach, nie wspominając już o jego biografii, Damianie z Aleksandrii, niemniej słowo „Khuruna” pojawiło się w kilku starożytnych i wczesnośredniowiecznych źródłach... - Opat zrobił pauzę, by uzyskać lepszy efekt. - I to pojawiło się w dziełach oraz dokumentach, których młody brat Pacyfik raczej nie mógł znać, gdyż rękopisy ujrzały światło dzienne dziesiątki lub nawet setki lat po jego śmierci. Khurunę odnajdujemy również w pismach autorów dużo późniejszych, z szesnastego, siedemnastego wieku, mimo że ci nie mogli z kolei znać apokryfu brata Pacyfika. Ten tekst nigdy nie opuścił biblioteki naszego opactwa. Nigdy nie był wypożyczany. Nie jest ogólnie znany.

Emanuel obiecał sobie wprawdzie nie okazywać zbytniego entuzjazmu wobec rewelacji gospodarza, ale znów nie wytrzymał:

- Doprawdy? A jakież to dokumenty?

- Jeśli chodzi o pisma wcześniejsze niż apokryf brata Pacyfika, to dysponujemy prawdziwymi skarbami. - Duchowny odkaszlnął w zaciśniętą dłoń. - Między innymi uważaną za bezpowrotnie zaginioną autobiografią Lucjusza Septymiusza Sewera, cesarza rzymskiego, żyjącego na przełomie drugiego i trzeciego wieku, człowieka, który podobnie jak Rodon Syryjczyk, zajmował się astrologią oraz przeróżnymi zabronionymi wtedy przez prawo praktykami magicznymi.

- To rzeczywiście prawdziwy skarb - przyznał szczerze Emanuel, choć zastanawiał się, co też Septymiusz Sewer mógł wiedzieć o Khurunie.

- Fragmenty łacińskiego pergaminu odnaleziono w tysiąc sześćset osiemdziesiątym siódmym roku w Dubrowniku, resztę możemy jako tako zrekonstruować na podstawie wyciągów bizantyjskich, które również odkryto dopiero pod koniec siedemnastego wieku na Bałkanach. Nawiasem mówiąc, ten rejon Europy to istna kopalnia zaginionych dzieł.

- Prawdziwe eldorado dla bibliofilów - potwierdził profesor.

- Tak. A więc mamy autobiografię Sewera - rzekł opat, kartkując grube, poszarzałe ze starości strony katalogu. - Do tego dochodzą arabskie tłumaczenia trzech anonimowych legend o świętym Makarym, „Powieść o Juliuszu Cezarze” napisana przez Aleksandra z Bernay w latach osiemdziesiątych dwunastego wieku, utwór, który przetrwał w dwóch wersjach, zniekształconych niestety przez tłumaczy. Mamy też - ciągnął - „Żywot Proklosa” autorstwa Marinosa z Neapolis, to piąty wiek naszej ery, następnie „O ofierze i magii”

samego Proklosa, dalej heksametryczną „Gigantomachie” Klaudiusza z Aleksandrii. No i księgę „O demonach sprzed wiecznego światła” anonimowego autora z czwartego wieku, tylko we fragmentach przełożonych na język arabski. Cóż jeszcze? - Poślinił palec i przerzucił kolejną naznaczoną śladami wilgoci kartkę. - Oto, panie komisarzu, komentarze niejakiego Teodora z Lyonu do „Państwa” Platona, przypisy do „Iliady”, przypuszczalnie tego samego autora albo jego ucznia, Damiana, zapisane w języku frankoprowansalskim, siedem starofrancuskich *fabliaux* z Pikardii i Normandii w tamtejszych dialektach.

- *Fabliaux*? Czy to może jakiś średniowieczny gatunek literacki? - spytał Emanuel nie tyle z rzeczywistej ciekawości, ile z powodu zbytniego oszołomienia liczbą nieznanymi tytułów, egzotycznych nazwisk, miejscowości, języków i dialektów. Musiał zaczerpnąć nieco tchu.

- Owszem - odpowiedział usłużnie opat. Po czym, jak na złość, zaczął wyjaśniać: - Typowo średniowieczny gatunek, występujący tylko w tym okresie. To rymowane opowiadania z dwunastego, trzynastego i czternastego wieku, najczęściej anonimowe, pisane językiem plebejskim, w zamierzeniu humorystyczne, niestroniące od niewybrednych efektów, często wręcz obsceniczne. „O księdzu i wężu z Curhuny”, „Cztery życzenia Mateusza”, „O żonglerze i księdzu”... To tylko te ciekawsze, gdzie wprost używa się nazwy naszego archipelagu. W pozostałych mamy tylko aluzje, podobnie jak w arabskich bajkach i komentarzach do pogańskich mitów.

Oho, pomyślał komisarz. Znowu anonimowe fragmenty, wyciągi, niedokładne tłumaczenia, parafrazy i przypisy.

- Pośród pism późniejszych słowo „Khuruna” pojawia się jeszcze częściej - ciągnął opat wpatrzony w katalog. - Weźmy choćby rękopis ezoterycznego traktatu Jakuba Franka z tysiąc siedemset pięćdziesiątego dziewiątego roku, noszący tytuł „Pierwsze dni Stworzenia”. Autor, Żyd urodzony na Podolu, uważany był przez swoich wyznawców za trzecie i ostatnie wcielenie mesjasza z domu Dawida, po Sabbataju Cwim i Baruchu Russie.

- Aha - rzekł Emanuel z mądrą miną, mimo że w życiu nawet nie słyszał o takich ludziach.

- Założył sektę frankistów, która działała między innymi w Warszawie - poinformował profesor Kijański, przejrzawszy komisarza na wylot. - Proszę sobie wyobrazić, że więziono go w klasztorze jasnogórskim, skąd został uwolniony przez wojska rosyjskie pacyfikujące konfederację barską.

Emanuela nasza naraz bardzo niepokojąca myśl. A może ten natłok obrazów, życiorysów i dat ma nie tyle wyjaśniać, ile raczej przysłaniać prawdę? Tak jak było w przypadku tej

dziwnej kobiety, która podawała się za córkę Leopolda Kijańskiego. Czyżby ci ludzie również próbowali go dezorientować, zasypując istną lawiną faktów tylko pozornie ze sobą związanych?

Jeśli tak, to co w tym wszystkim robi opat?

- I on też pisał o Khurunie? - zapytał tylko, nie dzieląc się swymi podejrzeniami. - Ten Jakub Frank?

- Tak - odparł opat. - Słowo „Khuruna”, zapisywane jako Kuruna, powtarza się w tym traktacie trzy razy, zawsze jako synonim szatana.

- Coś jeszcze?

- Owszem. Są i ślady polskie. Szczególnie ciekawa wydaje mi się powieść anonimowego pisarza renesansu. Nosi tytuł: „Historyja prawdziwa o przygodzie żalosej księżęcia Knarfa i jego małżonki Thaa”. To rękopis, który był przygotowany do wydania w krakowskiej oficynie. Na karcie tytułowej napisane jest: „W Krakowie, w drukarni Mikołaja Szarffenbergera, roku Pańskiego 1571”. Ten warsztat drukarski mieścił się na ulicy Grodzkiej. Była to zapewne jedna z tych popularnych powieści, które sprzedawano na straganach. Przynosiły całkiem niezłe dochody.

- Czy przynajmniej jeden z tych tekstów dochował się do dzisiejszych czasów? - Emanuel postarał się, aby w jego głosie nie zabrzmiały ironiczne nuty.

- Jak najbardziej - odparł niespodziewanie opat. - Nawet kilka. Jesteśmy w ich posiadaniu. Znajdują się w bibliotece.

Emanuel spojrzał na niego bardzo uważnie.

- W tej bibliotece?

- Otóż właśnie. - Opat nie potrafił ukryć dumy malującej się na bladym obliczu. Jego oczy wprost płonęły. - W dodatku są to, panie Henzelmann, teksty ponad wszelką wątpliwość autentyczne.

- Czy mógłbym je zobaczyć? - spytał po chwili milczenia Emanuel nieco zły na siebie, że nie potrafi radzić sobie z emocjami. Miłość do książek była jednak w jego przypadku dużo silniejsza niż wszelki sceptycyzm.

- Niestety, dostęp do tych tekstów mogą mieć tylko członkowie naszego zakonu - powiedział duchowny.

Emanuel aż skrzywił się z rozczarowania.

- Tylko cystersi... - rzekł cicho.

- No i oczywiście członkowie naszego bractwa - dodał profesor Kijański, z trudem hamując wesołość.

- No i oczywiście członkowie naszego bractwa - powtórzył jak echo opat. - Bractwa Rodona Syryjczyka.

- W takim razie chcę do was przystąpić! - krzyknął Emanuel.

- Nie tak szybko, komisarzu - ostudził go profesor. - Najpierw musi przyjść zgoda z samej Francji, gdzie jest teraz główna siedziba. Rozumie pan, formalności potrważą co najmniej kilka tygodni. Najważniejsze, że wyraził pan chęć przystąpienia do nas. Teraz pewnie chciałby pan usłyszeć coś więcej o naszym bractwie, prawda?

- Nie ukrywam, że tak.

* * *

Opat zamknął katalog, odchylił się do tyłu na krześle i zupełnie po świecku założył ręce na karku.

- Tak, nasze bractwo powstało pod koniec czternastego wieku. Utworzyło je kilku mogińskich cystersów w tajemnicy przed opatem i resztą mieszkańców klasztoru. Oczywiście stało się to pod wpływem „Sekretnej historii herezji” brata Pacyfika, jakżeby inaczej. Tego rodzaju dzieła szczególnie mocno oddziałują na niespokojne umysły. Z początku była to, jak sądzę, tylko intelektualna zabawa wymyślona przez obdarzonych nadmierną wyobraźnią młodzieńców, paru znudzonych kopistów oraz iluminatorów, dopiero wiele lat później okazało się, że sprawa jest dużo poważniejsza, niż ktokolwiek był w stanie przewidzieć. Otóż członkowie stowarzyszenia zaczęli poszukiwać wszelkich wzmianek o Khurunie. Okazało się, że im bardziej zagłębiali się w temat, tym mniej przypominało to zabawę. Skala zjawiska był dla nich nie lada zaskoczeniem. Jeden z członków bractwa był odpowiedzialny za wyszukiwanie i zakup książek dla naszej biblioteki, dużo więc podróżował po kontynencie. Odwiedzając europejskie księgozbiory, co rusz natrafiał na nowe ślady istnienia Khuruny.

- Domyślam się, że po kilkunastu latach już cały klasztor był w to wciągnięty - przerwał Emanuel.

- Trafnie się pan domyśla, panie Henzelmann - odparł opat. - A od początku piętnastego wieku cały zakon cystersów zaangażowany był w tę sprawę. Oczywiście nieoficjalnie. Nasze bractwo jest ściśle tajne.

Emanuel z niedowierzaniem pokręcił głową.

- A więc wszystkie wasze klasztory w Europie...

- Wszystkie nasze klasztory na świecie - poprawił komisarza zakonnik.

Część trzecia

Habsburgowie i gady

Zapytał nas, czy jesteśmy zdecydowane. Odpowiedziałyśmy, że tak. Wtedy zapytał, czy umiemy strzelać z rewolweru. Zaprzeczyłyśmy. Powiedział, że dostarczy nam broń i że powinnyśmy poćwiczyć przed akcją. Cały czas się uśmiechał i był bardzo uprzejmy. Potem wstał i pożegnaliśmy się. Przy drzwiach powiedział coś jeszcze, ale nie pamiętam już co dokładnie. Coś o kukielkach w admirałskich mundurach. O kukielkach, którymi poruszają gady. Pamiętam tylko, że mnie to trochę zdziwiło, ale szybko o tym zapomniałam. Dopiero teraz, kiedy o tym wspomniano, przypominam sobie, że coś takiego rzeczywiście miało miejsce.

A. P.Kr., Akta Sądu Krajowego w Krakowie,
SKKKr 88 a, nr sprawy Pr III, 74/5.

Szczerbata Mamuška

Imponujący kapelusz, wielki jak transatlantyk - przybrany piórami, kwiatami i na dodatek jeszcze jakimiś sztucznymi owocami - zupełnie nie pasował do właścicielki.

Za to doskonale spełniał swoją rolę. Ukrywał mianowicie zabandażowaną głowę kobiety. Mimo to patrząc na swoje odbicie w szklanej witrynie zegarmistrza na ulicy Brackiej, Eulalia Wolf, z domu Radziejewska, nie mogła powstrzymać złości. Chryste, wyglądała po prostu idiotycznie. Kapelusz był wyjątkowo szkaradny i śmieszny. Cholerne wronie gniazdo, w którym nie dało się wejść do dorożki ani przejść przez żadne drzwi.

Owszem, kapelusz w niczym nie przypominał prostego filcowego nakrycia, jakie zwykła nosić w Ameryce, ani nawet tego skromnego modelu, w którym chodziła do tej pory po Krakowie.

Ale cóż, jedynie taki monstrualny okaz mógł w tej chwili zamaskować skutki uderzenia na Plantach.

A oberwała naprawdę porządnie. Miała mocną głowę, nie tylko do alkoholu, ciężko było ją rozbić, tym razem jednak Eulalia Wolf nie wytrzymała ciosu. Straciła przytomność. Ocknęła się dopiero dzięki staraniom jakiejś prostytutki, która szczęśliwie dla Eulalii przechodziła późnym wieczorem przez Planty.

Gdyby nie ta przypadkowa kurewka, z pewnością Szczerbata Mamuška zamarzłaby na śmierć w tych krzakach, nie dowiedziawszy się nawet, kto ją tak urządził.

A bardzo chciała się dowiedzieć.

Ktokolwiek to był, mógł już spisywać testament. Szczerbata Mamuška nie zwykła puszczać takich rzeczy płazem.

I ten wścibski komisarz policji, i jego tajemniczy wybawca byli już martwi, nawet jeśli o tym jeszcze nie wiedzieli.

Ale najpierw należało wykonać zadanie. Szef nie płacił jej za wyrównywanie osobistych porachunków. Najpierw musiała załatwić niejakiego Tomasza Arsenicza, młodego kataryniarza, chłystka przybyłego późną jesienią tego roku ze Lwowa. Obdartego włóczykija,

którego bezskutecznie szukała od tygodnia.

Dzisiaj wreszcie trafiła na jego trop.

Tomasz Arsenicz siedział właśnie w jadalni po drugiej stronie ulicy, zając się pewnie zupą grzybową, podczas gdy ona nie dość, że marzła, to jeszcze zmuszona była oglądać swoje odbicie w szybie wystawy. Gdyby nie ukryta pod płaszczem butelka whisky, byłoby rzeczywiście ciężko ustać na tym mrozie.

Tak, mały kataryniarz miał wielkie kłopoty. Należało grzecznie, lecz stanowczo poprosić go o opuszczenie miasta. Powinien wrócić do Lwowa i zapomnieć o Krakowie. Gdyby nie chciał posłuchać tej prośby, Eulalia miała za zadanie pozbyć się grajka raz na zawsze. Byle po cichu.

Rewolwer więc odpadał.

Pozostawał nóż.

Nie pytała, w czym przeszkadza szefowi ten śmieszny obdartus. Nigdy nie zadawała takich pytań. Po prostu wykonywała robotę. Szef był ekscentryczny, nawet bardzo, ale płacił dobrze i zawsze w terminie. Zlecał zadanie bez żadnych wyjaśnień i komentarzy, pozostawiając jej za to zupełną swobodę w wyborze metody i środków. Taki układ w zupełności odpowiadał Eulalii Wolf. Nie należała do osób, które lubią zbyt wiele rozmyślać i tym samym komplikować sobie życie.

Zawsze taka była i zapewne między innymi ta cecha charakteru sprawiła, że Eulalia Wolf została wybrana przez szefa.

No i oczywiście dzięki bogatemu doświadczeniu.

* * *

Ponieważ zyciorys Eulalia Wolf miała z całą pewnością nietuzinkowy.

Urodziła się w Krakowie na ulicy Długiej, w rodzinie ubogiego krawca, który lubił zaglądać do kieliszka, i chorowitej szwaczki. W sumie niewiele jednak czasu spędziła w królewskim mieście. Nie zachowała żadnego wspomnienia z tego okresu życia, miała bowiem niespełna dwa lata, kiedy państwo Radziejewscy postanowili całą rodziną wyemigrować do Ameryki. Najpierw miała to być Brazylia, bo ktoś tam powiedział, że to najprawdziwszy raj na ziemi.

W końcu stanęło na Ameryce. HAMERYCE, jak mawiał jej ojciec.

Bądź co bądź, to była niezwykle ryzykowna decyzja. Nie mieli tam nikogo, a mimo to postanowili rzucić wszystko i spróbować szczęścia w Nowym Świecie. Uznali zapewne, że gorzej niż w Krakowie być im już nie może.

Najpierw miał popłynąć tylko ojciec, ustawić się i dopiero wtedy ściągnąć resztę. Lecz po namyśle doszli do wniosku, że za ocean wyruszą od razu wszyscy razem: Marcin i Zofia Radziejewscy, a wraz z nimi Eulalia i jej o trzy lata starszy brat, Ryszard. Tak więc decyzja zapadła. Wiosną 1851 roku opuścili uprzykrzony Kraków, aby udać się na drugi koniec świata.

Za chlebem.

Kierunek: Nowy Jork, miasto niezmiernych możliwości.

Parowiec „Deutschland” wypłynął z Bremy w kwietniu 1851 roku. Radziejewscy podróżowali jako pasażerowie trzeciej klasy w smrodliwym, rzadko wietrzonym pomieszczeniu pod pokładem parowca, w sąsiedztwie palaczy - w pomieszczeniu, gdzie nie istniało coś takiego jak podział na kobiety i mężczyzn. Oddzieleni od pasażerów pierwszej klasy długimi korytarzami i żelaznymi drzwiami, tłoczyli się razem jak zwierzęta w biblijnej arce. Podczas gdy nad ich głowami trwały bale, koncerty, popijano szampana i przechadzano się po słonecznych pokładach z eleganckimi parasolkami, trzymanymi w okrytych rękawiczkami dłoniach, oni leżeli na zwykłych gołych pryczach, w bladym świetle naftowych lamp. Jedni spali, inni pili wódkę, grali w karty, śpiewali, rzygali do wiader. Kobiety w chustach tuliły na rękach płaczące dzieci.

Jednym z takich kołysanych w ramionach maleństw była Eulalia.

Po przybyciu do Nowego Jorku zamieszkali w skleconym z surowych desek, przykrytym brezentem baraku, kilka przecznic od Parku Centralnego, dzieląc tę rozpadającą się budę z wielodzietną rodziną z Neapolu. Tak, z początku było im cholernie ciężko. Wiadomo, taki już los imigranta. Dorywcze złe płatne prace oddzielone długimi okresami bezrobocia. Po paru miesiącach, kiedy Marcin Radziejewski zatrudnił się jako robotnik portowy za sześć dolarów za godzinę, czyli całkiem nieźle, zdało im się, że los wreszcie się do nich uśmiechnął.

Uwierzyli w tę odmianę na tyle, że zaczęli nawet myśleć o ściągnięciu do Nowego Jorku reszty rodziny z Krakowa.

Niestety - a może raczej: na szczęście - nigdy do tego nie doszło. Ojciec Eulalii stracił nagle pracę, z dobrze opłacanego robotnika portowego zamienił się w zwykłego zmiataacza ulic, w dodatku coraz więcej pił. Matka zaczęła znowu chorować, a starszy brat - wyjątkowy niedojda i kretyn - przyłączył się do jakiegoś włoskiego gangu, co przysporzyło całej rodzinie więcej problemów niż finansowych korzyści. Przez całe lata ledwie wiązali koniec z końcem. Nadszedł wreszcie czas, że młodziutka Eulalia zapragnęła wydostać się z tego przekłętą miasta. Niczego nie pragnęła gorzej, niż wynieść się z Nowego Jorku, porzucić rodzinę i rozpocząć nowe życie gdzie indziej.

Byłe jak najdalej od pijanego ojca, kaszłającej matki, brata przygłupa, no i tego cholernego, obszczanego przez pijanych wykolejeńców Parku Centralnego.

W wieku czternastu lat wreszcie trafiła jej się okazja, dzięki której mogła zrealizować to marzenie. A okazje trzeba wykorzystywać. Uciekła do Teksasu z siedemnaście lat od niej starszym Irlandczykiem o nazwisku Doran, rudym chudzielcem z blizną w poprzek końskiej twarzy, facetem podejrzanym o co najmniej trzy morderstwa w dzielnicy Five Points. Eulalia zabrała ze sobą nie tylko wszystkie pieniądze, jakie znalazła w domu, ale i rodzinne pamiątki, jakies ozdoby, których Zofia Radziejewska nie chciała sprzedać nawet w najtrudniejszym dla nich okresie.

Prawdę mówiąc, te błyskotki, jak się szybko okazało, były dużo mniej warte, niż się spodziewała.

Kilka miesięcy później zakochani wzięli ślub w Houston. Następne dwa lata to był chyba najspokojniejszy okres w jej życiu. Ona pracowała jako szwaczka, a potem pomywaczka w obskurnych podejrzanym lokalach, on natomiast - ubrany w elegancki czarny surdut - obrabiał pasażerów na kursujących po Missisipi statkach pocztowych.

Kilku mężczyzn, którzy mieli nieszczęście być na tyle trzeźwi i spostrzegawczy, aby przyłapać go na oszustwie podczas gry w karty, w tajemniczych (ale tylko dla gazet) okolicznościach wypadło później za burtę statku. Nawet jeśli pechowcy nie trafili między obracające się łopatki olbrzymiego koła na rufie, to i tak niewielkie były szanse na ich dopłynięcie do brzegu, bowiem najczęściej już przed wpadnięciem do wody mieli poderżnięte gardła.

Od ucha do ucha.

Prawdziwie irlandzka robota.

Grając w karty z Jamesem Doranem, naprawdę lepiej było przymykać oko na nieuczciwe zagrywki. Słowem, łatwiej pogodzić się ze stratą kilkudziesięciu nawet dolarów niż życia lub zdrowia.

Ale wiedza ta docierała do niektórych stanowczo zbyt późno.

Kiedy tylko wybuchła wojna secesyjna, małżonkowie porzucili spokojne, ustatkowane życie i szybko przyłączyli się do oddziału konfederatów. Eulalia niemal natychmiast została kochanką przywódcy, Izajasza Henry'ego Lectera, byłego mormona, a przede wszystkim bandyty, dla którego wojna stanowiła tylko kolejną okazję do łatwego wzbogacenia się.

Człek ten nawet nie wiedział, o co właściwie w niej chodzi, kto walczy przeciwko komu - prawdę mówiąc, w ogóle go to nie interesowało. Był to jeden z największych zbirów, jakich kiedykolwiek nosiła amerykańska ziemia. Nigdy nie trzeźwiał, ale zawsze strzelał celnie. Z

lewej ręki, nawet siedząc w siodle, trafiał w podrzuconą pięćdziesiąt kroków dalej półdolarówkę oraz zmiatał ludziom kapelusze z głów - istne *chapeaux bas*, można powiedzieć.

Choć mówiąc uczciwie, dużo częściej celował nieco poniżej ronda. W sam środek czoła.

Farmerzy nazywali go Pijanym Diabłem, a Indianie kilku plemion straszili nim swoje dzieci.

Przy Lecterze rudy szuler James Doran wydawał się doprawdy niewiniątkiem, właściwie mógłby z powodzeniem czytać z ambony Pismo Święte, a potem śpiewać psalmy, dzieląc kościelną ławkę z pobożnymi żonami bankierów, aptekarzy oraz przedsiębiorców pogrzebowych.

Jak łatwo zgadnąć, ludzie Lectera dużo częściej niż żołnierzy unii atakowali okolicznych farmerów. Nie gardzili też, rzecz jasna, napadami na pociągi i dylizanse, te ostatnie stanowiły zresztą ich specjalność. Sielanka skończyła się, kiedy w trakcie strzelaniny w miasteczku Hannibal Eulalia Doran utraciła za jednym zamachem i męża, i kochanka. Obaj zostali podziurawieni przez wynajętych rewolwerowców, podobno Meksykanów.

Od tamtej pory Meksykanów nienawidziła nawet bardziej niż dotychczas.

Ale żałoba trwała krótko. Szczerbata Mamuśka (w jakiejś potyczce odrzut strzelby pozbawił ją trzech przednich zębów, dzięki czemu zyskała nowy przydomek) związała się z kolejnym niepospolitym bandytą, tym razem pół Niemcem, pół Indianinem o nazwisku Wolf. Gdy po niespełna trzech miesiącach małżeństwa mężczyzna zawisł na szubienicy za napad na bank i zabicie szeryfa, coś w kobiecie pękło i zaczęła coraz częściej zaglądać do kieliszka. A trzeba zaznaczyć, że i do tej pory bynajmniej nie wylewała za kołnierz.

Wyglądało więc na to, że jej amerykańska kariera powoli dobiega końca.

Wtedy to właśnie, kiedy była już niemal na dnie, zainteresowali się nią dwaj tajemniczy panowie z Londynu.

Trzeba przyznać, że już na pierwszy rzut oka wyglądali na Anglików: sztywni jak manekiny, nienagannie ubrani, wymuskani, jacyś tacy bladzi, z końskimi twarzami. Dżentelmeni, jak to się mówi.

Niczego dobrego to nie wróżyło, zwłaszcza że Eulalia miała sporo grzechów na sumieniu.

Wiedziała, że już od dłuższego czasu ją obserwują, chociaż wydawało im się zapewne, iż tego nie dostrzega. Tajniacy od siedmiu boleści. Siedzieli w tej samej knajpie, kilka stolików dalej, niby to patrząc przez okno na zakurzoną ulicę miasteczka. Dobrze sobie. Nie ze Szczerbatą Mamuśką takie numery, bo nawet jeśli była pijana, zwierzęcy instynkt wciąż jeszcze jej służył.

Wyczuwała takich jak oni na milę.

Wreszcie nie wytrzymała. Postanowiła przerwać tę komedyjkę, wstała, poprawiła kapelusz, strzyknęła brunatną od tytoniu śliną do spluwaczki i zataczając się, podeszła do ich stolika.

* * *

Dwa tygodnie później popijała już whisky na pokładzie eleganckiego parowca płynącego do Londynu, gdzie czekała na nią nowa praca. Robota, która miała odmienić jej życie. Wydobyc ją z rynsztoka.

Eulalia Wolf została agentką.

Pracodawcą okazał się niejaki lord Blessington (tytuł i nazwisko zapewne zmyślane, dlatego w myślach nazywała go po prostu szefem), dziwaczny nieruchomy facet w masce. Od stóp do głów ubrany na czarno. Karakon. Do tego wszystkiego mówił nienaturalnym, jakby metalicznym głosem.

Pewnie jakiś odgrywający wampira wariat, pomyślała po pierwszej rozmowie, która odbyła się w jego otoczonej kamiennym murem posiadłości pod Londynem. Sypia w trumnie, a nocami urządza przedstawienia. Obrzydliwy, cuchnący, unikający słonecznego światła szaleniec.

Nie przeszkadzało jej to jednak przesadnie. Za takie pieniądze mogła pracować nawet dla cholernego wampira. Bo że szef naprawdę był milionerem, to nie ulegało wątpliwości. Pewnie właściciel kopalni diamentów czy coś w podobnym stylu. Nieważne. Liczyło się to, że bogaty i nie skąpi pieniędzy.

A i sama praca była dla niej wprost wymarzona. W zasadzie niewiele się różniła od tego, co Eulalia robiła przez całe swoje dorosłe życie. Prawdę mówiąc, była chyba nawet łatwiejsza. Kogoś pobić, kogoś nastraszyć, komuś coś odebrać. Łatwizna. Miała przecież do tego naturalny talent.

A talent, jak to mówią, należy pielęgnować.

Tylko kilka razy musiała wykonywać mokrą robotę. Najczęściej dotyczyło to ludzi z marginesu: jakichś złodziejasków, oszustów, włóczęgów. Zwykle płotki. Trzeba przyznać, że szef był pod tym względem niezwykle ostrożny i jedynie w ostateczności, kiedy inne sposoby okazywały się nieskuteczne, wyrażał zgodę na tak drastyczne rozwiązanie problemu.

Z początku działała tylko na terenie Londynu, ale mniej więcej po roku pracy zaczęto powierzać jej zadania również w innych angielskich miastach. Potem przerzucono ją na kontynent. Eulalia nie narzekała. W końcu zawsze to jakiś dowód uznania, no nie? Widocznie

szef był zadowolony z jej usług, skoro zlecał prace nie tylko w Paryżu czy Monachium, ale nawet w dalekiej Moskwie. Łączyło się to oczywiście z większymi pieniędzmi.

Nie, Eulalia Wolf bynajmniej nie narzekała na swój los.

Do Krakowa została skierowana w październiku ubiegłego roku. Od razu zorientowała się, że szykuje się jakaś grubsza afera, bo sam szef pojawił się w mieście, a nie zdarzyło się jeszcze do tej pory, aby przy okazji przydzielonego jej zadania opuścił swoją podlondyńską rezydencję.

Przynajmniej ona nie pamiętała takiego przypadku.

* * *

Kataryniarz wyszedł z lokalu tuż przed szóstą. Cholernie dużo czasu zajął mu ten obiad, niech go diabli! Pewnie wypił przy okazji ze trzy kufle ciemnego piwa. W sumie to i bardzo dobrze. Wiadomo - po pijanemu ludzie na ogół całkowicie tracą czujność, zwłaszcza takie chłystki jak ten tutaj. Cóż, będzie jeszcze łatwiejszym kąskiem. Wygląda na to, że Eulalia uniknie dzisiaj większych problemów.

Ruszyła za kataryniarzem, który zmierzał w stronę Rynku. Najlepiej zaskoczyć takiego delikwenta w trakcie oddawania moczu gdzieś w ciemnej bramie albo na podwórku. Są wtedy zupełnie bezbronni. Jak dzieci. No nic, panie kataryniarzu, poczekamy aż pęcherz się odezwie. Wtedy sobie szczerze porozmawiamy.

Eulalia Wolf sięgnęła po butelkę i przystawiła szybko szyjkę do ust. Pociągnęła potężny łyk, trochę alkoholu polało jej się po brodzie. Wytarła ją rękawem płaszcza. Przyjemne ciepło natychmiast rozpląnęło się po całym ciele. Kobieta poczuła przyływ sił. Schowała butelkę i dotknęła palcami rękojęści ukrytego pod obszerną spódnicą noża.

Uśmiechnęła się do siebie.

Tak, porozmawiamy sobie szczerze. Od serca.

Kataryniarz kroczył niepewnie, z rękami w kieszeniach, zgarbiony, z pochyloną głową, zostawiając za sobą obłoczki pary. W pewnym momencie poślizgnął się, zamachał rękami i cudem chyba tylko utrzymał równowagę. Typowa ofiara. Aż się prosi o jakieś nieszczęście. Mimo to Eulalia podążała za nim, zachowując odpowiedni dystans i trzymając się drugiej strony ulicy. Nawet gdyby się teraz odwrócił, nie powinien zauważyć, że jest śledzony.

Jesteś już mój, kochasiu. Nie uciekniesz.

Minęli ratusz, Sukiennice i weszli w ulicę Sławkowską. Czyżby zmierzał w kierunku Kleparza? Przecież nie mieszkał tam od dobrych kilkunastu dni. Co więcej, zalegał z czynszem.

Może zostawił coś ważnego w wynajętym mieszkaniu?

A może zdobył skądś pieniądze i chce teraz uregulować dług? Taki jest uczciwy! Eulalia z trudem powstrzymała śmiech, po czym po raz kolejny podniosła do ust płaską butelkę whisky. Miała wrażenie, że ognisty trunek rozświetla ją od środka. Niestety - zostało już tylko kilka łyków, trzeba będzie po robocie gdzieś się zaopatrzyć. Inaczej znowu nie będzie mogła w nocy zasnąć.

Głęboki śnieg zachrząścił pod butami, kiedy znaleźli się na Plantach. Wkraczając w mrok pomiędzy drzewami, kobieta instynktownie napięła mięśnie, czujna i gotowa do ataku niczym nocny drapieżnik. Mogłaby teoretycznie zrobić to tu i teraz, pośród ciemnych drzew, ale postanowiła jeszcze się chwilę wstrzymać.

Spokojnie. Trzeba zachować zimną krew. Nie było aż tak późno, w każdej chwili mógł się pojawić ktoś niepowołany. Na przykład jakiś stójkowy. Jeśli młodzieniec rzeczywiście zmierza w stronę Kleparza, po drodze będzie wiele lepszych okazji.

Prześli ulicę Basztową i weszli w opustoszałą o tej porze Długą. Nie było tu już tylu latarń co w pobliżu Rynku, nie świeciły również wystawy sklepowe zaopatrzone w gazowe lampy ani kawiarniane sale. Tylko w pojedynczych oknach piętrowych budynków drgały nagle odbłaski świeczek.

Eulalia Wolf musiała zmniejszyć nieco dystans, żeby w tych ciemnościach nie stracić kataryniarza z oczu. Teraz będzie trudniej, bo może usłyszeć za sobą jej kroki. Na pustej ciemnej ulicy każdy człowiek zwraca uwagę, szczególnie taki, który idzie za naszymi plecami.

Ale kataryniarz ani razu się nie odwrócił. Widać wypity alkohol go znieczulił. Utworzył wokół niego przejrzysty kokon złudnego bezpieczeństwa. Przyjemnie będzie ten kokon rozerwać, pomyślała, czknąwszy odrobinę zbyt głośno. Poczwała na plecach przyjemny dreszcz.

Już się napawała jego zaskoczeniem i strachem.

Zwłaszcza strachem.

Lubiła ten wyraz przerażenia malujący się na twarzach ofiar. Ten specyficzny zapach, jaki wtedy wydzielają ich ciała. Dawało jej to poczucie nadludzkiej siły, całkowitej dominacji.

Oto prawdziwa władza, kiedy możesz zrobić z drugim człowiekiem, co tylko przyjdzie ci do głowy! Nic innego nie może się z tym uczuciem równać. To narkotyk wymagający coraz większych dawek.

Gdzieś zza pleców dobiegi do niej naraz ochryply pijacki śpiew.

Cholera jasna! Syknęła ze złości. Diabli nadali tego kretyna. Teraz kataryniarz już na pewno się odwróci. Postanowiła ukryć się za węglem mijanego budynku, ale poślizgnęła się na oblodzonym krawężniku i upadła jak długa. Monstrualny kapelusz zsunął jej się z głowy, odsłaniając brudny bandaż, a butelka whisky wypadła spod płaszcza i wylądowała na chodniku. Gorzej już chyba być nie mogło.

- Ostrożnie, babciu! - krzyknął donośnie pijak, który wynurzył się naraz zza jakiegoś zakrętu. Siwowłosy dziad z brodą, w rozpiętym płaszczu. - Trzeba uważać, bo o wypadek nietrudno i nie będzie miał kto wnukom bajek opowiadać!

Kataryniarz oczywiście się odwrócił. Jakżeby inaczej! Cały misterny plan wziął nagle w łeb!

- Chodź pan tutaj do nas, młody człowieku! - zawołał pijaczyna. - Pomożemy babuleńce wstać!

- Oczywiście - odkrzyknął dziarsko młodzieniec. - Już biegnę!

- Zjeżdżaj, moczymordo, bo zaraz ty będziesz leżał! - warknęła Eulalia w kierunku zbliżającego się do niej siwowłosego mężczyzny. Silny amerykański akcent umniejszył jednak groźbę zawartą w wypowiedzianych słowach.

- A cóż to ja widzę? - zaśmiał się tamten, patrząc na leżącą butelkę. - Chyba mnie oczy mylą! Czyżby szanowna pani była, że się tak wyrażę, pod gazem? Mówimy coś strasznie niewyraźnie. A co to za butelczyna?

- Zabieraj się stąd!

- No jakże to tak? Dama, a po pijanemu wieczorami chodzi? - nie ustępował tamten. - W tym wieku?

- Paszoł won! - krzyknęła nie wiedzieć czemu po rosyjsku.

- No nie, prawdziwy dżentelmen nie zostawi przecież kobiety upadłej na lodzie. Nie bój się, babciu, odprowadzimy cię do samiutkiego domku. Ten młodzieniec chętnie nam pomoże, prawda, kawalerze?

- Pomogę, a jakże!

Zanim zdążyła się podnieść, zanim zdążyła zrobić w ogóle cokolwiek prócz może zaskoczonyj miny, pijak z zadziwiającą szybkością stanął nad nią, po czym pochylił się i chwycił kobietę pod pachy. Kataryniarz również był już przy niej. No to ładnie, przemknęło jej przez zabandażowaną głowę. Z bramy pobliskiej kamienicy wybiegł tymczasem jeszcze jeden mężczyzna.

Wyglądał jak dziad spod kościoła.

Cudownie! Brakowało tylko prasy i Walerego Rzewuskiego ze swoim aparatem, żeby

mógł zrobić zdjęcie.

- Co wy robicie, do cholery? - spytała oszołomiona.

Pijak nachylił się do jej ucha.

- No już, wstajemy. Raz-dwa, do góry - szepnął niemal pieszczotliwie.

Próbowała chwycić za nóż, ale nie mogła namacać rękojeści. Pewnie wyleciał w trakcie upadku.

- Puszczaj, bo...

Umilkła, czując pod żebrami lufę pistoletu.

- Pójdiesz grzecznie z nami - powiedział łagodnie siwowłosy mężczyzna. - Albo zastrzelę cię w najbliższej bramie.

- Czyżby...? - wykrztusiła tylko.

- Tak, zgadłaś. Teraz pojedziemy sobie na małą wycieczkę. Co ty na to?

Jej kokon bezpieczeństwa prysł właśnie jak mydlana bańka.

Przesłuchanie

Po minucie siedzieli już w saniach.

Przodem do kierunku jazdy ulokował się rozchełstany Leopold Kijański, obok niego Eulalia Wolf, a naprzeciwko usiedli Tomasz Arsenicz, doktor Blumenstog oraz przebrany za niewidomego żebraka Emanuel Henzelmann.

Wszyscy prócz kobiety byli podekscytowani i uśmiechnięci, jakby wracali z noworocznego balu.

Kiedy tylko usiedli, ten sam co zawsze woźnica strzelił z bata i sanie pojechały ulicą Długą w stronę Rynku. Przy Basztowej skręciły ostro w lewo i ruszyły w kierunku na Lubicz.

Do rogatek.

- Ale tłok - odezwał się wesoło profesor.

- Przynajmniej będzie nam cieplej - odparł doktor, energicznie zacierając zmarznięte dłonie.

- Co prawda, to prawda. - Leopold Kijański był najwyraźniej w świetnym nastroju. - Chociaż na razie jest mi jeszcze gorąco.

- Ano tak, bo pan brał udział w akcji, profesorze - odparował Blumenstog. - Ja za to musiałem czekać przy saniach.

- A ja marzęm w bramie! - zawołał Emanuel Henzelmann.

Kijański rozłożył ręce i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Następnie nachylił się ku skrepowanej kobiecie.

- No, babciu, urządzimy sobie kulig. Co ty na to?

Eulalia siedziała sztywna jak pałuba, wciąż nie mogąc zrozumieć, jak mogło do tego dojść. Naprawdę była w szoku. Nigdy w życiu nie dała się tak oszukać, nawet na początku bandyckiej kariery w Ameryce, kiedy dopiero zdobywała szlify pod okiem kolejnych małżonków.

Już tamto zdarzenie na Plantach, kiedy pozbawiono ją przytomności, można było uznać za dużą wpadkę, ale to co zdarzyło się przed momentem, to po prostu kompromitacja.

Katastrofa. W dodatku wpadła w zasadzkę zastawioną przez katarzyniarza i jakichś trzech dziwnie wyglądających starszych panów.

Wszystko przez ten alkohol. Cholerna whisky! Po trzeźwemu Szczerbata Mamuśka nigdy w życiu nie dałaby się przecież tak podejść.

Związano jej ręce i zasłonięto oczy czarną opaską. Kapelusz umieszczono z powrotem na rozbitej głowie, nie tyle z litości, ile po to, by uniknąć ciekawskich spojrzeń. Biel bandaża zbyt wyraźnie zaznaczała się w ciemnościach zimowego wieczora. A oni nie chcieli zwracać na siebie uwagi.

Lepiej, żeby nikt ich teraz nie rozpoznał.

* * *

Po godzinie jazdy byli w Mogile. Przez cały ten czas Eulalia Wolf nie odezwała się ani słowem. Mężczyźni nie przejmowali się tym zbytnio. Wiedzieli, że w odpowiednim momencie i tak znajdą sposób na jej milczenie.

Wjechali przez bramę i parkową aleją dotarli do dworku.

- Wsiadamy! - zakomenderował doktor Blumenstog.

Eulalia nie stawiała oporu, kiedy wyprowadzano ją z sań. Zdążyła pogodzić się już z losem. Była pewna, że wywieziono ją za miasto tylko po to, żeby zastrzelić gdzieś w ustronnym miejscu. Ciało nikt nigdy nie odnajdzie. Mało tego, nikt nigdy nie będzie go szukał! Szef skreślił ją po prostu z listy pracowników i zwerbuj nowego agenta. No cóż, tak to w tym zawodzie bywa, nic człowiek nie poradzi.

Zaprowadzono ją do środka. Co to za budynek? Oczy wciąż miała zasłonięte, ale po szczekaniu psów zorientowała się, że zajechali do jakiejś większej wsi. A więc nie wywieźli jej prosto do lasu. Może to jeszcze nie koniec? Będą ją przetrzymywać jako zakładniczkę?

Byliby na tyle głupi, żeby iść na wojnę z samym szefem? Czyli jednak amatorzy? Tym gorzej świadczyłoby to o niej - dała się ograć zwykłym dyletantom.

Kiedy zdjęto jej opaskę, zobaczyła, że nie znajdują się w żadnej sali przesłuchań z narzędziami tortur, tylko w porządnie umeblowanym pokoju. Okna były szczelnie zasłonięte, w kominie trząsał ogień, było ciepło i przytulnie. Posadzili ją na wygodnym fotelu przy ścianie. Ale ręce wciąż miała związane.

- Coś na rozgrzewkę - powiedział okrągły łysawy mężczyzna w okularach, po czym wyjął z kredensu butelkę koniaku, kieliszki oraz szklankę. Do kieliszków rozlał alkohol z aptekarską dokładnością. Szklankę napenił zaś bez ceregieli. Jak się okazało, szklanka była przeznaczona dla Eulalii.

A więc postanowili ją upić! Niedoczekanie!

- Pani zdrowie - rzekł grubasek, podsuwając jej szklanę pod same usta.

Zacisnęła zęby i odwróciła głowę.

- Wolisz whisky? - spytał mężczyzna z udawaną troską w głosie. - Niestety, nie posiadam. Musisz się zadowolić tym, co mamy.

Prychnęła pogardliwie przez nos.

- Są dwie możliwości - powiedział łagodnie mężczyzna, odstawiwszy szklanę na brzeg biurka i wyjąwszy z szuflady jakiś przedmiot. - Albo napijemy się jak ludzie, kulturalnie, albo...

W jego rękę załśniła wielka strzykawka.

- Ależ nie wolno wstrzykiwać alkoholu bezpośrednio do krwi! - zerwał się naraz ten przebrany za ślepeca.

- Sprawdźmy - uśmiechnął się grubas.

Na widok strzykawki kobiecie zrobiło się naraz słabo.

Mogła bez mrugnięcia patrzeć w wycelowaną w siebie lufę jakiegokolwiek broni, mogła walczyć wręcz nawet z silniejszym przeciwnikiem. Nie robiło to na niej najmniejszego wrażenia.

Ale zastrzyków bała się panicznie.

* * *

Tuż przed północą zabandażowana głowa Eulalii Wolf opadła na pierś. Kobieta zaczęła chrapać.

- Więcej z niej nie wyciągniemy - westchnął profesor, uchyliwszy lekko skrzydło okna. Zapach wydychanego przez kobietę alkoholu aż szczypał w oczy. - Chociaż trzeba przyznać, że tęgą ma kobiecina głowę, oj, tęgą... - Popatrzył z niedowierzaniem na pustą butelkę po koniaku.

Rozmowa z kompletnie pijaną kobietą i tak nie miała już żadnego sensu. Bełkot przerywany czkawką stawał się coraz bardziej niezrozumiały dla siedzących w pokoju mężczyzn. Eulalia Wolf początkowo wzbraniała się przed piciem, lecz po trzeciej kolejce już sama podstawiała szklanę do nalania.

Niestety, poza pijackimi przechwałkami i tym, co i tak było już wiadome, niewiele się od niej dowiedzieli. Albo umiała się kontrolować, albo - co było też całkiem prawdopodobne - złapali płotkę.

- Prawdę mówiąc, nie tego się spodziewałem. - Profesor Kijański nie krył zawodu w

głosie.

- Wygląda na to, że butelka koniaku poszła na marne - zaśmiał się Arsenicz. - Co za baba...

- Może zadawaliśmy złe pytania? - zasugerował Emanuel.

- Może - zgodził się profesor. - Jutro trzeba będzie spróbować jeszcze raz. Musimy przypilnować, żeby nam nie wytrzeźwiała. Ma pan coś jeszcze w zapasie, doktorze?

- Tylko wino.

- Za słabe - skrzywił się Leopold Kijański. - Trzeba będzie kupić u chłopów gorzałki.

Zwisająca z krzesła Eulalia Wolf czknęła nagle głośno i jakby przestraszona tym dźwiękiem otworzyła gwałtownie oko. Drugie, mimo wyraźnych wysiłków czynionych przez jego właścicielkę, nawet nie drgnęło.

- Ba... ba... ba... - zaczęła z wyraźnym wysiłkiem. - Baaaaaaa... - po chwili odpoczynku podjęła następną próbę.

- No dobrze. - Tomasz Arsenicz machnął ręką speszony. - Niech będzie, że kobieta, a nie baba.

- Ba... ba... barrzo mi miło - wydukała w końcu, wykrzywając usta w szczerbatym uśmiechu.

Tymczasem druga powieka wygrała walkę z przyciąganiem ziemskim i odsłoniła przekrwione i lekko mętne oko. I właśnie to drugie oko poznało w końcu otoczenie i patrzących na nie mężczyzn.

- Ooo... nie! - Machnęła ręką tak gwałtownie, że aż spadła z hukiem z krzesła. Przez chwilę gramoliła się z powrotem, odtrącając ze złością pomocne dłonie. - Wcale... mi... nie... jest... miło. Wcale!

Mężczyźni popatrzyli po sobie rozbawieni. Trudno wymagać w takiej sytuacji, żeby jej było miło. Oni też nie uważali tego wieczoru za zbyt udany ani przyjemny.

- A o tym Chińczyku zapomnij... cie - odezwała się nagle przytomniejszym głosem. - Nisss wam nie powiem. Aha!

- O jakim znowu Chińczyku? - profesor Kijański nastawił ciekawie ucha. To było coś zupełnie nowego.

Roześmiała się, gwałtownie kręcąc głową i omal nie spadając przy tym znowu z krzesła.

- O Kitajcu... Żółtej małpie. Już go nie ma. *Wanted dead or alive*. Kula w łeb i do piachu z małpą.

- Zastrzelełoś Chińczyka? - Profesor energicznie, może nawet zbyt energicznie potrząsnął jej ramieniem. - W Krakowie? Odpowiadaj!

- Nieee maaa go - odparła z pijacką powagą. - Był tu, ale schował się i już go nie ma.
Kamień w wodę. Zostało jeszcze coś tego... alkoholu?

- Seng-Wu? - nie ustępował Leopold Kijański. - Czy tym Chińczykiem jest Seng-Wu?
Człowiek z tatuażem na plecach?

- Pić! Czy w tym lokalu znajdzie się jeszcze coś do picia?

Profesor spojrział na doktora, który bezradnie rozłożył ręce: wypila już cały alkohol, jaki trzymał domu.

- A coś dla potrzeb medycznych? - spytał cicho Kijański.

Blumenstog ze smutkiem pokręcił głową.

- Szefie, następna kolejka! - krzyknęła Eulalia, uderzając pięścią w stół.

- Nie dostaniesz, póki mi nie odpowiesz.

- Ty też dostaniesz kulę w łeb, eleganciku.

Czerwony Smok

- Niedobrze - powiedział profesor Kijański, kiedy nieprzytomną Eulalię Wolf przetransportowano wreszcie do sąsiedniego pomieszczenia. Mężczyźni usiedli w fotelach i zapalili papierosy. - Bardzo niedobrze to wygląda.

Zegar wskazywał godzinę pierwszą dziesięć, za oknem zadzwonił wywlekany z budy łańcuch i rozległo się zajadłe szczekanie.

- O co chodzi z tym Chińczykiem? - zapytał Emanuel, widząc, jakie wrażenie na profesorze zrobiła bełkotliwa wzmianka o „Kitajcu”.

Profesor westchnął.

- Najprawdopodobniej chodzi o Bractwo Czerwonego Smoka.

- Obawiam się, że nic mi to nie mówi.

- Jeśli rzeczywiście Seng-Wu przybył do Krakowa, to oznacza, że szykuje się w mieście grubsza afera. Będą kłopoty.

- Kim jest Seng-Wu? - zainteresował się Emanuel.

- To były członek naszego bractwa - wyjaśnił doktor Blumenstog, znizywszy głos do konspiracyjnego szeptu. - Fanatyk. Rewolucjonista.

- Doktor ma rację - potwierdził z poważną miną Leopold Kijański. - To szalenie niebezpieczny człowiek.

- A bliżej?

- Twierdzi, że poznał sekrety Khuruny, że został wybrany, by uwolnić ludzkość spod gadziej okupacji. Słowem: zbawiciel.

- To nawet interesujące - rzekł Emanuel. - Przedostał się tam przypadkowo czy może został uprowadzony?

- Porwano go, kiedy był marynarzem na niemieckim statku wielorybniczym „Jungfrau”. Trafił na drugą stronę wraz ze statkiem i całą załogą.

Komisarz w skupieniu zmarszczył czoło.

- Coś mi się chyba obilo o uszy.

- Pisano o tym w gazetach. Pod koniec lat pięćdziesiątych statek zaginął w tajemniczych okolicznościach gdzieś u zachodnich wybrzeży Afryki. Nigdy nie odnaleziono jego szczątków. Sądzono, że nikt nie ocalał. Tymczasem po kilku latach Seng-Wu odnalazł się cudownie w Edynburgu. Wtedy zaczęło się jego drugie życie. Natychmiast nawiązał kontakt ze szkocką lożą Bractwa Rodona Syryjczyka i zaczął rozgłaszać, że przybywa wprost z Khuruny, gdzie został uprowadzony wraz z resztą załogi. Jemu jednemu udało się podobno stamtąd wydostać. Zrobił na członkach stowarzyszenia olbrzymie wrażenie, głównie dzięki swoim zdolnościom, których nabral podczas pobytu w Khurunie.

- Zdolnościom ponadnaturalnym?

- Coś w tym rodzaju.

- Napisał książkę, którą jego zwolennicy uważają za swoją biblię. Nosi ona tytuł „The Serpent Mystery. Unlocking the Secrets of Khuruna”. Opisał w niej pobyt w Khurunie, jej geografię, historię, wyjawiał również, w jaki sposób mieszkańcy archipelagu nas wykorzystują.

- Nas i nasze zwierzęta - dodał doktor Blumenstog.

- Ma to coś wspólnego z okaleczeniami bydła, jak sądzę? - rzekł Emanuel coraz bardziej zafascynowany chińskim prorokiem.

- Słyszał pan o tym?

- Tak, choć szczerze powiedziawszy, byłem najzupełniej przekonany, że to wymysł dziennikarzy.

- Niestety, to realne zjawisko - oznajmił doktor Blumenstog. - Dużo powszechniejsze, niż się sądzi. Trwa to od wielu wieków. Dawniej mówiło się o grasujących po nocach wampirach, teraz czasy mamy dużo bardziej racjonalne, więc wini się jakieś tajemnicze sekty.

- Co ma na ten temat do powiedzenia nasz Chińczyk?

- Uważa, że robią to właśnie szarcy.

- W jakim celu?

- Jeśli wierzyć Azjacie, muszą to robić, aby przetrwać - wyjaśnił profesor Kijański. - Według jednej wersji, bo ma dwie teorie na ten temat, cierpią na jakąś chorobę związaną z układem trawiennym. Krótko mówiąc, nie funkcjonuje on tak jak trzeba i podlega powolnemu, lecz nieodwracalnemu zanikowi. Według słów Seng-Wu, który jak sam przyznaje, nie zna się na tym dobrze, stosują wyciągi z tkanek pobieranych od ludzi i zwierząt. Najczęściej wycinają im jakieś gruczoły, tak to właśnie nazwał: języki, gałki oczne, organy rozrodcze... Coś z tego uzyskują. Coś, co jest lekarstwem na ich śmiertelną chorobę. Substancję tę nazywają lepolinem.

- Widzi pan, podobno sami doprowadzili się do tego stanu, manipulując przy własnych komórkach. Zmieniali i ulepszali organizmy, tworzyli hybrydy i budowali całkiem nowe istoty. Z krwi i kości budowali automaty, które pracowały dla nich w kopalniach. Seng-Wu twierdzi, że zbudowali także ludzi.

- To szalone i... fascynujące.

- To jeszcze nie wszystko. Tworzyli ludzi wiele razy i za każdym razem niszczyli swoje dzieło. Pierwszego człowieka zbudowali czterdzieści milionów lat temu. Był to pół człowiek, pół ryba.

- Syrena?

- Coś w tym guście. My, jeśli wierzyć słowom Seng-Wu, jesteśmy podobno czwartą wersją.

- Jak widzę, znaleźli sobie niezłą zabawę.

- Tak - odparł profesor z grobową miną. - Bawili się najwyraźniej w Boga do momentu, kiedy wymknęło im się to spod kontroli.

- Oni umierają?

- W zasadzie już umarli - powiedział doktor. - Dziewięćdziesiąt pięć procent populacji wyginęło. Pozostały tylko elity, bo tylko najpotężniejszych stać na wciąż nowe zabiegi. To właśnie skutek eksperymentów przeprowadzanych od wieków na własnych organizmach. Jeśli zaufać Chińczykowi, archipelag jest teraz niemal opustoszały. To agonia, zmierzch potężnej ongiś cywilizacji. Seng-Wu powiada, że zostali tylko nieliczni książęta i szlachta w swoich wystawnych pałacach oraz rezydencjach na wyspach Tassijan-Ba, Taar-Ba czy prześwietnej Vljaj-Ba nad rzeką Aniwą.

Samo brzmienie tych nazw uruchomiło natychmiast wyobraźnię Emanuela Henzelmana.

Bure niebo, półmrok, płaskie chmury - pomarańczowe i szkarłatne - tuż ponad szczytami posepnych pałaców. Wiatr od morza pędzi ku miastom cuchnące wyziewy ziemi i wody. Nieznośny gęsty fetor unosi się w powietrzu. Ulice miast są kanałami odpływowymi jakiejś mulistej, oleistej cieczy, cuchnące odpadki zalegają przed wilgotnymi, pełnymi robactwa budynkami.

W dusznych wnętrzach smoczy książęta oddychają z trudem.

Khuruna umiera.

- A jaka jest ta druga wersja? - zapytał Emanuel.

- Niektórzy utrzymują, że pobierane z tkanek substancje pozwalają utrzymać im się w naszej gęstości.

Zza ściany dobiegły jakieś hałasy. To z pewnością Eulalia Wolf oprzytomniała i próbuje

oswobodzić się z więzów. Na znak profesora Tomasz Arsenicz wyszedł z gabinetu.

- Najciekawsze chyba jest to, że szarcy nie pochodzą z Khuruny, tylko z naszego świata.

Eulalia tymczasem zaczęła śpiewać jakąś kowbojską piosenkę.

- Narodzili się tutaj? - zapytał komisarz, kiedy hałasy umilkły.

Profesor odchrząknął nerwowo, potem potarł palcem powiekę.

- Proszę się nie śmiać... najprawdopodobniej pochodzą od dinozaurów. W tym akurat zgadzamy się z Chińczykiem. Miliony lat temu żył podobno dinozaur zbliżony wielkością do człowieka. Niedawno odnaleziono jego szczątki w Chinach. Gad chodził sobie na dwóch tylnych kończynach i miał przeciwstawne kciuki. Według Seng-Wu to właśnie jest bezpośredni przodek szarców.

Przez minutę albo dwie nikt się nie odzywał.

- Słowem, mamy sekretną cywilizację dinozaurów? - podsumował Emanuel z lekko ironicznym uśmiechem.

- Właśnie - przytaknął profesor. - A może jaszczurów albo gadoidów, różnie się je nazywa. Niektórzy opisują ich jako diabły, demony, serpenty czy też smoki. Cywilizacja powstała dużo, dużo wcześniej niż nasza, wiele milionów lat temu. Kiedy na ziemi pojawili się pierwsi ludzie, zaczął się już właściwie jej zmierzch. Zmierzch, który na dobrą sprawę trwa do dzisiaj. Tysiące, setki tysięcy lat upadku. Widać z tego, że czas na Khurunie płynie chyba w dużo szybszym tempie.

- Czy te informacje pochodzą z książki pana Seng-Wu?

- Większość.

- Trzeba przyznać, że jeśli nawet zmyśla, to ma niesamowitą wyobraźnię... No dobrze, a w jaki sposób szarcy się tam dostali? To znaczy do Khuruny?

- Teoria katastrof, akurat niebędąca autorstwa Chińczyka, tylko pewnego francuskiego badacza Khuruny. Miliony lat temu uderzył podobno w Ziemię olbrzymi aerolit. Wyzwolona wtedy energia była tak potężna, że zburzyła równowagę między różnymi postaciami materii. Pojawiły się szczeliny, poprzez które nieliczni ocalali szarcy zaczęli się przedostawać na drugą stronę, bo warunki w ich świecie zmieniły się bardzo na niekorzyść. Znaleźli swoją ziemię obiecaną na wyspach archipelagu i zainicjowali tam nową cywilizację.

- Ale najwidoczniej to im nie wystarcza, skoro wciąż przenikają do naszego poziomu, prawda?

- Tak, od tysięcy lat wkraczają do naszej rzeczywistości i robią tutaj, co im się żywnie podoba. To okupanci, a co gorsza: niewidzialni okupanci. Mimo że w tej chwili jest ich bardzo mało, na dodatek umierają, zostaliśmy bezsprzecznie podbici i nawet nie zdajemy

sobie z tego sprawy. To znaczy, większość o tym nie ma pojęcia. Żyją nierozpoznani pośród nas. Zakamuflowani. Maskują się, ukrywają swój prawdziwy wygląd.

- A wie ktoś, jak wyglądają naprawdę? - przerwał mu komisarz. - Czyżby tak jak na mojej fotografii?

- Mniej więcej. Seng-Wu twierdzi tylko, że w rzeczywistości wcale nie są szarzy. To nasze oczy po prostu nie potrafią rozpoznać prawdziwych barw ich skóry. W ogóle nasze światło różni się od tego, które wypełnia Khurunę, wspomina się o tym we wszystkich niemal relacjach. Z tego powodu ich oczy są bardziej czułe niż ludzkie. W nasze noce jest dla nich jasno jak w słoneczne południe.

- Dlatego hrabia Lupescu unika światła?

- Między innymi. Wzrok jest ich słabym punktem. Nie dość, że są nadwrażliwi na nasze światło, to jeszcze ich mózgi zbudowane są tak, że nie rozróżniają rysów twarzy. Rozpoznają nas na podstawie głosu i zapachu.

Emanuel potrzebował chwili, żeby przetrwać te informacje.

- No i dobrze - powiedział. - Według Chińczyka gadoidy wnikają do naszego świata, ukrywając przed ludźmi swój prawdziwy wygląd. Jeśli mnie pamięć nie myli, dokładnie to samo opowiadali mi panowie przy pierwszym spotkaniu. Cóż w tym zatem dla was takiego rewolucyjnego i szokującego?

- Tak, ma pan rację, to brzmi znajomo - odparł profesor. - Tyle że Seng-Wu idzie dalej. O wiele dalej.

- Herezjarcha? - Emanuel nie mógł sobie darować ironii.

- W pewnym sensie tak. Odszczepieniec - odparł profesor z tak poważną miną, że uśmiech na twarzy komisarza zgasł bez śladu. - Niebezpieczny radykał. Twierdzi mianowicie, opierając się również na mało znanych pracach szwajcarskiego badacza, że gadoidy dawno już opanowały światowe rządy. Wieki temu zaczęły przenikać wszędzie tam, gdzie decyduje się o najważniejszych rzeczach. Niejaki Ozyrys przed wieloma tysiącami lat pojawił się w Afryce Północnej i stworzył z niczego egipską cywilizację. Jego towarzysze uczynili to samo na Bliskim Wschodzie, a także w Ameryce Południowej. Pierwsi królowie na ziemi nie byli ludźmi, ich linie krwi przetrwały do naszych czasów.

- Czyli kierują nami szarzy?

Profesor pokiwał ze smutkiem głową.

- Trwa to do dzisiaj, choć już nie w takim natężeniu jak w przeszłości. Według Chińczyka ich przedstawiciele zostali ustawieni na wysokich stanowiskach, skąd mogą kontrolować politykę. Zajmują kluczowe pozycje w gabinetach ministerialnych, w rządzących partiach, w

rodzinach królewskich. Podporządkowali sobie wszystkie liczące się dynastie: Habsburgów, Romanowów, Hohenzollernów. Nie wspominając już o Stolicy Apostolskiej, gdzie od zawsze mieli swego przedstawiciela.

- To rzeczywiście brzmi interesująco - przyznał Emanuel. - Czy pan Seng-Wu wyjaśnia może, w jaki sposób szarcy dokonują tych zamian?

- Owszem. Podobno gadoidy porywają wpływowych ludzi, a na ich miejsce umieszczają podległe sobie sobowtóry.

- A więc dokonują podmian?

- Otóż to.

- Przyznam, że to nawet dosyć ciekawa koncepcja. - Emanuel w zadumie podrapał się po nosie. - Rzecz jasna, te sobowtóry nie są już ludźmi?

Profesor zwlekał przez chwilę z odpowiedzią.

- Nie, Seng-Wu utrzymuje, że to jakies sztucznie stworzone biologiczne maszyny. Automaty. Całkowicie lojalne wobec swoich konstruktorów. Wyglądają jak ich pierwowzory, są nawet wręcz nie do odróżnienia, ale zachowują tylko niewielką część pamięci z poprzedniego „wcielenia”.

- Czyli wszczepiane jest im coś w rodzaju sztucznej pamięci?

- Właśnie o to chodzi. - Profesor odchrząknął. - Bardzo też prawdopodobne, że te sobowtóry czy też automaty nie zdają sobie nawet sprawy z tego, że są podmieńcami. Wydaje im się, że mają wolną wolę, ale za sznurki pociąga ktoś inny.

- Potomkowie dinozaurów?

- Powiedzmy.

Jeszcze kilka tygodni temu Emanuel roześmiałby się w twarz profesorowi, ale w tej chwili niewiele już rzeczy mogło go zadziwić.

A do śmiechu też mu nie było.

- Powiedział pan, że nie można ich odróżnić od oryginałów?

Profesor pokręcił głową.

- Nie. To idealne kopie.

- Więc jak Bractwo Czerwonego Smoka ich rozpoznaje? - zainteresował się komisarz.

- W bardzo prosty sposób: Seng-Wu wskazuje, kto jest sobowtórem - uśmiechnął się krzywo profesor. - Jak już wspomniałem, podczas pobytu w Khurunie nabrał podobno nadnaturalnych zdolności. W jego obecności, gdziekolwiek przebywa, zawsze zachodzą różne tajemnicze zjawiska. Myślę, że dlatego istota podająca się za hrabiego Lupescu chciała, aby nasz Tomasz Arsenicz meldował mu o dziwnych zdarzeniach. Po prostu szukają naszego

Chińczyka. Szukają pana Seng-Wu.

Emanuel zapalił papierosa.

- Na czym niby polegają te jego zdolności? Jest spirytystą? - zapytał, wypuściwszy dym nosem.

- Niezupełnie. Ale podobno potrafi lewitować, materializować przedmioty, odczytywać myśli, przepowiadać przyszłość. Tego typu sprawy. Są naoczni świadkowie tych cudów. Twierdzi również, że jest w stanie rozpoznać szarców. Chodzi o otaczającą ludzi aurę czy coś w tym stylu. Podobno każdy człowiek ma taką aurę, natomiast owe kopie już nie. Po tym można rozróżnić podmieńców od ludzi. Nie umiem tego panu dokładnie wyjaśnić. To wszystko jest bardzo, ale to bardzo mętne.

Jak ta cała wasza wiedza o Khurunie, pomyślał Emanuel, lecz zachował tę konstatację dla siebie.

Zapytał tylko:

- Co dalej?

- Chińczykowi udało się przekonać wielu członków bractwa, że gadoidy kontrolują światowe rządy, dzięki czemu mogą sobie bezkarnie porywać ludzi i zwierzęta. Zaczął nawoływać do wojny, do zamachów. Przekonywał, że Bractwo Rodona Syryjczyka musi przekształcić się w organizację zbrojną, wręcz terrorystyczną, że podmieńców należy eliminować fizycznie.

- Chciał po prostu utworzyć tajną armię - podsumował doktor.

- I utworzył?

- Prawdopodobnie tak, ale już samodzielnie - odparł profesor Kijański. - Ze względu na radykalizm poglądów został usunięty z Bractwa Rodona Syryjczyka. Utworzył więc własne stowarzyszenie. Nazwał je Bractwem Czerwonego Smoka od tatuażu, który nosi na plecach. To było w tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym roku.

- Od tamtej pory doszło na świecie do wielu zamachów politycznych - dodał doktor. - Może to tylko zwykłe przypadki, ale są podstawy, by sądzić, że za niektórymi z nich stał Czerwony Smok.

- Czyżby? - zainteresował się komisarz. - Jeśli mam być szczery, jakoś nie zauważyłem, żeby ostatnimi laty działo się w polityce coś szczególnego.

- A my właśnie pozwoliliśmy sobie zebrać najważniejsze zabójstwa polityczne z tego okresu. Było tego całkiem sporo - odparł doktor, po czym sięgnął do szuflady biurka. Przez kilkanaście sekund w niej grzebał, w końcu wyjął jakieś luźne kartki. - Zgromadziliśmy ciekawy materiał.

- Proszę mówić - zachęcił Emanuel.

Profesor nabrał głęboko powietrza.

- Proszę bardzo. W roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym pewien aktorzyzna zabija w teatrze prezydenta Stanów Zjednoczonych, Abrahama Lincolna - zaczął uroczystym tonem.

- To dosyć znana sprawa, szczegółowo opisana.

- Akurat o tym czytałem - pokiwał głową Emanuel.

- Właśnie. Trzy lata później ginie z rąk zamachowca księżę Serbii, Michał Obrenowicz, a po drugiej stronie oceanu poseł do parlamentu kanadyjskiego, Thomas Macgi.

- Interesujące.

- W sześćdziesiątym dziewiątym zabity zostaje gubernator Burgos de Castro, rok później premier Hiszpanii, marszałek Juan Prim. W siedemdziesiątym drugim podobny los spotyka wicekróla Indii, nazwiska niestety nie odczytam, w każdym razie strasznie długie. W siedemdziesiątym piątym traci natomiast życie prezydent Ekwadoru, Gabriel Garcia Moreno.

Emanuel popatrzył uważnie na profesora.

- Sugeruje pan, że to wszystko sprawka Czerwonego Smoka?

- To jeszcze nie koniec, panie Henzelmann. Trzy lata temu, w roku siedemdziesiątym szóstym, zamordowano tureckiego sułtana oraz wielkiego wezyra.

- Abd-ul-Aziz i Husejn Awni - wtrącił się znowu doktor Blumenstog. - Był jeszcze ten francuski polityk. Miał na nazwisko Noir.

- Właśnie - potwierdził profesor. - Dziękuję, doktorze. Ostatni przypadek to zabójstwo Kropotkina, gubernatora Charkowa. Nie wspominamy już o nieudanych zamachach na królową Wiktorię i Franciszka Józefa.

- Oni również są podmienieni?

- Tak, według Seng-Wu to kopie na usługach jaszczurów.

- Zabójstwa polityczne zdarzają się od zawsze - rzekł Emanuel, nieprzekonany tą wyliczanką.

- Zgoda - odpowiedział profesor. - Ale organizacja przyznała się do tych zamachów. Ogłosili, że morderstwa te to dzieło Bractwa Czerwonego Smoka.

- Przecież to szaleńcy! - skwitował komisarz. - Żeby narobić wokół siebie hałasu, przyznaliby się zapewne nawet do zabójstwa Juliusza Cezara.

- Nie lekceważyłbym tych ludzi - odparł poważnie Leopold Kijański. - To szaleńcy, zgoda, ale Chińczykowi udało się przekonać do swoich teorii wielu bardzo bogatych i bardzo wpływowych ludzi. Mają więc kontakty na całym świecie, to potężna siatka wzajemnych powiązań. Mają również odpowiednie środki. Do tego współpracują jeszcze z wieloma

organizacjami anarchistycznymi, i to nie tylko w Europie. Są zdeterminowani, święcie wierzą w misję oswobodzenia świata spod gadziej okupacji. Z tego powodu nie wolno ich do końca lekceważyć. Kto wie, być może zaczęli wprowadzać w życie swoje obłąkańcze plany? Teoretycznie członkowie Czerwonego Smoka mogliby stać za tymi zamachami, może nie za wszystkimi, ale za jednym czy dwoma, czemu nie?

Emanuel zgasił starannie papierosa w ciężkiej popielnicze.

- Skąd pewność, że Seng-Wu nie ma racji?

Profesor rozłożył ręce.

- Oczywiście takiej pewności nie mamy i raczej mieć nie będziemy. To co mówi, brzmi nawet rozsądnie, a w każdym razie tłumaczy wiele spraw... - Potarł podbródek. - Ale sam pan chyba rozumie, komisarzu, że nie możemy zabijać prezydentów i cesarzy tylko na podstawie przypuszczeń czy rozpoznawania niewidzialnej aury.

- Rozumiem - powiedział sucho komisarz. - Trzeba było jednak przewidzieć, że ktoś taki wcześniej czy później się pojawi. Zabawa w apokryfy i morskie legendy się skończyła. Ktoś sobie to wszystko najwidoczniej wziął za bardzo do serca.

Profesor spojrział na niego surowo.

- Nigdy nie traktowaliśmy tego jako zabawę, panie Henzelmann - rzekł.

- Zatem kto pana zdaniem znalazł się teraz w niebezpieczeństwie? Cesarz Franciszek Józef? - Komisarz uśmiechnął się niedowierzająco.

- Nie sędzę - odparł spokojnie profesor Kijański. - Skoro Seng-Wu pojawił się w Krakowie, musi to być ktoś, kto w jakiś sposób związany jest teraz z Krakowem.

Henzelmann wzruszył ramionami.

- Przecież dwór jest w Wiedniu.

- A kto mieszka od niedawna w naszym mieście?

- Nie rozumiem.

- Ktoś z rodziny Habsburgów? - podpowiedział profesor.

Henzelmann potarł w zamyśleniu czoło i nagle spojrział zdumiony na Kijańskiego.

- Arcyksiążę Fryderyk...?

- Dobrze pan kombinuje, komisarzu - rzekł Leopold Kijański. - Dobrze pan kombinuje.

Mamy Habsburga.

- Podmieńca?

Profesor zawahał się.

- Sam chciałbym wiedzieć...

* * *

Noc miał były komisarz wyjątkowo ciężką. Długo przewracał się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Tysiące myśli przelatywało mu przez głowę, zapadał w krótkie męczące drzemki, w czasie których uciekał przed jakimś nieuchwytnym zagrożeniem.

Wreszcie nad ranem udało mu się zasnąć.

Śniła mu się sawanna, rozpoznał ją od razu, chociaż nigdy nie był w Afryce. Pasące się w oddali zwierzęta wyglądały jednak dziwnie obco, nie przypominały żadnych znanych mu stworzeń.

Kiedy odwrócił wzrok w drugą stronę, zauważył parę kroków przed sobą ogromną, sięgającą aż po horyzont wyrwę w ziemi. Miękkie gliniane brzegi nosiły ślady pazurów jakiejś ogromnej maszyny albo gigantycznych zwierząt.

Mechanicznych dinozaurów?

Pasy ziemi między poszczególnymi wrębami wyglądały jak kolumny poznaczone smugami beżowopomarańczowej gliny.

Emanuel Henzelmann wcale nie był tym zdziwiony, jak to we śnie. Zastanawiał się tylko, po kim lub po czym zostały takie ślady, no i po co w ogóle wykopano tę dziurę w ziemi.

Nagle powietrze nabrało ciepłego pomarańczowego koloru, gęstniejącego w miarę zbliżania się do krawędzi urwiska. Daleko, na horyzoncie stykającym się z drugim brzegiem ogromnej wyrwy, widać było zamglone błękitne niebo z białymi, promieniście ułożonymi pionowymi chmurami. Było w nim coś niepokojącego, ale Emanuel nie zwracał teraz na to uwagi. Niebo było daleko.

Tymczasem tajemnicza przepaść nęciła, wabiła go do siebie. Ledwie widoczne dno wydawało się usłane miękkimi pokładami gliny w kolorze ciepłej ochry.

Chodź! zdawała się wzywać otchłań, czekamy tu na ciebie...

Skoczył bez namysłu i ze zdumieniem stwierdził, że opada na dno wolno jak liść lub bańka mydlana. Jakby prawie nic nie ważył. Dziwna substancja przypominająca glinę była puszysta, odbijał się więc od niej lekko i znów płynął szczęśliwy w powietrzu.

Za każdym podskokiem zbliżał się jednak nieuchronnie do drugiego końca wyrwy, do widocznego tam nieba. Zimny zamglony błękit bez wątplenia zwiastował jakieś nieszczęście.

Uważaj!!!...

Komisarz zerwał się z posłania spocony i przerażony. Na co mam uważać? pomyślał niezbyt przytomnie. Przez chwilę siedział jeszcze na łóżku, usiłując wyrównać oddech. Sen zaczął przeciekać jak przez otwory wielkiego sita - po chwili zostało już tylko wspomnienie

jakiegoś zagrożenia.

Co mi się, do diabła, śniło? Potarł w zamyśleniu czoło, ale nic, poza niejasnym ostrzeżeniem, nie pamiętał już z tego snu.

Do samego rana nie udało mu się ponownie zasnąć. Kręcił się w łóżku, co chwila zmieniając pozycję, bo wciąż było mu niewygodnie. W końcu wstał, zapalił papierosa i zaczął na nowo przeglądać książki, które wypożyczył od doktora Blumenstoga. Wśród nich była skrócona wersja dzieła Seng-Wu.

„The Serpent Mystery. Unlocking the Secrets of Khuruna”.

Zupełnie nie mógł się jednak skupić na dziele chińskiego proroka.

Kto i przed czym mnie ostrzegał? zastanawiał się, przerzucając bezwiednie kartki. W końcu wzruszył bezradnie ramionami i wrócił do lektury:

„Założycielem miasta był na pół legendarny Babira Czerwony. Zapoczątkował on dynastię Lehakir-Jedan, z której wywodził się między innymi słynny Szaraasijan Niszczyciel, pogromca zbuntowanych górników z wyspy Brodar. Pośród zabitych buntowników znalazło się wtedy wielu człekokształtnych. Wszyscy górnicy byli zresztą stworzeni sztucznie w Pałacu Wiedzy oraz otaczających stolicę fabrykach niewolników.

Dynastia wygasła po trzech tysiącach lat, a władzę przejął Skokk z rodu Grijech, zwany Czterookim. Jego syn, Tonhak Podwodny, zjednoczył dwadzieścia trzy południowe wyspy archipelagu. Zginął w bitwie pod Górną Jedidą, a jego ciała nigdy nie odnaleziono. Na tronie zasiadł więc Szlifa Przetworzony albo Starzec (według źródeł północnokhuruńskich), pierwszy władca, który dzięki zabiegom manipulatorów żył i panował ponad tysiąc lat. Dokładnie tysiąc dwieście jedenaście. Długi jego żywot zakończył się, kiedy podczas wizyty na wyspie Mawrik unoszący rodzinę książęcą aerostat z niewiadomych przyczyn runął do morza. Ciało tradycyjnie nie odnaleziono. Nawet martwe ciało wystarczało bowiem do odtworzenia nieboszczyka. ”

Ma wyobraźnię ten Chińczyk, pomyślał Emanuel, zamykając książkę.

Czy rzeczywiście przybył do Krakowa? Jeśli tak, to gdzie może się ukrywać? Azjatów w mieście jest raczej niewielu, prawie w ogóle. Musiałby przyciągać uwagę. No nic, przydałoby się chociaż godzinę pospać.

Komisarz przymknął oczy, ale natychmiast je otworzył.

Sekundę później zerwał się z łóżka jak oparzony, szybko włożył spodnie i wybiegł z pokoju.

- Profesorze, doktorze, proszę się obudzić! - niemal krzyczał, pukając do drzwi gabinetu.
- Chyba wiem, gdzie powinniśmy szukać tego Chińczyka!

Egzotyczny pomywacz

Wyruszyli bladym świtem, kiedy niebo było atramentowe, a śnieg na polach niebieski. W dworku został tylko doktor Blumenstog, który miał za zadanie opiekować się wciąż jeszcze pijaną Eulalią Wolf.

- Co z nią zrobimy? - spytał Emanuel, kiedy wyjechali z Mogiły. Był blady i niewyspany po męczącej nocy. - Nie możemy jej przecież tak trzymać w nieskończoność.

- Jeszcze nie wiem - odparł profesor. - Najchętniej zapakowałbym ją do skrzyni i wysłał statkiem z powrotem do Ameryki.

- Najlepiej martwą - dodał Tomasz Arsenicz.

- Niestety, albo na szczęście, to nie nasz styl - rzekł ponuro Leopold Kijański. - Będziemy musieli wymyślić coś subtelniejszego. Przez kilka dni może jeszcze pomieszkać w Mogile. Potem się zobaczy. Jest pan pewien, że to był Chińczyk, a nie na przykład Japończyk?

- Był żółty i skośnooki, tyle wiem na pewno - odparł Emanuel.

- No nic, dowiemy się. Mówi pan, że na Kazimierzu? Sprytna bestia, tam go Lupescu nie będzie szukał.

- To była jakaś taka nędzna spelunka. Nazwy nie pamiętam, ale chyba gdzieś na Gazowej. Trafimy na pewno, bo obsługuje Cyganka.

- A to ci dopiero! - zaśmiał się donośnie profesor. - Cyganka i Chińczyk w żydowskiej dzielnicy. Ja bym tego nie wymyślił. Swoją drogą pański zmysł obserwacji jest bezcenny, panie Henzelmann.

Tak, kiedy tylko Emanuel usłyszał z ust Eulalii Wolf wzmiankę o Chińczyku, w jego głowie odezwał się ostrzegawczy dzwonek. Gnębiło go to przez cały czas, ale nie potrafił uchwycić, co jest przyczyną tego uczucia. Wreszcie kiedy zmęczony lekturą zamknął oczy, obraz sam się pojawił pod powiekami: listopad, komisarz przebrany za austriackiego inwalidę, pijany stróż, nędzna knajpa na Kazimierzu, Cyganka z fajką w zębach.

I Chińczyk myjący podłogę na zapleczu.

W mieście znaleźli się tuż przed ósmą. Słońce wyszło właśnie nieśmiało zza chmur i - jak

na tę porę roku - było dosyć ciepło. Śnieg na ulicach powoli topniał, odsłaniając brunatne błoto, piasek i stare liście. Rozpuszczały się zwisające z okapów sople, woda bulgotała wesoło w rynnach, chrupały kruche tafle kałuż pod butami przechodniów i kopytami koni. Wielu spacerowiczów chodziło w rozpiętych płaszczach.

Zatrzymali się obok dworca kolei żelaznej i zamienili sanie na dorożkę. Kazali stangretowi jechać na Kazimierz, ale nie na samą ulicę Gazową, tylko na jedną z sąsiednich. Wyglądałoby to nader podejrzenie: trzech dobrze ubranych dżentelmenów zajeżdża dorożką pod obskurny szynk niby pod najlepszą restaurację na Rynku.

Wysiądą więc sobie dwie ulice dalej i trochę się przespacerują. Pogoda w sam raz na spacer.

Słońce przyjemnie przygrzewało i odbijało się w świeżo umytych oknach kamienic. W Krakowie dało się już wyczuć przedświąteczny nastrój. Na placach i ulicach sprzedawano zielone choinki, pracowicie dekorowano witryny magazynów, jakiś skrzypek w dziurawym kapeluszu grał w bramie kolędę.

Emanuel zanurzył się po uszy w tej atmosferze.

Boże Narodzenie w Krakowie.

Cóż może być piękniejszego? Najlepiej wspominał te święta, kiedy żona jeszcze żyła, a syn był mały. Ech, te czasy już nie wrócą.

Pamiętał suche pachnące choinkowe igły na dywanie, ślady kleju na stole - uboczny efekt produkcji wielometrowych łańcuchów z kolorowego papieru - słodkie lepkie figi. Szelesty podczas rozpakowywania prezentów. Zapach wypastowanej podłogi, wykrochmalonej pościeli i ten najpiękniejszy, wydobywający się z kuchni aromat pieczonych ciast i przygotowywanych potraw wigilijnych.

Tego ostatniego zapachu brakowało teraz komisarzowi. Żona przykładła dużą wagę do tradycji. Potraw musiało być dwanaście, sianko pod śnieżnobiałym obrusem, opłatek, barszcz czerwony z uszkami grzybowymi i karp. I te puszyste baby pełne rodzynek. Te makowe strucle... Emanuel Henzelmann przełknął bezwiednie ślinę.

No a potem pasterka w kościele Mariackim - kolędy w blasku setek świec.

- Miejmy nadzieję, że Chińczyk wciąż jeszcze tam pracuje - przerwał jego wspomnienia Leopold Kijański.

- Jest pan go w stanie rozpoznać, profesorze? - Komisarz niechętnie wrócił do rzeczywistości.

- Niestety, z tym może być mały problem. Nigdy nie spotkałem go osobiście. Widziałem tylko fotografię, ale dla mnie ci Chińczycy są jednakowi. Zresztą oni to samo twierdzą

podobno o nas.

- A tatuaż na plecach? Ten smok?

- Nie spodziewa się pan chyba, że nasz przyjaciel będzie chodził rozebrany do pasa. To nie kotłownia na statku.

Emanuel zmarszczył czoło.

- Widzę więc, że nie mamy najłatwiejszego zadania.

Profesor uśmiechnął się niewesoło.

- Jeśli to rzeczywiście Seng-Wu, czeka nas piekielnie trudne zadanie, panie Henzelmann.

- Toś mnie pan pocieszył, nie ma co.

Kiedy wysiedli z dorożki, było piętnaście po dwunastej. Stanęli w jednej z bram, żeby nie rzucać się w oczy, tuż obok pustego podwórka zamkniętego oficynami o podrapanych fasadach i brudnych oknach.

- Nie ma chyba sensu, panowie, żebyśmy tam szli wszyscy na raz - stwierdził profesor Kijański. - Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pójdzie pan Arsenicz. W Krakowie jest od niedawna, nikt go nie rozpozna. My poczekamy w tej jadłodajni po drugiej stronie.

- Ano - zgodził się ochoczo były kataryniarz - mogę iść. A co mam właściwie robić, jeśli można wiedzieć?

- Wstąpi pan po prostu na piwo albo na dwa i zorientuje się, czy nasz Chińczyk wciąż tam pracuje. Tylko dyskretnie, bez nadmiernego rozpytywania. Ten człowiek naprawdę jest bardzo sprytny. Jeśli go pan zobaczy, już my sobie poczekamy, jak będzie wracał z pracy. Ma pan jakieś pieniądze?

- Niestety, w tej chwili nie posiadam.

- Nic nie szkodzi. Zaraz panu coś damy. - Wyjął z kieszeni portfel. - Tylko błagam raz jeszcze: dyskretnie, bo go spłoszymy.

Arsenicz uśmiechnął się szeroko na widok banknotów. Starczy przynajmniej na trzy piwa, bo w takim podłym miejscu musi być tanio. Nie to co w okolicach Rynku. Tam to dosłownie zdzierają z człowieka skórę.

- Ma się rozumieć, panie profesorze - zapewnił. - A jeśli on tam będzie? Mam go capnąć i przyprowadzić do panów? Do jadłodajni?

Profesor Kijański zrobił taką minę, że były kataryniarz natychmiast zgasił swój beztroski uśmiech. Zrobiło mu się nieswojo i zaczął przyglądać się uważnie czubkom nowych butów.

- Uchowaj Boże, panie Arsenicz - powiedział profesor, zniżając głos niemal do szeptu. - Ten człowiek zabiłby pana w sekundę, nawet by się pan nie zorientował. Żadnych akcji. Po prostu dopije pan spokojnie piwo, grzecznie zapłaci i wyjdzie z lokalu.

- To potrafię zrobić - odzyskał rezon Arsenicz.
- Znakomicie. Liczymy na pana.
- Postaram się nie zawieść.

* * *

Ale już samo wejście do lokalu wyglądało nieco inaczej, niż to sobie Tomasz Arsenicz zaplanował. Zamierzał po prostu wejść, przywitać się, zamówić piwo i usiąść skromnie gdzieś w pobliżu wejścia na zaplecze.

Z widokiem na kuchnię.

Tymczasem ledwie otworzył drzwi szynku, wpadł na niego z impetem jakiś pijany olbrzym w białym fartuchu, a po chwili pojawiła się w progu wymachująca szczotką stara Cyganka.

- Won, moczymordo, bo ci łeb rozwałę!

Olbrzym w fartuchu objął młodzieńca, starając się utrzymać na nogach. Tomasz Arsenicz omal nie upadł na plecy pod tym niespodziewanym ciężarem. Uwolnił się z objęć pijaka akurat w momencie, gdy kobieta wymierzyła cios. Szczotka strąciła cylinder z głowy Tomasza, podczas gdy mężczyzna, dla którego przeznaczone było uderzenie, wtoczył się z powrotem do środka.

- Powiedziałaam: won!

Cyganka wcale się nie przejęła, że przed chwilą uderzyła szczotką Bogu ducha winnego człowieka. Chyba tego nawet nie zauważyła. Klnąc jak furman, wycofała się w ślad za natrętem.

Arsenicz westchnął i pochylił się, żeby podnieść z ziemi cylinder, lecz nie zdążył tego uczynić, bo pijaczyna został właśnie ponownie wypchnięty z lokalu i zanim udało mu się zatrzymać, wykopał nakrycie głowy na środek ulicy.

- Jak mi tu jeszcze raz wrócisz, oberwiesz łopata!

- Nie masz łopaty, czarownico!

- To pożyczę od stróża!

- Nie pożyczysz ci!

- To się przekonasz!

- Spalę ci ten burdel, zobaczysz, wiedźmo! - odgrażał się mężczyzna, starając się jednocześnie utrzymać równowagę na śliskim chodniku. On również w ogóle nie zauważał Arsenicza. - Puszczę z dymem!

- Jesteś zwolniony! Wynocha!

- Najpierw spalę tę budę... - Chyba postanowił wprowadzić swoją groźbę w czyn, bo zaczął czegoś szukać po kieszeniach. Na ziemię spadły jakieś klucze i chustka. Wreszcie odnalazł zapalki, ale nie potrafił otworzyć pudełka.

Cyganka zaśmiała się pogardliwie.

- Nawet papierosa sobie nie podpalisz, pijaczyno! Zabieraj się stąd! Zaraz zawołam stójkowego, on ci pomoże.

- Zostanie tylko popiół i zgliszcza, jak w pamiętnym sześćdziesiątym trzecim, przysięgam na Boga!

- W pamiętnym sześćdziesiątym trzecim to ty puszczałeś stateczki na Wiśle i rzucałeś kamieniami do gołębi, gówniarzu.

- Sama zobaczysz... - wymamrotał mężczyzna, schylając się, żeby pozbiierać swoje rzeczy. Operacja okazała się jednak dla niego w tej chwili nieco zbyt skomplikowana, tak że po kilku sekundach siedział już na chodniku, wpatrując się tępo we własne kolana. - Oddaj mi moje pieniądze, bo cię pokroję, ty...

Kobieta sapnęła tylko ze złością, po czym z całej siły zatrzasnęła drzwi - tuż przed nosem Tomasza Arsenicza, który zdążył już podnieść cylinder z ulicy, otrzepać go ze śniegu, nałożyć na głowę i wrócić na chodnik.

Zdetonowany młodzieniec odczekał chwilę, następnie zapukał delikatnie w szybę i uchylił drzwi, na tyle, żeby zmieścić w nich głowę.

- Otwarte? - Minę miał nietęgą, wręcz przepraszającą, jakby to on był przyczyną karczemnej awantury.

- Właż pan.

W środku było niemal ciemno. Zobaczył kilka tylko pustych stolików i zarys szynkwasu.

- Piwo jest?

- Jest. Ale nie wiem, kto panu należy, bo właśnie wywaliłam z pracy kelnera, a sama mam chory kręgosłup.

Tomasz Arsenicz obdarzył właścicielkę najbardziej zniewalającym ze swoich uśmiechów.

- Czy to może znaczy, że szanowna pani szuka pracownika?

Ale Cyganka okazała się wyjątkowo odporna na jego czarowanie.

- Nie. To znaczy, że musisz pan sobie sam nalać.

* * *

Jednakże godzinę później już miał pracę.

Po wypiciu piwa ponowił swoją propozycję z tym samym uśmiechem, który uparcie

uznawał za rozbijającego. Tym razem zaskoczyło. Prawdę powiedziawszy, spodziewał się sukcesu. Wcześniej czy później. Wiedział, że kiedy okropna Cyganka ochłonie wreszcie po incydencie z pijanym kelnerem, zda sobie sprawę, że samej będzie jej ciężko obsługiwać gości.

Miał rację. Cyganka doszła dokładnie do takiego wniosku, jaki przewidział. Ewidentnie potrzebowała kogoś do pomocy. A kataryniarz sprawiał przecież wrażenie sympatycznego i uczciwego chłopaka. Młody i silny, przyda się taki przy okazji awantur. W dodatku wyglądał na oberwańca i przybysza z prowincji, który zadowoli się najniższą stawką.

- Dużo pan pijesz? - zapytała nagle właścicielka.

- Skądże znowu! - odparł stanowczo Tomasz Arsenicz, otarłszy pianę z wąsów. - Najwyżej małe piwko, tak jak dzisiaj.

- To dobrze, bo następnego pijaka nie zniosę.

Zrezygnował więc z drugiego piwa, chociaż miał jeszcze pieniądze.

Dla dobra sprawy.

A w dodatku ewidentnie dolewali tu wody.

* * *

- Doskonale - podsumował relację kataryniarza Leopold Kijański. - Lepiej nie mogło się to ułożyć. Kiedy pan zaczyna pracę?

- Dzisiaj o szóstej.

- Chińczyka już pan widział?

Kataryniarz pokręcił głową.

- Jeszcze nie, ale będzie wieczorem. Zapytałem ją o innych pracowników.

- I?

- Powiedziała, że zatrudnia Azjatę.

Leopold Kijański zatarł ręce.

- To świetnie. Mamy go.

- Jeśli to rzeczywiście on, a nie jakiś zwykły sprzątac - mruknął Emanuel Henzelmann znad swojego talerza.

Mimo najlepszych chęci jakoś nie umiał sobie wyobrazić, że widziany przez niego niepozorny pomywacz jest przywódcą bractwa odpowiedzialnego za zabójstwo prezydenta Abrahama Lincolna.

Siedzieli w małej jadłodajni przy placu Wolnica, gdzie obsługiwał wysoki chudy Żyd w okularach i gdzie nikt niepożądany nie mógł ich raczej zobaczyć. Z wiadomych względów

starali się raczej nie rzucać nikomu w oczy. Ten lokal wydał się im idealnym schronieniem.

Przez okno widzieli stojący przy krawężniku wóz z węglem, wokół którego chodziło dwóch umorusanych młodzieńców i brązowy pies.

- Właśnie. Skąd będę wiedział, że to właściwy Chińczyk? - zapytał po chwili zadumy Tomasz Arsenicz.

- Mówiłem już, że Seng-Wu ma na plecach wytatuowanego czerwonego smoka - rzekł z lekkim uśmiechem Leopold Kijański.

Kataryniarz zrobił wielkie oczy.

- Mam go niby rozebrać? - spytał, upiwszy łyżeczek gorącej herbaty.

- Nie przy pierwszym spotkaniu - zaśmiał się już na głos profesor. - Mógłby nabrać podejrzeń. A mówiąc poważnie: musi pan działać bardzo, ale to bardzo dyskretnie. Już panu mówiłem, chcę jednak podkreślić raz jeszcze: jeśli to człowiek, którego szukamy, nie może wiedzieć, że jest obserwowany. Rozumiemy się, panie Arsenicz?

Młodzieniec pokiwał głową.

- Będę ostrożny.

- No myślę. Chodzi przede wszystkim o pana bezpieczeństwo. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby stała się panu jakaś krzywda. Jak nazywa się ten lokal?

- „U Carmen” - odparł Tomasz Arsenicz nie wiedząc czemu nieco skrepowany. - Takie jest podobno imię właścicielki. Jeśliby mnie ktoś jednak pytał o zdanie, powiedziałbym, że ta nazwa nie pasuje zupełnie ani do niej, ani do tej nory.

Profesor Kijański roześmiał się po raz kolejny. Wypił właśnie piwo i był w znakomitym humorze.

* * *

Tego samego dnia o godzinie szóstej wieczorem młody człowiek rozpoczął pracę. Szybciutko zorientował się, że nie będzie łatwo. Właścicielka powitała go chłodno i natychmiast zagoniła do roboty. Wprawdzie tylko trzech klientów okupowało bar, ale trzeba było umyć cały stos naczyń, wytrzeć wycieraczki, przetrzeć stoliki i zamieść podłogę na zapleczu. Cóż robić?

Tomasz Arsenicz włożył fartuch, zakasał rękawy i wziął się do pracy.

Po dwóch godzinach miał już dość. Gdyby nie tajna misja, rzuciłby tę robotę w diabły. Pieniądze marne, a zasuwać trzeba jak w kopalni. Nie miał nawet czasu sprawdzić, czy Chińczyk przyszedł do pracy, bo Cyganka wysłała go do piwnicy, aby powyrzucał zbędne graty i wstawił na ich miejsce tarasujące przejście beczki po piwie.

Wędrował więc tam i z powrotem po stromych schodach, dźwigając różne ciężkie oraz nieporęczne przedmioty, skoncentrowany tylko na tym, aby się nie przewrócić.

Nie tak to sobie wyobrażał.

Ucieczka z Mogiły

W tym samym czasie, czyli około godziny ósmej wieczorem, zamknięta w ciemnym pokoju mogińskiego dworku Eulalia Wolf, zwana Szcherbatą Mamušką, oswobodziła się wreszcie z więzów.

To było do przewidzenia. Jeśli myśleli, że będzie leżała jak worek kartofli, póki jej nie rozwiążą, to chyba słabo ją znali. Szcherbata Mamuška nie zwykła marnować czasu.

Półtorej godziny pocierania sznurem o kratę zimnego kominka przyniosło wreszcie pożądaną efekt, choć jednocześnie wyczerpało kobietę do tego stopnia, że jeszcze przez jakiś kwadrans po przetarciu więzów siedziała na podłodze i oddychając ciężko, rozprostowywała zdętwiałe ramiona oraz rozcierała nadgarstki.

Nie, to już nie jest ta kondycja co kiedyś.

Zdecydowanie nie.

Kto wie, może najwyższy czas na emeryturę? Może już pora ustąpić miejsca młodszym i sprawniejszym?

Ale w sumie nie ma co narzekać, były przecież i dobre strony tego forsownego wysiłku. Pomijając już oczywisty fakt oswobodzenia skrępowanych od wczoraj rąk, dodatkowo rozgrzała ją ta praca na tyle, że kobieta nie czuła już chłodu, który dokuczał jej od momentu przebudzenia. Bo gospodarze nie wpadli jakoś na pomysł, żeby rozpałcić ogień w kominku. I to mają być dżentelmeni! A tak ładnie się wysławiali, i w ogóle. Tfu!... Odwróciła głowę i z pogardą splunęła w wygasłe palenisko.

Może postanowili po prostu poczekać, aż zamarznie w tym pokoju, bo wtedy nie musieliby brudzić sobie niepotrzebnie rąk. Czyściusięńkie morderstwo, nie ma co. To by nawet do nich pasowało, tacy delikatni, że widok krwi jest pewnie ponad ich siły.

Amatorzy, co tu dużo gadać.

Tym gorzej dla nich.

Powoli i z mozołem, nie potrafiąc powstrzymać sapnięć i stęknąć, dźwignęła się na nogi. W ciemnościach ruszyła od razu w stronę drzwi, chociaż doskonale wiedziała, że zamknięto

je na klucz. Chciała tylko sprawdzić, jakie są mocne. Zgodnie z przypuszczeniami okazały się bardzo solidne. Świetna robota. Nie było sensu ich wyważać, narobiłaby tylko niepotrzebnie hałasu i starsi panowie niechybnie wpadliby tutaj ze strzelbami.

A taka strzelba może przypadkowo wystrzelić.

Podeszła do okna, spróbowała delikatnie otworzyć. Bez skutku - staruszkowie zabili je chyba gwoździami. Zresztą w tych ciemnościach ciężko było ocenić wysokość, skok z okna mógł się źle skończyć. Brakowało jej tylko złamanej nogi.

No cóż, trzeba więc uzbroić się w cierpliwość. Nie pozostawało jej nic innego, jak czekać, aż któryś z dżentelmenów złoży jej w końcu wizytę. Jeśli przyjdzie sam, nie powinno być problemów.

Może znów przyniosą ten wstrętny koniak? Skrzywiła się na samą myśl. Ciekawe, co sobie myśleli, wlewając w nią ten alkohol? Że po pijanemu zdradzi im jakieś tajemnice? Że pomoże im namierzyć szefa?

Chyba oszaleli, jeśli na to liczyli.

* * *

Nie czekała długo, już bowiem po kilkunastu minutach usłyszała kroki pod drzwiami. Ciche, pojedyncze kroki. A więc wszystko układało się po jej myśli. Błyskawicznie przyskoczyła do ściany przy drzwiach, przylgnęła do niej plecami, zaciskając w ręku ciężki pogrzebacz, który wisiał na stojaku wraz z innymi przyborami do kominka. Były tam jeszcze szczypce do węgla - też niezłe narzędzie. Wstrzymała oddech. Kroki ucichły. Przez chwilę po drugiej stronie panowała kompletna cisza, aż kobieta zaczęła się nawet niepokoić, że nic z tego, potem coś zadzwoniło, zazgrzytał klucz w zamku, szcęknęła klamka.

Drzwi uchyliły się powoli, wpuszczając do środka żółte światło latarni.

- Kolacja - usłyszała wesoły głos.

To ten grubas, który straszyl ją wczoraj zastrzykiem. Poczekaj no, doktorcu. Dam ja ci teraz zastrzyk!...

Trafiła w sam środek łysej głowy. Mężczyzna nie zdążył nawet westchnąć, upadł, wypuszczając z rąk rewolwer i talerz z rosółem. Lampę na szczęście zostawił na komodzie w korytarzu, bo mogłaby się teraz stłuc, a światło było kobiecie potrzebne. Przyskoczyła do doktora, żeby w razie czego poprawić robotę, ale nie było takiej potrzeby: stracił przytomność i wyglądało raczej na to, że prędko się nie obudzi. O ile w ogóle się obudzi. Zabrała mu rewolwer i przeszukała kieszenie szlafroka. Znalazła zapalki oraz pęk kluczy na żelaznym kółku. Lepiej już chyba być nie mogło.

Teraz trzeba było sprawdzić, czy ktoś jeszcze jest w domu. Z bronią w ręce czuła się na tyle pewnie, że nie musiała uciekać na oślep, bez żadnego planu. Najlepiej byłoby wszystkich unieszkodliwić, żeby nie przyszło im do głowy ruszać w pościg. Należałoby również dowiedzieć się, gdzie się właściwie znajduje i którędy najszybciej dostać się z powrotem do Krakowa.

No i - co najważniejsze - zorganizować jakiś transport. Choćby te sanie, którymi ją tutaj przywieźli. W najgorszym wypadku osiodłanego konia.

Na nogach przecież do miasta wracać nie będzie.

Bardzo szybko odkryła, że dom jest pusty. A więc tamci wyjechali, dobrze się domyśliła. Pewnie zabrali sanie i konie. Przeszukała pokoje, lecz nie znalazła nic ciekawego, same książki i obrazy o tematyce morskiej. Szkoda czasu, trzeba stąd zniknąć. Zabrała tylko z szafy ciepły płaszcz, prawdopodobnie własność tego doktora, bo nie za długi, jakby szyty na nią.

No tak, zabrali sanie, zauważyła Eulalia, wyszedłszy na zewnątrz. Pewnie są teraz w Krakowie.

Sprawdziła stajnię, ale - jak można się było spodziewać - zastała ją pustą.

No nic, poszukamy gdzie indziej.

Parkowa alejka doprowadziła ją do żelaznej bramy. Jeden z zabranych doktorowi kluczy pasował do zamka i chwilę potem Eulalia znalazła się na wiejskiej drodze. Śnieg szarzał w ciemnościach nocy. Ruszyła w kierunku pobliskich zabudowań. Cicho. O tej porze na wsi ludzie leżą już w łóżkach. Co to w ogóle za dziura? Jakiś kościół chyba widać z daleka. Sądząc po rozmiarach i wysokim murze wokół, to pewnie klasztor albo coś w tym rodzaju.

Jakiś pies zaszczekał ospale, lecz szybko wrócił do budy. Ominęła szerokim łukiem uśpioną chałupę, przeszła przez lichey płot i wąskim przejściem pomiędzy szopą a oborą przedostała się na podwórze. Jej ruchy były spokojne i precyzyjne.

* * *

Tym razem to byli oni. Z całą pewnością oni. Głos dobiegał ze stajni, to nie sen. Zarzał Czarny.

A przedtem rozległ się trzask.

Teodor Gołubiew po ciemku nałożył i zawiązał portki. Mam was, pomyślał wciąż jeszcze nie do końca przytomny, nie wywiniecie się, sukinsyny, ścierwa jedne!... Cichutko, starając się nie obudzić śpiącej w tym samym łóżku żony, wzuł wysokie buty. Udało mu się zrobić to niemal bezszelestnie, aż uśmiechnął się lekko pod obfitym wąsem zadowolony ze swojej ostrożności. Baba chrapała w najlepsze, śmiertelnie zmęczona trudnym cieleniem się ich

Mućki.

Stara krowa o mało nie wykończyła się, wydając w końcu na świat dorodnego byczka. Oboje z żoną mocno się napracowali, żeby wyciągnąć go żywego, tak się zakleszczył gdzieś po drodze. Kiedy już stanął na drżących cienkich nóżkach, obwąchiwany ostrożnie, a potem wylizywany przez zmęczoną matkę, wrócili do domu wykończeni, ale szczęśliwi.

Szkoda by było, gdyby Mućka miała paść przy tym porodzie. Łagodna, dawała dużo mleka, no i była ich najlepszą krową, co tu dużo gadać.

Żona obmyła się tylko nad miską i z trudem dowlokła do ich małżeńskiego łóżka. Po chwili usłyszał jej donośne chrapanie. Niech śpi, pomyślał teraz patrząc w jej stronę, zasłużyła sobie na odpoczynek. Nie chciał, żeby się obudziła, bo wtedy na pewno chciałyby z nim iść, a on wolał załatwić to sam.

Zapinając po omacku koszulę, mężczyzna powoli przeszedł do sieni. Tam włożył barani kozuch z twardej skóry, ściągnął go rzemieniem, po czym zapalił latarnię, podniósł stojącą przy drzwiach strzelbę i wyszedł na zewnątrz.

Księżyc wisiał nad czarnym lasem jak zjawa w przejrzystym welonie. Wiał zachodni wiatr. Śnieg leżał na dachach zabudowań gospodarskich. Teodor Gołubiew zszedł po skrzypiących stopniach ganku na podwórze i powoli ruszył w stronę stajni. To stamtąd dobiegał hałas. Konie były bardzo niespokojne.

Bały się.

Gospodarz również się bał.

Mimo wojowniczej miny serce biło mu mocno, a kolana drżały jak wtedy, przed siedemnastu laty, kiedy przy moście robili zasadzkę na Moskali.

Im bliżej był stodoły, tym strach stawał się większy.

Tak, od siedemnastu lat nie czuł takiego strachu. Przykre wspomnienia powróciły z niezwykłą wyrazistością. Teodor pamiętał, jak tamtej wiosny dygotał w zaroślach, zaciskając dłonie na strzelbie i żałując, że nie łyknął przed akcją gorzałki jak inni. Miał wrażenie, że krzaki trzęsą się wraz z jego ciałem i że zaraz Moskale ich wszystkich wypatrzą.

A tymczasem do mostu zbliżali się już pierwsi jeźdźcy. Wyłaniali się kolejno z porannej mgły, jakby zza kulis wkraczali na teatralną scenę. Słychać było chrapanie koni, brzęk uprzęży i wypowiedane po rosyjsku rozkazy.

Jadący na czele oddziału dragon wstrzymał konia i stanął w strzemiionach, aby sprawdzić, czy droga wolna. Był to rosły mężczyzna z czerwoną twarzą i brązowymi bokobrodami. Wyglądał na pijanego. Z jego ust wydobywały się obłoczki pary. To do niego miał strzelić Teodor, jako że ukrył się najbliżej mostu i miał jeźdźca dosłownie o kilkanaście kroków od

siebie. Wymierzył, ale ręce tak mu dygotały, że zdał sobie sprawę, iż chybi. Sekundy upływały, ptaki śpiewały w koronach drzew, a on nie mógł nacisnąć na spust.

Wiedział, że kiedy wystrzeli, skończy się ta poranna cisza, ptaki zerwą się z gałęzi, a Moskał wcale nie spadnie bez ducha z konia, tylko natrze na niego z obnażoną szablą i zarąbie go jak cielaka.

Czas jakby się zatrzymał. Wreszcie wszystko się zmieniło: dragon opadł na siodło, trącił konia ostrogą.

Dopiero wtedy rozległy się wreszcie strzały.

Ale nie Teodor Gołubiew wypalił pierwszy w kierunku Rosjanina. Nie był nawet drugi, nacisnął spust, kiedy żołnierz leżał już w błocie. Na szczęście po akcji nikt nie roztrząsał tego wydarzenia.

Nikt oprócz samego Teodora, który roztrząsał je bardzo długo.

Sparaliżował go strach i nie potrafił się z tym pogodzić. Wydawało mu się, że już nigdy w życiu nie zmaże tej plamy.

Dostał wszakże od losu jeszcze jedną szansę. Teraz, po kilkunastu latach, strach był podobny. Oto bowiem nadszedł moment, którego oczekiwał i obawiał się od wielu miesięcy - tajemniczy oprawcy przyszli do niego. Przyszli po jego zwierzęta. Degeneraci, którzy okaleczali i zabijali konie oraz krowy w Krzesławicach, teraz zawitali do gospodarstwa Gołubiewa. Nie żadne czarty, tylko zdegenerowani ludzie.

To się musiało w końcu stać.

Wyczekiwał ich każdej nocy, budząc się przy najmniejszym hałasie. Wystarczyło, że głośniej zaszczekał pies, że zaskrzeczał jakiś nocny ptak, a Gołubiew już wyskakiwał spod pierzyny i biegł do okna. Spał w koszuli, czasami nawet w spodniach, zaś nabitą strzelbę trzymał zawsze przy drzwiach. Jego baba śmiała się nawet, że wystarczy głośniejszy śpiew świerszcza za kominem, a on już ma broń w rękę.

Tak, strach był podobny, lecz tym razem Teodor Gołubiew nie miał zamiaru mu się poddać.

Sprawdził szybko oborę - w porządku, tylko chlastanie krowich ogonów i pojedyncze stęknięcia śpiących zwierząt. Potem przeszedł obok zadaszonej studni, ominął olbrzymią zamrażniętą kałużę. Postawił na chwilę latarnię na śniegu, przeżegnał się wolną ręką, a następnie z kieszeni kozucha wyjął czapkę i nacisnął ją głęboko na uszy. Nie było mu zimno, po prostu bez czapki czuł się niemal nagi. Nagi i bezbronny jak noworodek.

Podniósł latarnię, postąpił dwa kroki do przodu i zamarł. Przeszedł go lodowaty dreszcz, rzadkie włosy podniosły się pod czapką.

Drzwi od stajni były uchylone, ba, niemal otwarte na oścież, a przecież pamiętał dokładnie, że zamykał je na noc. Dobry Boże! Mógłby przysiąc, że to zrobił. Zawsze sprawdzał jeszcze przed snem, czy nie zostawił ich otwartych - a już w szczególności ostatnio, po tych makabrycznych wydarzeniach w Krzesławicach.

Ktoś wszedł do środka.

Ostrożnie, jakby stąpał po kruchym lodzie, Teodor Gołubiew podszedł bliżej, przysunął latarnię, poświecił.

Skobel był złamany.

Trzeba było założyć sztabę żelazną, jak radził sąsiad. No nic, trochę już za późno na takie myślenie.

Z trudem przełknął ślinę. Tak cicho, jak tylko potrafił, uchylił jeszcze szerzej wrota i powoli, bardzo powoli wszedł do środka. Powitały go znajome zapachy zwierząt i suchego siana. Pod wysokimi butami zaszeleściła słoma na klepisku. Teodor Gołubiew podniósł wyżej lampę, ale w jej słabym, chybotliwym świetle i tak niewiele było widać.

- Kto tam jest? - zapytał ochrypłym z emocji głosem.

Jakiś cień poruszył się w głębi. A może sprawił to tylko mimowolny ruch trzymającej latarnię ręki?

- Pytam: kto tu? - Tym razem zabrzmiało to bardziej zdecydowanie, ale ton głosu ciągle pozostawiał wiele do życzenia.

Odpowiedziało mu tylko parsknięcie przestraszonego konia. Powiesił latarnię przy drzwiach, chwycił strzelbę oburącz, podniósł ją do barku. Lufę skierował w górę, jakby obawiał się, że ktoś lub coś czai się pod dachem stajni.

Koń ponownie parsknął.

- Czarny? Co z tobą? - spytał niemal bezgłośnie.

Z ciemności wyłonił się koń.

* * *

Eulalia Wolf siedziała już w siodle, kiedy ten nieszczęsny chłopina wlaźł do stajni. Diabli go nadali! A wydawało się, że do końca wszystko pójdzie tak cicho i gładko jak do tej pory. Bo od samego początku, odkąd tylko postanowiła się uwolnić, sprzyjało jej przecież niebywałe szczęście. Bez problemów przetarła sznur, unieszkodliwiła gospodarza, zdobyła broń i wydostała się na zewnątrz.

Potem także z łatwością odnalazła stajnię, dostała się do środka, znalazła odpowiedniego konia, uspokoiła go. Na słupie obok wisiała uprzęż, nawet Eulalia nie musiała szukać, jakby

przygotowano ją specjalnie dla niej. Bez większych przeszkód osiodłała zwierzę - koń był tylko odrobinę niespokojny, a dzięki wprawie potrafiła pozapinać w ciemnościach rzemienie poprzęgu - i już miała zamiar wyjechać ze stajni, przez nikogo niezauważona, doskonale anonimowa, kiedy na scenę wkroczył ten śmieszny człowieczek w naciągniętej na uszy czapce.

Tak, wszystko poszłoby jak po maśle, gdyby miał mocniejszy sen.

Że też chłopina musiał się zbudzić i przymaszerować tutaj ze swoją wielką strzelbą! Większą bodaj niż on sam.

Od razu zobaczyła, że mimo strzelby w ręku nie będzie dla niej żadnym przeciwnikiem. Zdawał się nie tylko zaskoczony jej widokiem, ale przerażony samą sytuacją, nie było nawet sensu go zabijać, wystarczyło porządnie nastraszyć. Doskonale znała takich ludzi. Kompletnie tracili rezon w obliczu prawdziwej siły i brawury. Choćby ten tutaj: dopiero co podnosił lufę strzelby do góry, a teraz znów ją opuścił.

Co za oferma, trzymajcie mnie!

Zapach jego strachu docierał do nozdrzy kobiety nawet poprzez intensywną zwierzęcą woń.

No jasne, pewnie się chłopisko niełicho zdziwiło, kiedy zobaczyło przed sobą kobietę - nie dość, że z obandażowaną głową, w męskim płaszczu, to jeszcze jakby nigdy nie siedzącą na jego własnym, osiodłanym już koniu.

Jedną ręką - bo w drugiej trzymała gotowy do strzału rewolwer - szarpnęła za uzdę i uderzyła obcasami boki konia, chcąc staranować mężczyznę, póki ten nie złożył się do strzału.

Mięśnie zwierzęcia napięły się błyskawicznie. Lecz zanim wierzchowiec naparł piersią na mężczyznę, Eulalia zobaczyła wycelowaną wprost w swoją głowę lufę strzelby. Tego nie przewidziała.

Potem był tylko oślepiający błysk i ciemność.

Huku wystrzału już nie usłyszała.

* * *

Usłyszeli go za to wjeżdżający właśnie do Mogiły Emanuel Henzelmann i profesor Kijański.

Była godzina dziewiąta wieczorem, panowie wracali do domu w wyśmienitych, wręcz szampańskich humorach - trzymali przecież pod kluczem najniebezpieczniejszego przeciwnika i udało im się umieścić swojego człowieka w knajpie o śpiewnej, podzwaniającej

kastanietami nazwie: „U Carmen”.

Byli o krok od zdemaskowania potężnego pana Seng-Wu.

Wyglądało więc na to, że kontrolują całą partię, że inicjatywa jest teraz po ich stronie, bo zbili ważną figurę, a kolejną trzymali w szachu. Z tego też powodu wypili przed wyjazdem po dwa piwa, a potem - co tu ukrywać - jeszcze po kieliszeczku wódki, no i teraz przez całą drogę odśpiewywali co bardziej popularne tematy z opery Bizeta, w czym przodował i brylował Emanuel, wielki meloman i - do czego się nigdy publicznie nie przyznawał - niespełniony tenor.

Wystrzał przerwał brutalnie te wokalne popisy.

Poderwali się z siedzeń i spojrzeli po sobie, wstrząśnięci i przestraszeni, trzeźwiejąc i poważniejąc natychmiast.

- Uciekła? - wyszeptał profesor.

- Doktor Blumenstog... - wykrztusił komisarz.

- O Boże! Tylko nie to. Mam nadzieję, że strzelał ktoś inny.

- Obawiam się, że...

Leopold Kijański zbladł.

- Jak mogliśmy do tego dopuścić, panie Henzelmann? - chwycił się za sterczące spod cylindra siwe kosmyki. - Jak mogliśmy być takimi głupcami?

Emanuel nie miał zamiaru rwać włosów z głowy - to nie był zdecydowanie jego styl działania - więc tylko krzyknął na woźnicę, żeby popędził konie.

Komisarz oddychał głęboko, starając się uspokoić rozedrgane nerwy. Teraz trzeba myśleć na zimno, bez emocji. Chłodnym okiem musi ocenić sytuację na szachownicy, zanim wykona następny ruch.

Ale jak to zrobić, jak zachować spokój, kiedy nie wiadomo do końca, co się właściwie wydarzyło? Kiedy wszystko wskazuje na to, że doktor Blumenstog być może nie żyje?...

- Szlag by to trafił - wycedził komisarz.

Wyglądało na to, że teraz to oni zlekceważyli przeciwnika, a inicjatywę w tej partii niespodziewanie przejęła właśnie druga strona.

* * *

W domu doktora było ciemno i przeraźliwie cicho.

Niezawodny instynkt starego śledczego podpowiadał Henzelmannowi, że właśnie wydarzyła się tu jakaś zbrodnia. Metaliczny zapach krwi wyczuwalny był niemal od progu.

Co dziwne, nie czuć było jednak zapachu prochu.

Po nerwowym poszukiwaniu lampy - przyniósł ją w końcu profesor ze swojego pokoju - i kilku nieudanych próbach jej zapalenia oczom mężczyzn ukazał się straszliwy widok.

Na podłodze wśród resztek rozbitego naczynia leżał nieruchomo doktor Blumenstog. Leżał w powiększającej się wokół jego głowy plamie krwi.

Obok poniewierał się zakrwawiony pogrzebacz.

- Ależ on nie został zastrzelony... - Chłodny umysł byłego komisarza policji analizował najpierw okoliczności zbrodni, dopiero później zareagował emocjonalnie.

- Doktorze Blumenstog! - zawołał, przewracając go delikatnie na plecy. - Proszę się odezwać! Słyszysz mnie pan?

Bezwładne ciało lekarza nie wykazywało żadnych oznak życia.

- Nie żyje? - Profesor przyklęknął obok, nie zważając, że wokół pełno jest krwi. - Mój Boże, to niemożliwe...

- Zaraz, zaraz... - Henzelmann uchwycił nagle leciutki, niemal niewyczuwalny puls na szyi doktora. - Żyje! Zabieramy go natychmiast do szpitala! Proszę mi pomóc! Tylko ostrożnie!

Szybko i bardzo prowizorycznie opatrzyli głowę rannego i starając się unikać gwałtownych ruchów, przenieśli go do stojących obok stajni sań. Woźnica zaczynał właśnie wyprzęgać konie.

- Wracamy do Krakowa! - krzyknął do niego Emanuel.

- Oby tylko przetrzymał podróż, oby tylko przetrzymał... - Profesor Kijański, mniej odporny na podobne sytuacje niż zahartowany przez lata policyjnej służby Henzelmann, powtarzał to zgnębionym głosem, podtrzymując delikatnie głowę przyjaciela na kolanach. - Jedź ostrożnie, gamoni! - zawołał do woźnicy, kiedy sanie szarpnęły, narażając rannego na jeszcze jeden niepotrzebny wstrząs.

„U Carmen”

Podczas pierwszych trzech dni w nowej pracy Tomasz Arsenicz nie zamienił z Chińczykiem ani słowa. Widywali się tylko przelotnie, a właścicielka bacznie pilnowała, żeby pracownicy nie stali beczynnymi, więc ciągle mieli jakieś zajęcie - słowem, brakło sposobności do czczych pogaduszek.

Szczerze mówiąc, młodzieniec nawet nie szukał okazji. Tak się przejął upomnieniami profesora Kijańskiego, że wręcz unikał kontaktów z egzotycznym kolegą. Można by rzec, że rzadko nawet patrzył w jego stronę.

Nie żeby się Chińczyka bał - broń Boże, tamten wyglądał niepozornie i w sumie zupełnie niegroźnie, takie chuderlawe byle co - zależało mu po prostu na tym, żeby niczego nie zepsuć.

Postanowił, że na początku będzie go traktował jak powietrze, a dopiero potem, po kilku dniach, kiedy już należycie osłabi czujność Azjaty, przystąpi do ataku i zacznie naprawdę działać.

Tak to sobie sprytnie obmyślił.

Co wieczór po pracy wstępował jeszcze do szachowej kawiarni na Brackiej, gdzie miał składać raporty profesorowi i komisarzowi. Za pierwszym razem panowie nie przyszli, za drugim - również. Nie przejął się tym zbytnio, bo mówiąc prawdę, wiele się przez ten czas nie dowiedział. Wystarczyło, że mógł sobie wypić dwa piwa przed snem, starając się zapomnieć o upiornej szefowej i nieznośnych klientach. Tutaj towarzystwo było kulturalne.

Lecz kiedy profesor i komisarz nie zjawili się trzeciego wieczora z rzędu, Tomasz Arsenicz zaczął się już trochę niepokoić. Wprawdzie uprzedzili go, że nie będą pojawiać się co wieczór, ale mimo wszystko nie wyglądało to najlepiej. Cóż jednak mógł zrobić? Nie pozostawało nic innego, jak cierpliwie czekać.

Mieszkał teraz na ulicy Grodzkiej, niedaleko Wawelu, w lokalu, który wynajął dla niego Leopold Kijański. W porównaniu z norą na Kleparzu, gdzie gnieździł się na początku pobytu w Krakowie, były to zaiste królewskie apartamenty. Z wysokiego okna widać było zamek na wzgórzu.

Tomasz Arsenicz zajmował pokój należący poprzednio do zmarłego męża właścicielki, lekarza albo prawnika, którego portret wciąż straszył na jednej ze ścian: surowa twarz okolona siwymi bokobrodami. Był to prawdziwie męski gabinet, gdzie czuło się jeszcze zapach wypalonych tam cygar i skóry, w którą oprawione były książki na ciemnych wysokich półkach. Zajrzał nawet do niektórych, lecz większość była, jak się domyślił, po łacinie, a tego języka były katarzyniarz akurat nie znał.

Z przyjemnością natomiast przeglądał ciekawe fotografie pulchnych kobiet ubranych tylko w kapelusze, a czasami i bez nich, za to wśród pięknych mebli i w jeszcze piękniejszych pozach.

Fotografie odkrył przypadkiem w starej księdze zatytułowanej „Metody wydobywania soli w podkrakowskich kopalniach, od czasów zamierchłych do dzisiejszych”, która to księga stała na najwyższej półce.

Gdyby nie to, że spadła z tej półki przy okazji wyjmowania innej - atlasu anatomicznego - nigdy by się tym tematem nie zainteresował. A jak już spadła, to i pomoce naukowe wysypały się malowniczo na podłogę.

Ciekawe były te metody, oj, ciekawe. Arsenicz nigdy by nie przypuszczał, że tak go ta mechanizacja w kopalniach zainteresuje.

Czytał tę księgę co wieczór przed udaniem się na spoczynek.

* * *

Przede wszystkim jednak rozmyślał nad strategią, która pozwoliłaby mu rozszyfrować przebiegłego Chińczyka.

Po wstępnym, przygotowawczym, można by rzec, etapie unikania z nim jakiegokolwiek kontaktu należało nareszcie zacząć działać nieco energiczniej. Szkoda czasu na dalsze podchody.

Tak więc Tomasz Arsenicz z animuszem przystąpił do pierwszego ataku.

Zaczęło się od zwykłego, całkowicie niewinnego "Dzień dobry", wypowiedzianego idealnie niedbałym tonem, zaraz na początku czwartego dnia pracy, natychmiast po wejściu do lokalu. Ku konsternacji świeżo zatrudnionego kelnera na to powitanie Azjata nie odpowiedział ani słowem. Nie odpowiedział nawet spojrzeniem. Może po prostu nie usłyszał, pomyślał sobie Tomasz Arsenicz. Albo tak dobrze się maskuje? Postanowił zaryzykować i tego samego dnia odezwał się do niego raz jeszcze.

Było to już pod koniec dnia pracy, około godziny jedenastej w nocy, kiedy sprząтали ze stolików i wyrzucali ostatnich klientów. Spotkali się - niezupełnie przypadkowo - obok pieca

w kuchni.

- Ale był dzisiaj ruch - westchnął teatralnie Tomasz Arsenicz.

Chińczyk uśmiechnął się tylko i opuścił wzrok.

- Zawsze tak jest w soboty? - nie ustępował młody kelner.

Tamten wciąż milczał.

- Jutro powinno być luźniej, prawda?

Na sali ktoś zaczął śpiewać po niemiecku.

- Nie loziumieć baldzio. - Egzotyczny posługacz skłonił się, pokazując niekompletne uzębienie w przepraszającym uśmiechu. - Tłudna jenzik. Więcej powoli i więcej głośno, plosie.

Idiota?... Arsenicz spojrzał na niego podejrzliwie, ale po chwili na jego twarzy pojawił się błysk zrozumienia. No tak, przecież to kamuflaż, pomyślał z ulgą. Prawie dałem się nabrać.

Przed następnym pytaniem były kataryniarz nerwowo przeczesał palcami płową czuprynę i nabrał głęboko powietrza w płuca. Serce zaczęło mu walić, a na czole pojawił się pot. A co mi tam?... pomyślał.

Niech się dzieje, co ma się dzieć.

- Duszno było dzisiaj na sali jak gdzieś pod pokładem statku - rzekł najswobodniej, jak tylko potrafił.

- Pławda, duzi pławda. - Chińczyk się uśmiechnął, lecz na jego twarzy jakoś nie widać było zrozumienia.

Tomasz Arsenicz musiał odchrząknąć przed kolejną kwestią, bo poczuł, że mu się głos zaraz załamał z emocji.

- Wielorybniczego statku - niemal wyszeptał.

Chińczyk nie zdążył się tym razem uśmiechnąć, bo do kuchni wparowała Carmen z tacą pełną pustych kufli.

- Nie macie nic do roboty? - krzyknęła.

Odskoczyli od siebie gwałtownie, jak para zakochanych przyłapaną na zakazanym pocałunku.

Obrzuciła ich nienawistnym spojrzeniem.

- Stolik pod oknem cały zalany piwem i zasypany popiołem! Sama mam sprzątać czy jak? Za co wam płacę? Królewicz na salę, a cesarz chiński do zmywania, ale to już! - Z hałasem postawiła tacę i wyszła trzaskając drzwiami.

Przez chwilę stali jeszcze nieruchomo przestraszeni.

- Cholerny kaszalot - wycedził wreszcie przez zęby Arsenicz, uważnie przyglądając się

Azjacie.

Tamten odwrócił wzrok i czym prędzej zajął się myciem kufli.

Oho, chyba ociupinkę teraz przeszarżowałem z tym kaszalotem, pomyślał z niepokojem młody kelner.

* * *

Przez całą noc nie mógł zasnąć, zastanawiając się, czy aby nie popsuł akcji tymi swoimi wielorybniczymi aluzjami. Jeśli to jest rzeczywiście Seng-Wu - a wszystko na to wskazuje - to jako były członek załogi „Jungfrau” musi być przecież na takie aluzje szczególnie uczulony, prawda? To tak jakby powiedzieć mu wprost: wiem, kim jesteś, rozszyfrowałem cię, bracie, przestań udawać.

Teraz pokaż mi tylko tatuaż na plecach.

Porażka.

Następnego dnia Tomasz Arsenicz udawał, że w ogóle nie ma i nie było żadnego tematu. Przywitał się tylko, a potem zajął robotą. Dopiero późnym wieczorem, znów pod sam koniec, doszło do krótkiej rozmowy. Co najlepsze, zainicjował ją sam Chińczyk. W pewnym momencie - było to tuż po burze, jaką spuściła im Carmen za jakiegoś tam potłuczone szklanki - zapytał Tomasza, czemu pani jest dzisiaj „taki zły”.

- Ona zawsze jest zła - odparł młody kelner. - Czy kiedykolwiek widziałeś ją w dobrym humorze?

- Nie - odparł krótko Azjata. Wyglądało, że tym razem doskonale rozumie, co się do niego mówi.

- Ano właśnie.

Przez chwilę milczeli obaj.

- To już gorszy nad nami byłby chyba tylko Franciszek Józef albo jakiś inny Habsburg - rzekł kelner, mrugając porozumiewawczo. - Gadzi pomiot.

- Pławda - ucieszył się Chińczyk i powrócił do zmywania kufli.

No nie wiem, pomyślał zniechęcony Tomasz Arsenicz, wracając na salę. Albo się tak dobrze kryje, albo to nie on.

Gdzie ten profesor Kijański? Gdzie komisarz Henzelmann? To oni powinni zdecydować co dalej.

Już mnie ta cholerna „plawda” zaczyna doprowadzać do szału.

Arcyksiążę Rudolf

Profesor Leopold Kijański i komisarz Emanuel Henzelmann mieli w tej chwili inne zmartwienia.

Po tym jak odwieźli doktora Blumenstoga do szpitala (na użytek lekarzy Emanuel musiał wymyślić historyjkę o przewróceniu się sań), nie mogli już wrócić do dworku, w Mogile bowiem pojawiła się policja. To w związku z tym strzałem oczywiście. Okazało się, że we wsi zabito obcą kobietę. Szczegółów nie ujawniono, ale komisarz i profesor doskonale wiedzieli przecież, o kogo chodzi.

Eulalia Wolf dostała wreszcie to, na co sobie zasłużyła.

Aby uniknąć spotkania z policją, która przesłuchiwała mieszkańców wsi, mężczyźni schronili się w klasztorze. Dzielili jedną celę i przez kilka dni prowadzili doprawdy mnisie życie. Postanowili nie opuszczać murów klasztoru, póki sprawa nie ucichnie. Zbyt wiele spraw musieliby tłumaczyć, zbyt wiele wyjaśniać. Siedzieli więc teraz cicho, a informacje o stanie zdrowia doktora Blumenstoga przekazywał im zakonnik załatwiający interesy w Krakowie.

Nie były to niestety dobre wieści.

Doktor wciąż nie odzyskiwał przytomności. To znaczy, chwilami wydawało się, że jest przytomny - wodził spojrzeniem za kręcącym się przy jego łóżku personelem szpitalnym - nie odpowiadał jednak na żadne pytanie ani nie reagował na polecenia. Lekarze nie byli dobrej myśli. Jeśli, powiedzieli, wyjdzie z tego z życiem, i tak nie będzie już prawdopodobnie tym samym człowiekiem. Może nawet lepiej by było, gdyby umarł. Ale, zastrzegali przy tym, niezbadane są przecież wyroki boskie.

Zawsze może się zdarzyć jakiś cud.

Prawdę mówiąc, ani Henzelmann, ani Kijański specjalnie w ten cud nie wierzyli. Nie przestawali wyrzucać sobie, że zostawili wtedy Blumenstoga sam na sam ze Szczerbatą Mamuską. Nie docenili przeciwnika i teraz czuli się winni, być może nawet śmierci przyjaciela.

Każdego dnia byli przygotowani na najgorsze.

* * *

Tymczasem policja przestała się kręcić po wsi. Sprawa szybko się wyjaśniła: kobieta dokonała napadu z bronią w rękę, człowiek, który ją zastrzelił, zrobił to w obronie własnej. Nie udało się tylko ustalić tożsamości kobiety, nie znaleziono żadnych dokumentów. W gazetach pisano, że najprawdopodobniej była spoza Krakowa.

Profesor i komisarz mogli więc już podziękować za gościnę w klasztorze i wracać do dworku doktora Blumenstoga.

Kiedy wydawało się, że do Mogiły powrócił spokój, komisarz i profesor Kijański zostali nagle wezwani do opata.

Posłaniec, drobnej postury zakonnik z bielmem na oku, zastał obu panów szykujących się właśnie do opuszczenia gościnnej celi. Profesor szukał jeszcze jednej z ksiąg, której nie zdążył przejrzeć, Emanuel Henzelmann stał przy niewielkim okienku i w zamyśleniu spoglądał na kościelny ogród.

- Jest! - wykrzyknął profesor uradowany, podnosząc siennik ze swojej pryczy. - Tu mi wpadła w nocy.

Henzelmann drgnął na dźwięk jego głosu i odwrócił się od okna w chwili, gdy do drzwi celi zapukał zakonnik.

- Wielebny ojciec prosi panów do siebie - powiedział lekko zdyszany, jakby biegł całą drogę do tej części klasztoru. - To bardzo pilne.

* * *

- Wiedzą już zapewne panowie, że Seng-Wu planuje zamach na jednego z Habsburgów? - zaczął opat parę minut później bez zbędnych wstępów, starannie zamknąwszy za sobą drzwi kalifaktorium.

- Tak. - Emanuel nie potrafił ukryć uśmiechu. - Przejrzeliśmy ich grę i zastosowaliśmy nawet odpowiednie środki.

- Na razie sytuacja jest pod kontrolą - wtrącił profesor.

Opat westchnął ciężko i przetarł palcami przekrwione oczy. Wyglądał jak człowiek, który zakończył właśnie czterdziestodniowy post.

- Niezupełnie - powiedział cicho.

Spojrzeli na niego zaskoczeni.

- Szczerze mówiąc, moi przyjaciele, nic, ale to absolutnie nic nie jest pod kontrolą.

Wygląda na to, że zostaliśmy wprowadzeni w błąd - kontynuował zakonnik, spoglądając na własne dłonie. - Wyprowadzeni w pole.

- W jakim sensie? - zapytał słabym głosem profesor Kijański.

- Daliśmy się nabrać jak dzieci, profesorze. Komuś bardzo zależało na tym, żebyśmy myśleli, że szykowany jest zamach na arcyksięcia Fryderyka w Krakowie. Że w naszym mieście pojawił się sam Seng-Wu.

- A tak nie jest? - Mężczyźni spojrzeli po sobie.

- Nie. Prawdziwy Seng-Wu jest teraz w okolicach Tarnowa i tam właśnie ma zamiar wprowadzić w czyn swoje zamiary.

- W okolicach Tarnowa? - spytali niemal równocześnie.

- Dokładnie dwadzieścia kilometrów pod Tarnowem. - Zakonnik pokiwał ze smutkiem głową. - W gospodzie „Jeleni Róg”.

- Dlaczego tam? - wybąkał Leopold Kijański. - Fryderyk wybiera się...?

- Celem zamachu nie jest Fryderyk - przerwał mu łagodnie opat - tylko arcyksiężę Rudolf.

Nastąpiła długa pauza.

- A to dopiero... - Profesor Kijański w zamyśleniu zaczął skubać dolną wargę. - Powiada ojciec, że celem jest jednak arcyksiężę Rudolf? Skąd podejrzenie, że o niego właśnie chodzi?

- Wszystko na to wskazuje. Nie może być wątpliwości. Nasz wywiad doniósł nam o planowanym przybyciu arcyksięcia oraz o pojawieniu się Seng-Wu w Tarnowie. Przyjechał dwa dni temu. Nie trzeba wielkiej przenikliwości, żeby dodać do siebie te dwa fakty.

Emanuel spojrzał na opata sceptycznie.

- Co to za wywiad udzielił ojcu tych informacji? Ten wasz? - spytał.

- Tak.

- Cysterski?

- Można tak to ująć.

Emanuel milczał przez kilka chwil, starając się uszeregować fakty.

- Powiada ojciec, że Seng-Wu przybył dwa dni temu do Tarnowa...

- Tak nam doniesiono.

- W takim razie kim jest ten Chińczyk, którego ma rozpracować Arsenicz? - Komisarz już zrozumiał, że policyjny nos tym razem srodze go zawiódł.

- Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że zwykłym Chińczykiem, który pracuje „U Carmen” i z całą sprawą nie ma nic wspólnego. Pionek. Zapewne wstawiono go tam dla zmylenia śladów.

- No dobrze - rzekł komisarz, wstając z krzesła. Założył ręce na plecach i zaczął krążyć wokół stołu. - O co chodzi z tym Rudolfem? Dlaczego akurat on? Rozumiem, że został uznany za podmieńca, ale z tego co panowie opowiadają, od odmieńców aż się roi na królewskich dworach. Czym specjalnie sobie zasłużył ten człowiek?

- Po pierwsze, nadarza się świetna okazja do zamachu - odparł opat. - A po drugie, Rudolf już od dawna jest łakomym kąskiem dla zamachowców, i to nie tylko tych z Bractwa Czerwonego Smoka.

- Co ojciec przez to rozumie?

- Już wyjaśniam. - Opat zaplótł palce i zacisnął je tak, że aż pobielaly - Muszę jednak panów wprowadzić nieco w temat.

- Byle szybko - niezbyt grzecznie odezwał się Emanuel.

Opat puścił tę przykrą uwagę mimo uszu.

- Otóż Rudolf to jedyny syn Franciszka Józefa, człowiek zupełnie inny niż jego ojciec - zaczął swym zwykłym tonem, czyli powoli i z namaszczeniem, jakby wygłaszał kazanie. - Podczas gdy stary cesarz prowadzi skromny, a nawet surowy tryb życia: sypia na łóżku polowym, wstaje o czwartej rano, bierze zimną kąpiel w wielkiej gumowej balii i tak dalej, i tak dalej, jego potomek ochoczo korzysta z wszelkich uciech życia.

- To jeszcze nie jest powód do zamachu - podsumował komisarz.

- Ma pan rację. Ale to nie wszystko. Znane są też jego szokujące wolnomyślne poglądy na sprawy polityki, a jeszcze bardziej znana jest jego, że się tak wyrażę, romansowa natura.

- Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem - przerwał trochę niecierpliwie Leopold Kijański.

- Co nas mogą obchodzić amory arcyksięcia? To dobry temat dla kucharek albo - odchrząknął dziwnie zakłopotany - pensjonarek.

- A właśnie że nie tylko dla nich. - Opat z trudem ukrył niezadowolenie, że znowu mu się przerywa. - Mało kto wie, że *kronprinz*, to znaczy następca tronu, kocha się od dawna w jednej z polskich hrabianek i chodzą nawet słuchy, że chce się z nią żenić. Cesarz oczywiście nigdy się na to nie zgodzi, nawet mowy nie ma, ponieważ wybranka Rudolfa musiałaby być księżniczką z panującego i równorzędnego domu, a owa panna niewątpliwie taką nie jest. I chociaż także wywodzi się z arystokracji, to przecież niewiele znaczącej dla monarchii.

- Nadal nie rozu... - Były komisarz ck policji przestał wreszcie chodzić w tę i we w tę i na powrót usiadł na krześle.

- Już tłumaczę. - Opat podniósł dłoń w uspokajającym geście. - Od jakiegoś czasu zakochana para spotyka się w tajemnicy przed otoczeniem, a zwłaszcza przed Franciszkiem Józefem.

- W gospodzie „Jeleni Róg”? - Emanuel uniósł brwi.

- Właśnie tam... - Opat był wyraźnie zakłopotany tematem. - Hrabianka, panna Klementyna Potocka, bo o niej tu mowa, mieszka w Tarnowie, ma więc blisko. W tej gospodzie spotykają się, jak już wspomniałem, nie po raz pierwszy, ale widocznie do tej pory Seng-Wu nic o tych schadzках nie wiedział. Ma się rozumieć, utrzymywane były od początku w ścisłej tajemnicy. Wiedzieliśmy o nich tylko dzięki tarnowskiemu członkowi bractwa, arystokracie, który obraca się w otoczeniu hrabianki. Teraz musiał pojawić się jednak większy przeciek, skoro dowiedział się także Seng-Wu. Może poinformował go ktoś od nas? A może właściciel gospody? Nie wiem, będziemy musieli zbadać tę sprawę... W każdym razie chyba sami panowie przyznają, że okazja do zamachu jest wprost idealna: zabić arcyksięcia właśnie wtedy, gdy przybywa incognito, kiedy najmniej będzie pilnowany. Bo skoro schadzka jest sekretna, oczywiście nie może wziąć ze sobą zbyt licznej orszaku.

- Faktycznie wyśmienita okazja, by zlikwidować gadziego agenta. - Emanuel Henzelmann nie potrafił ukryć nuty sarkazmu w głosie. - Niezwykle kochliwego jak na wyprodukowany przez szarców automat.

- Według bractwa Czerwonego Smoka jest on gadzim agentem właśnie, jak zresztą większość Habsburgów - odparł spokojnie opat. - A co więcej, jako następcą tronu arcyksiężę Rudolf ma nieporównanie większy wpływ na losy świata niż Fryderyk, nic nieznacząca płotka.

- Jakaś logika w tym jest - przyznał profesor.

- Ależ to bzdury! - nie wytrzymał Henzelmann. - Musimy temu jak najszybciej zapobiec.

- Racja! - Leopold Kijański zerwał się z krzesła podniecony.

- Może zastanówmy się jeszcze przez chwilę - zaproponował opat wyraźnie nieprzyzwyczajony do podejmowania tak błyskawicznych decyzji.

- A nad czym tu się zastanawiać? - Teraz z kolei Emanuel podniósł się gwałtownie. - Nie może być tak, że zabijani będą ludzie, nawet jeśli istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że nie są osobami, za które się podają.

- Więc co pan proponuje, komisarzu? - spytał profesor.

- Trzeba zawiadomić policję - oświadczył Emanuel. - Niech oni się tym zajmą, od tego w końcu są.

- W żadnym wypadku - sprzeciwił się Leopold Kijański.

- A to dlaczego?

Profesor nawet nie próbował ukryć zniecierpliwienia, jakie wywołała u niego wzmianka o policji.

- Bo nikt nam nie uwierzy, dlatego, panie Henzelmann. Musielibyśmy całą rzecz tłumaczyć od początku, a to trwałoby wieczność. Sami musimy sprawę rozegrać. Poza tym, co ważniejsze, trzeba by się ujawnić i wytłumaczyć, skąd mamy te informacje. Już na zawsze bylibyśmy pod lupą cesarskich agentów. Tak nie można!

- No to w drogę. - Henzelmann rozejrzał się za nakryciem głowy. - Jedziemy do tej gospody.

Prawdę mówiąc, nie miał najmniejszej ochoty wplątywać się w jakieś podejrzone polityczne rozgrywki, ale nie mógł również pozwolić, żeby jacyś szaleńcy wprowadzili w życie swe zbrodnicze plany. Pojawiło się realne zagrożenie, a on - jako były stróż prawa - miał obowiązek mu zapobiec.

- Wyruszamy natychmiast, bo trzeba jeszcze zabrać po drodze Arsenicza - oznajmił. - Zupełnie niepotrzebnie tkwi w tej speluncie na Kazimierzu.

Profesor Kijański machnął zniecierpliwiony ręką.

- Nie, nie mamy ani chwili do stracenia - powiedział. - Jemu tam krzywda się nie stanie, a nam na wiele się teraz nie przyda, tylko by przeszkadzał. Już nikogo nie będziemy śledzić. Trzeba po prostu ostrzec otoczenie arcyksięcia przed ewentualnym zamachem. To możemy przecież zrobić sami, prawda?

- Mam nadzieję - odparł Emanuel. - Która godzina?

- Dochodzi dziesiąta.

- A więc mamy całą noc - rzekł opat. - Przy odrobinie szczęścia powinniśmy zdążyć, chociaż drogi teraz paskudne.

- To ojciec jedzie z nami? - zdziwił się komisarz.

- Oczywiście, że tak. - Zakonnik bez skutku starał się zamaskować ogarniający go strach.

- Ja też mam z Chińczykiem rachunki do wyrównania. Nie lubię, kiedy ktoś robi ze mnie durnia.

Mężczyźni wybiegli w pośpiechu do przygotowanego dla nich powozu. Po niedawnej odwilży drogi były błotniste, więc trzeba było zaprząć dodatkowego konia. Kiedy to uczyniono, bez żadnej już zwłoki wyruszyli w kierunku Tarnowa.

Według kościelnych informatorów arcyksiążę Rudolf miał się pojawić w „Jelenim Rogu” nazajutrz o świcie.

Czasu zostało więc naprawdę niewiele.

Zamachowcy

Przez pierwszą godzinę jazdy prawie w ogóle się do siebie nie odzywali. Było im po prostu wstyd przed sobą nawzajem, że tak łatwo dali się okpić Chińczykowi. Czuli się upokorzeni i wściekli, potrzebowali więc trochę czasu, aby ochłonać i zebrać myśli.

W końcu trzeba było jednak ustalić, co dalej.

- W jaki sposób to zrobimy? - przerwał milczenie profesor Kijański.

- Właśnie się zastanawiam - rzekł Emanuel Henzelmann. - Najpierw myślałem, żeby jechać wprost do gospody i po prostu ostrzec obsługę, narobić takiego rabanu, żeby się zamachowcy przestraszyli. Ale przecież nie mamy żadnej pewności, że zaatakują właśnie tam. Może zamierzają urządzić zasadzkę gdzieś przy drodze.

- Tylko gdzie? - zapytał opat. - To długa trasa.

- Skoro Seng-Wu przebywa w Tarnowie, to znaczy, że planuje zamach gdzieś w tych okolicach.

- No, chyba że chce nas znowu zmylić - uśmiechnął się krzywo profesor.

- Albo urządził więcej niż jedną zasadzkę - dodał zakonnik.

- Wtedy nic nie poradzimy - odparł komisarz. - Co innego mnie niepokoi. Arcyksiążę podróżuje incognito. Jak rozpoznamy jego pojazd? Przecież nie możemy zatrzymywać i rewidować wszystkich pojazdów zmierzających w stronę Tarnowa.

- O tym nie pomyślałem - przyznał profesor.

- W dodatku możemy być pewni, że powóz Rudolfa nie zatrzyma się ot, tak, na wezwanie.

- W takim razie prosto do gospody? - spytał opat.

- Tak - odparł Emanuel. - Nie ma co tracić czasu. Jestem niemal pewien, że tam szykowany jest atak. Bardziej sprzyjających warunków spiskowcy nie mogliby sobie wymarzyć. Gdybym planował morderstwo, umieściłbym kogoś pośród obsługi gospody. Ci ludzie będą mieli bezpośredni dostęp do Habsburga.

Powóz zakołysał, profesor i komisarz przytrzymali na głowach meloniki.

- Myślę, że nie mieli na to czasu - stwierdził Leopold Kijański, kiedy droga się wyrównała. - Zresztą byłoby to zbyt podejrzane.

- Chyba że to długotrwały plan - powiedział komisarz. - Może się zorientowali już przed poprzednią schadzka? Nie zaatakowali od razu, tylko postanowili poczekać do następnej okazji. Umieścili kogoś w gospodzie kilka miesięcy temu, nie budząc podejrzeń.

- To możliwe - przytaknął profesor.

- Najlepiej umieścić kogoś w kuchni - kontynuował Emanuel, patrząc w ciemne okienko. - Wtedy wystarczy dosypać czegoś do kolacji albo nawet do herbaty. Miejmy tylko nadzieję, że zdążymy przed arcyksięciem.

Opat i profesor ponuro skinęli głowami.

* * *

Arcyksięciu Rudolfowi udostępniono ten sam pokój co zwykle - przytulne gniazdko na piętrze z widokiem na malowniczy młyn i rzeczkę, a co najważniejsze, z dala od innych pomieszczeń. Wprawdzie w czasie pobytu znakomitej pary właściciel nie przyjmował innych gości, ale zakochani czuli się bardziej komfortowo, wiedząc, że za ścianą nie kręci się ktoś z obsługi.

Orszak arcyksięcia zajmował zwykle pokoje na parterze, starając się jak najmniej zwracać na siebie uwagę.

Zbliżała się szósta rano. Obsługa zajazdu w pośpiechu dokonywała ostatnich przygotowań. Do kryształowego wazonu na stoliku wstawiono róże ze szklarni przylegającej do budynku, dumy żony właściciela lokalu, osobiście przez nią ścinane.

Kwiaty z jej hodowli znane były dość szeroko, przyjeżdżano po nie nawet z Krakowa przy okazji większych uroczystości. Znakomity gość, pojawiający się tu jak zwykle pod przybranym nazwiskiem, lubił zwłaszcza jej pąsowe róże.

Specjalną odmianę, którą na jego cześć nazwała „arcyksiężniczką”.

Urocze, prawda?

Gospodyni osobiście doglądała ostatnich przygotowań w pokoju. Poprawiła narzutę na szerokim łóżu z baldachimem - cudo przywiezione z Francji i przeznaczone dla specjalnych gości - sprawdziła zapas drewna w skrzyni przed kominkiem, na którym już od poprzedniego wieczora palił się ogień, ogrzewając duże i dość zimne zazwyczaj pomieszczenie. Teraz panowało tu przyjemne ciepło, blask bijący od kominka rzucał ruchome refleksy na podłogę przykrytą grubym tureckim dywanem.

Prawdziwe gniazdko miłości, rozmarzyła się właścicielka, kto wie, może gości tu właśnie

przyszłą cesarżową? A jakie z tego mogą być korzyści w przyszłości... Zaufana samego cesarza i jego małżonki. Ech...

Przyjemne rozmyślania przerwał nagle odgłos nadjeżdżającego powozu.

Za dwadzieścia szósta. Jeszcze ciemno za oknem.

Czyżby już on? Drgnęła przestraszona, że przecież nie wszystko gotowe, a ona marzy, zamiast brać się do pracy. Zarządziła przecież jeszcze, żeby przyniesiono do pokoju specjalną wodę różaną. Miała stać w dzbanku przy umywalce z białej w niebieskie kwiatki porcelany. Umywalkę z całym wyposażeniem kupiła w Wiedniu podczas ostatniej wizyty u kuzynki.

Specjalnie z myślą o znakomitym gościu.

Gdzież ta służąca z wodą? Gospodyni zebrała fałdy szerokiej spódnicy i szybko, mimo dość okazałej tuszy, ruszyła w stronę drzwi. W przelocie poprawiła jeszcze róże w wazonie, wbijając sobie przy tym ostry cień w palec.

Zamarła przerażona widząc, jak kropla krwi spada na świeżą serwetkę na stoliku. Za późno, żeby ją zmieniać. Ze ściśniętym sercem przykryła plamkę zerwanym płatkami róży.

To zły znak, pomyślała przyciskając dłonie do piersi, zły znak...

* * *

Powóz zatrzymał się przed budynkiem gospody, otworzyły się drzwiczki i ze środka pojazdu wyskoczyli zwawo dwaj mężczyźni w melonikach. Pewnym krokiem ruszyli w stronę wejścia.

Właściciel stał już w progu, paląc fajkę i zapinając w pośpiechu płaszcz. Cóż to za ludzie? zastanawiał się gorączkowo. W ciemnościach nie można było rozróżnić rysów twarzy. Poruszają się jak żołnierze albo policjanci. Poczł ukłucie niepokoju. Czyżby coś złego przytrafiło się arcyksięciu?

Wypadek?

Napad?

Kiedy podeszli bliżej, zobaczył, że są w cywilu. Byli to starsi już mężczyźni, postawni i dystyngowani.

- Panowie, gospoda jest zamknięta. - Starł się, by jego głos zabrzmiał należycie stanowczo. - Na dzisiaj mam wszystkie pokoje zarezerwowane.

- Wiemy o tym - odparł spokojnie jeden z mężczyzn, ten młodszy i energiczniejszy, o wojskowej postawie. W ręku trzymał złożony parasol. - My właśnie w tej sprawie. Musimy się tutaj rozejrzeć, zanim przyjedzie nasz arcy... - zmrużył oko - ...nasz arcyważny gość. Sam pan rozumie, środki bezpieczeństwa.

Właściciel zawahał się.

- Ależ nigdy wcześniej nie było to potrzebne.

- Ale teraz jest.

- Dlaczego?

- Bez zbędnych pytań. Proszę nas wpuścić.

- Ja nawet panów nie znam.

- Jesteśmy z tajnej książęcej policji - odparł mężczyzna z parasolem. - Komisarz Emanuel Henzelmann.

Podsunał zdezorientowanemu gospodarzowi pod nos jakiś papier. Widniała na nim wielka pieczętka ck policji.

- Czy coś się stało? - wybąkał właściciel. Pod wpływem stanowczego głosu oraz okazanej pieczętki natychmiast zmiękł. Odsunął się, wpuszczając do środka dziwnych przybyszów.

- Mamy podstawy, by sądzić, że nasz znamienity gość jest w nie lada niebezpieczeństwie - rzekł uroczystym tonem komisarz Henzelmann. - Powiem krótko: planowany jest zamach.

- Co takiego? - Właściciel zbladł.

- Zamach.

- Niemożliwe...

- Proszę mi wierzyć. Anarchiści wiedzą o jego wizycie.

- Mój Boże... - wyszeptła otyła kobieta, która pojawiła się obok gospodarza, zapewne jego żona. - Słyszałeś, Adolfie? Anarchiści chcą nas zaatakować. Czuję, że szykuje się coś niedobrego.

- Bez paniki - uspokoił ją starszy z mężczyzn. - Przejrzeliśmy ich plany. Nikomu już krzywdy nie zrobią. Czy to sala jadalna?

- Tak - mężczyzna i kobieta potwierdzili prawie równocześnie.

Weszli do środka. Gospodarz szybko zapalił świece. Sala była nieduża, ale bardzo gustownie wystrojona.

- Czy moglibyśmy prosić o zebranie tutaj całego personelu? - zapytał komisarz, kładąc parasol na stole.

- Ależ to wszyscy zaufani ludzie - powiedziała gospodyni, kręcąc w zdumieniu głową. - Pracują u nas od lat. To nie są żadni anarchiści, tylko chłopci z sąsiedniej wsi. Są jak rodzina. Jestem w stanie...

- Przykro mi, szanowna pani, musimy sprawdzić każdego, zanim przyjedzie dostojny gość - przerwał jej Henzelmann. - Będziemy musieli również przeszukać budynek. Takie są przepisy.

* * *

Pięć minut później wszyscy pracownicy gospody stali pod ścianą sali jadalnej. Jak na musztrze.

- Czy kogoś brakuje? - zapytał Emanuel.
- Nie - odpowiedział gospodarz. - Są w komplecie.
- Nikogo nowego pan ostatnio nie zatrudniał?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Żadni Chińczycy nie pojawili się w okolicy?
- Nie.
- Ktoś podejrzany?

Gospodarz zaprzeczył po raz trzeci.

- No więc dobrze. Mówi pan zatem, że personel jest w komplecie... - Emanuel założył ręce na plecach i zaczął przechadzać się tam i z powrotem wzdłuż ściany, pod którą ustawili się pracownicy. Chodził powoli, przyglądając się bacznie każdemu z nich.

W sumie siedem osób. Jak wyjaśniła gospodyni, dwie kucharki, dwie pokojówki, pomywaczka, stary ogrodnik - odpowiedzialny dodatkowo za wszelkie naprawy - a także piętnastoletni może chłopaczyna na posyłki.

Podczas gdy Emanuel Henzelmann z surową miną przesłuchiwał pracowników, profesor Kijański sprawdzał pokoje na górze. Opat czekał cierpliwie w powozie, aby w przypadku przyjazdu arcyksięcia natychmiast, zanim wejdzie do środka, uprzedzić go o planowanym zamachu.

- Czyli podsumujmy: kto z was pracuje tutaj najkrócej? - zapytał na koniec Emanuel. - Ty, chłopcze?

- Ja - odparł nieśmiało wyrostek.

- A od kiedy? Pamiętasz?

- Od października - odpowiedział za niego właściciel gospody. - To jeszcze dzieciak. Mieszka niedaleko stąd, za młynem.

Rzeczywiście, chłopak nie wyglądał na zamachowca, zresztą tak jak i pozostali zgromadzeni na sali ludzie.

Tymczasem wrócił Leopold Kijański, powiadamiając komisarza, że sprawdził pomieszczenia.

- Wygląda na to, że nic się tutaj nie szykuje - rzekł. - Może rzeczywiście zastawili pułapkę po drodze?

- Wątpię. Wymyślili coś sprytniejszego, jestem tego pewien.

Intuicja podpowiadała mu, że zamach zaplanowany jest w gospodzie.

- Chciałbym, żeby do przyjazdu gościa nikt nie opuszczał tego pomieszczenia - oświadczył Emanuel.

Gospodyni już nabrała powietrza, aby zaprotestować, lecz komisarz powstrzymał ją gestem.

- To absolutnie konieczne.

* * *

Na zewnątrz już szarzało, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Weszła młodziutka, siedemnastoletnia może dziewczyna w obszernej wiejskiej spódnicy i zawiązanej na głowie brązowej chuście. W rękach trzymała niebieski dzbanek. Mleko z pierwszego udoju? pomyślał Emanuel.

Jednak nie.

- Przyniosłam tę wodę różaną - powiedziała nieśmiało.

- Nareszcie - odparła gospodyni. - Już myślałam, że zapomniałaś i będę musiała sama po nią pójść.

- Wybaczcie... - wybąkała dziewczyna. Wyglądała na speszoną i odrobinę przestraszoną obecnością obcych mężczyzn. Emanuel uśmiechnął się do niej, podkreślając wąsa. Odpowiedziała bladym uśmiechem.

- Dobrze, moje dziecko - powiedziała gospodyni, westchnąwszy ciężko. - Zanieś ją szybko do pokoju.

- Kto to? - spytał Emanuel, kiedy dziewczyna znikła na górze.

- Hanka ze wsi - odparł gospodarz. - Pomaga tu czasem.

Komisarz wyjął z kieszeni kamizelki zegarek na łańcuszku: dwadzieścia po szóstej. Za oknami robiło się coraz jaśniej. Lada chwila może przyjechać arcyksiążę. Miejmy nadzieję, że opat nie przysnął sobie w powozie.

Co też kombinuje ten Seng-Wu? Może rzeczywiście zaczął się gdzieś po drodze? Albo zaatakuje Rudolfa w drodze powrotnej? A może zabójcy siedzą ukryci gdzieś w lesie i czekają do wieczora, aby podkraść się w ciemnościach do gospody, zlikwidować strażników i wtargnąć do pokoju kochanków?

Komisarz zapalił papierosa, coraz bardziej zniecierpliwiony i zdenerwowany. Upływały kolejne minuty, nic się nie działo. Może to jednak był fałszywy alarm, a oni niepotrzebnie tylko narobili zamieszania? Teraz przyjdzie się gęsto tłumaczyć przed arcyksiężciem. Skąd te

wiadomości? Kim właściwie są Henzelmann i Kijański? Szczególnie dla profesora będzie to nieprzyjemne, przecież oficjalnie zaginał gdzieś w dżungli. To już naprawdę lepiej było zawiadomić policję.

Tylko że wtedy nie mogliby mieć pewności, że policja weźmie sobie ten sygnał do serca i akcja naprawdę zostanie udaremniona.

Wreszcie komisarz poczuł się senny. W pomieszczeniu było przytulnie i ciepło, a on miał za sobą nieprzespaną noc. Przymknął na moment oczy, nasłuchując tylko odgłosów z zewnątrz. W pewnej chwili drgnął i podniósł powieki.

- Dziewczyna już wyszła? - spytał gospodarza.

- Hanka?

- Tak.

- Chyba wyszła. Już dawno.

- Tak, dawno już poszła - potwierdziła żona. - Ona tylko wodę miała zanieść. Ale jak pan komisarz chce, mogę po nią posłać. Tyle że to dziecko jeszcze.

- Nie słyszałem, żeby ktoś otwierał drzwi. - Emanuel przetarł oczy i podniósł się energicznie z krzesła. - Niech pan tu zaczeka, profesorze. Sprawdzę, czy nam się gdzieś nie zawieruszyła.

- Jak pan uważa - odparł Leopold Kijański, któremu również kleiły się powieki.

Emanuel wyszedł z sali jadalnej i po ciemnych schodach wspiął się na piętro. Bez trudu odnalazł arcyksiążęcy pokój - przy drzwiach stały wazony ze świeżymi kwiatami, a zamiast wycieraczki leżał elegancki dywanik. A więc to tutaj odbywają się amory. Arystokratyczny romans, całkiem jak z groszowej powieści, nie ma co. Podeszedł do drzwi i przez chwilę nasłuchiwał odgłosów ze środka. Cisza.

Wziął głębszy oddech i nacisnął na klamkę.

* * *

Pokój był pusty. W półmroku zobaczył łoże z baldachimem, płonący kominek, szafę i stół, na którym stał kryształowy wazon z pańszczykami różami.

I niebieski dzbanek z wodą. Ten sam, który dziewczyna trzymała w rękach, kiedy wchodziła.

Czyli jednak nie ma jej tutaj. Zostawiła wodę i wyszła. A przecież mógłby przysiąc, że nie słyszał, aby ktoś opuszczał gospodę. Słuch, dzięki Bogu, ma jeszcze dobry. Nikt nie szedł po schodach, nikt nie otwierał i nie zamykał drzwi. Czyżby zasnął na moment i przeoczył jej wyjście?

A może jest w jakimś innym pomieszczeniu?

Bardzo prawdopodobne. Ale najpierw trzeba sprawdzić ten pokój. Podeszedł do balkonowego okna: zamknięte na klamkę. Potem zajrzał za ciężkie purpurowe kotary. Nikogo. Do diabła, nie weszła przecież pod łóżko ani do...

Szafa!...

Spojrzał na wielki, misternie rzeźbiony mebel. Dałby sobie głowę uciąć, że przed chwilą usłyszał dobiegające stamtąd cichutkie skrzypnięcie. Nie, nie przesłyszał się. Słuch, jak lubił często powtarzać, miał jeszcze znakomity. Słuch i policyjny nos były jego największymi atutami. Dziewczyna zamknęła się w środku.

Podeszedł na palcach i energicznym szarpnięciem otworzył drzwi szafy.

- Prawie ci się udało, ślicznotko - rzekł.

Umilkł, widząc wycelowany w siebie pistolet. Małutki pistolecik, który z łatwością można ukryć pod spódnicą.

Wstrzymał oddech.

Kolejny błąd. Coś za dużo tych błędów się ostatnio uzbierało, przemknęło mu jeszcze przez głowę.

- Ty gadzie!... - wyszeptała dziewczyna. Była śmiertelnie blada, lecz twarz miała zaciętą. Mimo to wciąż była piękna.

Emanuel uśmiechnął się niewesoło.

- Ukryłaś się w tej szafie, żeby zabić arcyksięcia? - W jego głosie było więcej współczucia niż złości.

- Ty gadzie... - powtórzyła.

Cała się trzęsła, nie wiadomo: ze strachu czy z nienawiści?

- To ten Chińczyk tak ci namieszał w głowie? Uwierzyłaś w jego bajeczki o podmieńcach?

Oczy zwęziły jej się w szparki.

- Jesteś jednym z nich.

- Posłuchaj, dziecko...

Z zewnątrz dobiegł ich odgłos nadjeżdżającego powozu. Przyjechał, uświadomił sobie Emanuel. Arcyksiążę Rudolf jest już na miejscu. Uratowaliśmy go. Można powiedzieć - w ostatniej chwili.

Dziewczyna opuściła nieco pistolet, najwyraźniej zdając sobie sprawę, że zamach został ostatecznie udaremiony.

I właśnie ten moment postanowił wykorzystać Emanuel Henzelmann.

* * *

Nim jeszcze przebrzmiał huk wystrzału, profesor Kijański był już na schodach. Na podeście minął zbiegającą służącą. Była śmiertelnie blada. Jest w szoku, pomyślał profesor.

Chwycił ją za ramię.

- Co tam się stało, dziewczyno? - spytał zdyszany.

- Ktoś... strzelił.

- Kto?

- Chińczyk.

- Gdzie on jest?

- Uciekł przez okno.

Puścił ją i wyjmując zza pasa rewolwer, wbiegł na piętro. Drzwi do arcyksiążęcego pokoju były uchylone. Przez szparę Leopold Kijański ujrzał siedzącego na podłodze komisarza.

- Panie Henzelmann! - wykrzyknął. - Żyjesz pan? - Policjant pokiwał głową. - Czy on uciekł?

- Kto? - słabym głosem zapytał Emanuel.

Profesor pchnął mocniej drzwi i ostrożnie wszedł do pokoju. Okno było zamknięte.

- Ten, który do pana strzelał. Seng-Wu.

- Nie było tu żadnego Seng-Wu - odpowiedział Emanuel. - To ta służąca. Ona mnie tak załatwiła.

Siedział oparty o ścianę, trzymając się za prawe ramię. Spomiędzy palców przeciekała krew.

- Służąca? - Profesor bezradnie opuścił ręce.

- Tą zabaweczką. - Komisarz wskazał brodą leżący na tureckim dywanie pistolet. - Pomyślałby pan, profesorze?

* * *

Minutę później zadudniły ciężkie kroki na schodach i do pokoju wpadli trzej mężczyźni z pistoletami w rękach. Byli w cywilnych ubraniach, ale ani komisarz, ani profesor nie mieli żadnych wątpliwości, że to wojskowi. Wysocy, dobrze zbudowani, o twardych, bezwzględnych rysach.

Błyskawicznie obezwładnili profesora, zabrali mu rewolwer i przeszukali kieszenie.

- To pomyłka - wyszeptał Emanuel, krzywiąc się z bólu. - Ten człowiek jest niewinny. Łapcie dziewczynę.

- Tak, to pomyłka, panie Henzelmann - rozległ się naraz dziwny, jakby mechaniczny głos. Do pomieszczenia wszedł ubrany na czarno mężczyzna. Nosił olbrzymi kapelusz i dziwaczną maskę. - Śmiem nawet twierdzić, że największa pomyłka w pańskiej karierze, komisarzu.

Komisarz i profesor zaniemówili wpatrzeni w zamaskowaną postać. Zdawało się, że temperatura w pomieszczeniu spadła nagle o kilka stopni.

- Hrabia Lupescu, jak mniemam? - powiedział cicho Leopold Kijański.

Mężczyzna w masce skłonił się nieznacznie.

- Mnie też niezmiernie miło jest pana poznać, profesorze...

Epilog

Wrzesień 1881 roku

O świcie 1 września 1881 roku wszystko w mieście było już zapięte na ostatni guzik.

Nie mogło być inaczej.

Kiedy na początku roku do Krakowa dotarła wiadomość, że jego cesarska mość Franciszek Józef zamierza w swej łaskawości wizytować Galicję, lojalistyczna rada miejska natychmiast powołała komitet powitalny złożony z najznakomitszych przedstawicieli podwawelskiego grodu. Wśród jego członków znalazły się takie osobistości, jak: książe Władysław Czartoryski, hrabia Artur Potocki oraz wiceprezydent Michał Schmidt.

Rzecz jasna, nie mogło zabraknąć w tym znakomitym gronie również Walerego Rzewuskiego.

Przygotowania ruszyły całą parą. Każdej sprawy należało dopilnować co do najdrobniejszego szczegółu. Franciszek Józef musiał być oczarowany. Mało tego, trzeba go było po prostu zwalić z nóg świetnością powitania. Utworzono więc liczne podkomisje odpowiedzialne za każdy, najdrobniejszy choćby aspekt wizyty, powołano nawet obywatelską straż honorową, której zadaniem miało być pilnowanie porządku w mieście podczas pobytu najjaśniejszego pana.

Rankiem 1 września ulice przystrojone były girlandami, chorągwiami w barwach miasta, a także czarno-żółtymi sztandarami Habsburgów. W setkach okien stały portrety cesarza.

AEIOU.

Austriae Est Imperare Orbi Universo.

Droga od dworca kolei żelaznej do Bramy Floriańskiej prezentowała się szczególnie imponująco: po obu jej stronach stały błękitno-białe maszty połączone roślinnymi festonami, zwieńczone różnobarwnymi flagami. Prócz tego wzdłuż trasy przejazdu wybudowano w wielu miejscach olbrzymie trybuny dla publiczności. Samą zaś Bramę Floriańską opleciono gęsto przyrządami służącymi do iluminacji. Tuż obok stały czarne powozy członków rady miejskiej.

* * *

Cesarski pociąg przyjechał o godzinie dziesiątej rano. Przy akompaniamencie bicia w dzwony i huku dział, pośród kłębow pary, wtoczył się majestatycznie na przystrojony wieńcami peron, gdzie oczekiwał już na niego komitet powitalny, na którego czele stał prezydent Zyblikiewicz.

Na widok wspaniałej lśniącej lokomotywy i pomalowanych na zielony kolor wagonów zgromadzony tłum wydał jeden głośny okrzyk zachwytu.

Cesarska maszyna - cud techniki.

Kogóż nie było pośród oczekujących? Przedstawiciele straży ogniowej, ludność w strojach ze wszystkich stron Galicji, szlachta w kolorowych, przybranych klejnotami kontuszach, duchowieństwo w ornatach, do tego trzynasty pułk piechoty, od dwóch godzin stacjonujący już na peronie. Wielobarwny, pstrokaty tłum; podniecona, wzruszona i zniecierpliwiona ciżba.

Wielogłowy potwór gotów udusić, zdeptać z nadmiaru miłości.

Kiedy pociąg stanął, orkiestra wojskowa zagrała hymn austriacki. Cesarz wysiadł z wagonu ozdobionego emblematami najjaśniejszych państwa, uśmiechnął się nieznacznie pod wąsem, skłonił głowę, po czym natychmiast dokonał przeglądu kompanii honorowej. Prawdziwy Austriak, nie ma co! Ubrany był w mundur feldmarszałka, trzymał się prosto i w ogóle sprawiał znakomite wrażenie. Kiedy skończył przegląd, rozległy się okrzyki: „Niech żyje!” i powędrowały w górę setki cylindrów, kapeluszy, kołpaków i konfederatek.

„Niech żyje!”

Po odczytaniu mów powitalnych Franciszek Józef wsiadł do powozu i wśród szpaleru straży honorowej oraz straży ogniowej pojechał w kierunku Bramy Floriańskiej. Za nim podążyły pojazdy rodziny cesarskiej, adiutantów i dworskich dygnitarzy.

Trybuny wzdłuż drogi uginały się wprost pod ciężarem publiczności, w przeważającej części składającej się z płci pięknej. Wiwatowano, rzucono kwiaty, kilka kobiet zemdlało podobno z wrażenia, co nie jest niczym dziwnym przy okazji takiego święta.

Przy Bramie Floriańskiej najjaśniejszy pan wysiadł z powozu i odebrał złote klucze od miasta, podane mu na czerwonej poduszce przez przedstawiciela rady miasta, Ludwika Zawilowskiego. Tłum jęknął zachwycony, a tymczasem prezydent Zyblikiewicz, ubrany w narodowy strój, powitał monarchę mową wygłoszoną w języku polskim.

* * *

- Piękne powitanie. - Wzruszony Emanuel Henzelmann pociągnął nosem i spojrzał na stojącego obok profesora Kijańskiego.

- Tak - przyznał zagadnięty. - Ciekawych czasów przyszło nam dożyć, drogi kolego, ciekawych. Będzie co opowiadać wnukom.

Obaj panowie niemal o świcie wyruszyli na miasto, żeby zająć sobie dobre miejsca w pobliżu Bramy Floriańskiej. Tłumy krakowian, gęstniejące z godziny na godzinę, utwierdziły ich tylko w słuszności podjętej wcześniej decyzji. Gdyby wyszli trochę później, nie mieliby już najmniejszych szans, żeby dostać się choćby w pobliże tego miejsca. Stamtąd, jak poinformował ich zaprzyjaźniony sierżant straży pożarnej, cesarz miał się udać już bezpośrednio do rezydencji cesarskiej w Pałacu pod Baranami, udostępnionej na czas wizyty przez rodzinę hrabiego Potockiego.

Po uroczystym powitaniu przez radę miasta Franciszek Józef wsiadł z powrotem do powozu i otoczony orszakami dworskich dygnitarzy ruszył powoli w stronę Rynku, wzdłuż ulicy Floriańskiej, kiwając łaskawie dłonią i uśmiechając się do wiwatujących tłumów, które wypełniały szczerlnie chodniki po obu stronach ulicy.

* * *

Tomasz Arsenicz, stojący w pierwszym rzędzie, złowił na sobie spojrzenie przejeżdżającego monarchy i zadrzał. Bał się tego, co może nastąpić. Nie było zamachu na arcyksięcia Ferdynanda, więc może teraz, na cesarza?

Chłopak czuł się zupełnie zdezorientowany.

Były komisarz policji i profesor zniknęli gdzieś parę miesięcy temu, nie powiadamiając go o swoich planach. Z jakiegoś powodu uznali pewnie, że nie będzie im potrzebny, i wprowadzili celowo w błąd z tym Chińczykiem. Azjata nie miał zielonego pojęcia o żadnym bractwie, a tym bardziej o planowanych zamachach. Stracony czas i tyle. Jedyna korzyść z pracy w tej speluncie, to wypijane na koszt firmy piwo. Bez wiedzy starej Cyganki, rzecz jasna.

I dopóki go na tym nie przyłapała.

Wyleciał z takim samym hukiem jak jego poprzednik parę miesięcy wcześniej. Tyle że tamten był pijany i nie zdążył odebrać należnych mu pieniędzy, a Arsenicz, na szczęście, dostał wypłatę poprzedniego dnia.

Tłum zafalował, z setek gardeł wyrwał się okrzyk: „Niech żyje!”, ludzie rzucili się naprzód, żeby lepiej zobaczyć cesarza, który zatrzymał się nagle w swoim powozie i wychylił z niego po wręczane mu właśnie kwiaty.

Teraz...?

Arsenicz skulił ramiona w oczekiwaniu na huk wystrzału lub wybuch bomby, ale nic

takiego nie nastąpiło. Monarcha odebrał z uśmiechem bukiet kwiatów z rąk małej dziewczynki siedzącej na ramionach ojca i dał znak woźnicy, żeby ruszał dalej.

Nie, to jeszcze pewnie nie ten moment, pomyślał z nieoczekiwaną ulgą.

Nagle wśród wiwatujących mieszkańców Krakowa chłopak zauważył znajome twarze. Ależ tak! To był Emanuel Henzelmann i profesor Kijański! Są, żyją! ucieszył się Tomasz Arsenicz. Zapomniał o urazie i żalu za to, że go tak zostawili bez słowa wyjaśnienia.

Popychając po drodze ludzi, przedarł się w pobliże swoich znajomych.

- Panie komisarzu! - wykrzyknął uradowany, wpadając niemal na starego policjanta i omal nie strącając mu przy tym kapelusza z głowy. - Gdzie się pan tyle czasu podziewał? I pan, panie profesorze! - To było do przyglądającego się tej scenie zaskoczonego Kijańskiego.

Obaj spojrzeli uważnie na uradowanego chłopaka, a potem na siebie nawzajem.

- Przepraszam - zaczął Emanuel Henzelmann - ale nie bardzo rozumiem... To musi być jakaś pomyłka. To znaczy - wyjaśnił szybko - ja rzeczywiście byłem kiedyś komisarzem, a to jest profesor Kijański, ale skąd szanowny pan nas zna? Nie mieliśmy chyba przyjemności... - dokończył speszony niezręczną sytuacją i rozglądając się dyskretnie wokół.

- Ja... jak to... nie mieliśmy... - Arsenicz patrzył z niedowierzaniem raz na jednego, raz na drugiego mężczyznę i nagle błysk zrozumienia rozjaśnił jego szczerą, prostą twarz. - Aaa... no tak, chyba się pomyliłem, panowie mi wybaczą... - I zniżając głos do szeptu, puścił oko do Henzelmanna. - Konspiracja, tak?

- Panie - zdenerwował się w końcu komisarz - niech pan tu nie robi zamieszania i zejdzie nam z drogi, bo zawołam policję. Co za bezczelny typ - rzucił głośniej na widok przyglądających się tej scenie mężczyzn ze służb porządkowych. - Żeby tak zaczepiać ludzi na ulicy! Skandal!

Arsenicz wycofał się zmieszany. Kiepsko ze mnie, zwymyślał sam siebie w duchu. Najwyraźniej coś przygotowują, tropią zamachowców, a ja tu robię takie przedstawienie. Mogłem wszystko popsuć. Przecież nie zniknęli bez powodu.

To musi być jakaś większa afera.

A swoją drogą ten Henzelmann ma nerwy chyba ze stali. „Skąd szanowny pan nas zna?”. No, to było świetne. Bez dwóch zdań.

Wmieszał się znów w tłum ludzi i pogwizdując wesoło pod nosem, ruszył w kierunku swojego mieszkania. Musi być przecież w domu, kiedy do niego przyjdą, bo co do tego, że przyjdą, nie miał żadnych wątpliwości. Przecież jest im nadal potrzebny.

Nagle całe zamieszanie związane z przyjazdem Franciszka Józefa przestało go zajmować. Dekoracje będą wisiały jeszcze przez parę dni, zdąży je pooglądać.

Teraz trzeba być w pogotowiu.

Lada chwila powinna też przecież wyruszyć ekspedycja do Khuruny planowana przez profesora Kijańskiego. Arsenicz miał nadzieję, że przyjaciele nie zmienili zdania i że tak jak obiecali, zabiorą go ze sobą. Mieli dość czasu na opracowanie szczegółów wyprawy, więc wszystko pewnie jest już zapięte na ostatni guzik.

Pojawili się znowu w Krakowie, to dobry znak. Uśmiechnął się do własnych myśli i ruszył przed siebie, obrzucając nieuważnym spojrzeniem przystrojone odświętnie kamienice i napisy z kwiatów.

Teraz to się dopiero zacznie przygoda.

„Tomasz Arsenicz, słynny badacz Khuruny, wrócił właśnie z niebezpiecznej wyprawy. Szczegóły tylko u nas!” - oczami wyobraźni widział już nagłówki krakowskich gazet.

Ech, westchnął rozmarzony, życie jest piękne.

Wcisnął czapkę na oczy i z rękami w kieszeniach zatańczył na ulicy, nie zważając na zdumione spojrzenia przechodniów.

* * *

Do domu wrócił Henzelmann dopiero późnym wieczorem.

Obiad zjadł u profesora Kijańskiego, który znów zajmował swoje dawne mieszkanie. Kiedy pojawił się w nim parę miesięcy temu, omal nie spowodował ataku serca u paru osób, szczególnie u stróża Szczyglińskiego, który z wrażenia aż złamał nowiuteńką miotłę. Wszyscy byli przekonani o śmierci naukowca, gdy tymczasem pojawił się on cały i zdrowy, pełen energii i zapału do dalszej pracy. Okazało się, że profesor odbywał jedną ze swych podróży naukowych gdzieś, skąd wiadomości docierały rzadko, jeśli nie wcale. Podobno w dżungli amazońskiej, wśród naprawdę dzikich ludów.

Obaj panowie spędzili całe popołudnie, dyskutując o tajemniczym selenoidzie i nowych teoriach profesora na ten temat.

* * *

- Widział pan tę iluminację na Rynku? - zagadnął emerytowanego komisarza stróż Szczygliński tuż przed wejściem do kamienicy. - Jak Boga kocham, czegoś tak pięknego, jak żyję, nie widziałem: te ognie bengalskie na Sukiennicach, lampiony weneckie i gazowe pochodnie na domach!... Albo te wyświetlane kolorowe napisy i cyfry...

- A budynek straży pożarnej pan oglądał? - Emanuel uśmiechnął się pod wąsem na widok zachwyty stróża.

- To tam też coś było? - zdziwił się zapytany. - Ja myślałem, że tylko na Rynku...

- No, mój panie, toś pan przegapił najładniejsze chyba - drażnił się z nim komisarz. - Całe koszary oświetlone były girlandami lamp i przezroczami przedstawiającymi postacie narodowe. A na zakładzie fotograficznym Rzewuskiego olbrzymi napis świetlny: „Cześć i sława Sprawiedliwemu Monarsze”.

- Nie... - jęknął Szczygliński, ale zaraz się ożywił. - A widział pan, panie komisarzu, to przezrocze na kamienicy w Rynku, obraz jakiegoś malarza, nie pomnę nazwiska?

- Ten, na którym orzeł polski tuli pod swoimi skrzydłami herby wszystkich ziem polskich, a z góry zwiesza się orzeł austriacki z gałązką oliwną w dziobie?

- A jakże, ten - przyznał zgaszony stróż. - Był tam też jakiś wiersz pod spodem, ale nie zapamiętał.

- Ja też nie. Było tam coś o pisklętach, grobie Ojczyzny i o opiekuńczych skrzydłach Monarchy. Poezja nie najwyższych lotów. - Henzelmann rozejrzał się dyskretnie, czy nikt nie podsłuchuje, i parsknął cichym śmiechem.

Stróż nie bardzo chyba wiedział, jak ma na to zareagować, więc zmienił dyplomatycznie temat.

- Widziałem dziś znowu tego pańskiego kota, panie Henzelmann. Zdziczał całkiem, ale kręci się cały czas w pobliżu, bo mu wystawiam czasami jedzenie. Ciekawe, czemu nie chce do pana wrócić?

Komisarz zamyślił się i skinąwszy tylko głową na pożegnanie gadatliwemu stróżowi, ruszył w kierunku swojego mieszkania.

Dziwne, naprawdę dziwne było zachowanie Kapitana Nemo.

Kiedy komisarz wrócił po kilkutygodniowej nieobecności do swojego mieszkania, kot nie poznał go wcale. A przecież nie tak znów długo przebywał w Mogile, gdzie wraz z profesorem Kijańskim i doktorem Blumenstogiem zajmowali się rozszyfrowywaniem tajemniczych dokumentów przywiezionych przez Henzelmanna z Pragi.

Jego znajomość języków i fachowa pomoc naukowców dały naprawdę zadziwiające efekty.

Przez chwilę pomyślał też o tym, że należałoby wybrać się znowu w odwiedzinę do doktora Blumenstoga, który od dłuższego już czasu przebywał w szpitalu po ciężkim wypadku, jakiemu uległ pod koniec ubiegłego roku. Uraz głowy spowodował jakieś zmiany w psychice doktora i trudno było się z nim porozumieć, został więc w końcu przeniesiony na zamknięty oddział dla pomieszanych. Głównie ze względu na dziwne opowieści, którymi raczył swoje otoczenie od dłuższego już czasu. Biedny doktor. Taki nieprzeciętny umysł

zniszczony przez jeden bandycki napad. Cóż za szkoda...

Były komisarz westchnął ciężko i znów wrócił myślami do swojego kota.

Nigdy nie zapomni wrażenia, jakie wywarł na nim swoim pojawieniem się w drzwiach mieszkania.

Kapitan Nemo zamiast, jak miał w zwyczaju, podejść do niego z godnością i podstawić grzbiet do głaskania, najeżył się nagle jak szczotka kominiarza i z dzikim wrzaskiem uciekł pod fotel, przyglądając mu się stamtąd rozszerzonymi ze strachu źrenicami. Siedział tak przez cały niemal dzień, wydając tylko niskie gardłowe dźwięki, w końcu z brzuchem przy ziemi przesunął się w kierunku drzwi i przy pierwszej nadarzającej się okazji czmychnął na zewnątrz. Henzelmann widział go potem parę razy na podwórku, ale zwierzak nie reagował na wołanie, tylko z dzikim prychaniem uciekał na jego widok w kierunku piwnicznego okienka.

No cóż... Były komisarz wzruszył ramionami, wchodząc do swojego mieszkania - trudno i darmo. Nie ukrywał, że brak mu obecności kota, do którego zdążył się już przyzwyczać, lecz jak się okazuje, pamięć kocia bywa bardzo krótka.

A sprawiał wrażenie takiego inteligentnego zwierzaka.

Emanuel rozebrał się, zaparzył sobie ulubioną herbatę, wyjął z kieszeni wiszącego w przedpokoju płaszcz i papierośnicę i przeszedł do pokoju.

Dziś Antek miał wolny dzień, to z okazji święta, pewnie pije gdzieś w knajpie i roztrząsa z przyjaciółmi szczegóły cesarskiej wizyty. Trzeba zatem owocnie wykorzystać okazję, że nikt nie kręci się po mieszkaniu, nie pociąga nosem, nie szura butami. Wykorzystać tę rzadką chwilę spokoju i zasiąść wreszcie do listu do profesora Holoubka.

W sprawie dzieła Kopernika, rzecz jasna.

Winien mu informacje o najnowszych odkryciach związanych z odnalezionymi dokumentami, a uzbierało się tego trochę. Może nawet wstawi do listu kilka prostych zdań po czesku. A co mu szkodzi? W końcu coś niecoś potrafi już napisać. Gdzie jest właściwie ten podręcznik? Prawdę mówiąc, dawno go już nie używał. Chyba nie zostawił w jakiejś dorożce? Byłoby szkoda.

Zapalił papierosa i zaczął przeszukiwać pokój. Znalazł podręcznik w szufladzie biurka, obok teczki, w której od lat gromadził dokumenty dotyczące dziwnych stworzeń. Dokumenty do planowanej książki.

Ot, taki konik podstarzałego komisarza.

Położył podręcznik na biurku, otworzył na pierwszym rozdziale i - z papierosem w zębach, mrużąc prawe oko od dymu - począł szukać odpowiednich zwrotów.

Vitám vas. Co se vypravuje nového? Ja jdu do Prahy.

To się nada.

A to się profesor Holoubek ucieszy, uśmiechnął się pod wąsem były komisarz Emanuel Henzelmann.

A to się ucieszy.

Koniec